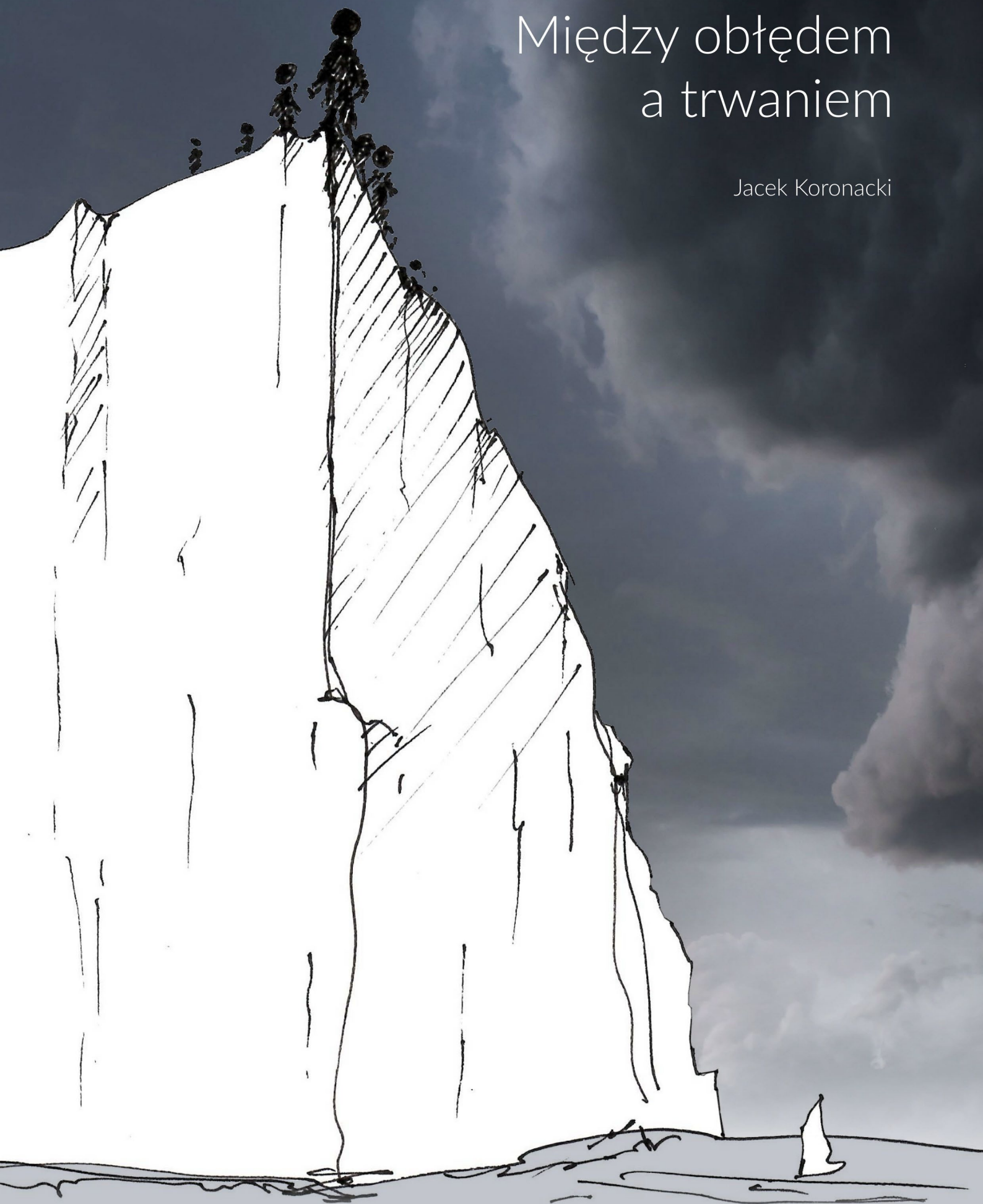


# Między obłędem a trwaniem

Jacek Koronacki



Jacek Koronacki

# **Między obłędem a trwaniem**

Z przedmową Aleksandra Nalaskowskiego

Warszawa 2022

© Copyright by Jacek Koronacki

Projekt okładki: Andrzej Pachowski

*Jeśli oddasz się refleksji przeciwnej twojej naturze, staniesz się głupcem, a jeśli  
będziesz trwał na tej drodze, popadniesz w prawdziwy obłąd.  
Św. Ireneusz z Lyonu, „Przeciwko herezjom”, Ks. 2, Rozdz. XXV*

## Spis treści

<a href="#">Portrecista</a> – przedmowa Aleksandra Nalaskowskiego	2
<a href="#">Wprowadzenie</a>	4
Obłąd wykorzenia	
1. <a href="#">O końcu historii i transhumanizmie</a>	9
2. <a href="#">Idee mają konsekwencje</a>	20
3. <a href="#">Obłąd wykorzenia</a>	29
4. <a href="#">Cyborg w urojonym świecie</a>	36
Kartki z kalendarza	
5. <a href="#">O Średniowieczu słów kilka</a>	42
6. <a href="#">Rewolucja nowożytna (w paru zdaniach)</a>	45
7. <a href="#">Zmierzch Zachodu. Historia politycznie niepoprawna (i rzut oka w przyszłość)</a>	53
8. <a href="#">Szaleństwo czy metoda, czyli o zachodnich programach kontroli urodzeń</a>	71
Podglądanie USA	
9. <a href="#">Amerykański republikanizm i amerykańska demokracja</a>	78
10. <a href="#">W poszukiwaniu amerykańskiej elity społecznej</a>	84
11. <a href="#">Społeczeństwo amerykańskie AD 2020</a>	89
12. <a href="#">Konserwatyści w Ameryce Bidena</a>	96
13. <a href="#">Niechlubny koniec IV wojny światowej</a>	100
Zapiski o Polsce	
14. <a href="#">O polskim kryzysie społecznym, zapisek z listopada 2017 (z dopiskiem z sierpnia 2020)</a>	104
15. <a href="#">O państwie polskim AD 2020 (zapisek z maja 2020 z dopiskami z maja i lipca 2021)</a>	109
Varia	
16. <a href="#">Nauka i poszukiwanie Prawdy na przykładzie ewolucji i celowości w przyrodzie</a>	117
17. <a href="#">O pontyfikacie Franciszka uwag kilka</a>	122
<a href="#">Zamiast zakończenia</a>	
<a href="#">Cyberkapitalistyczne imperium chciwości w drodze donikąd</a>	127
<a href="#">Literatura przywołana</a>	129

## Portrecista

Ta książka jest potrójnym portretem, portretem wyrazistym w każdym z wcieleń swej potrójności.

Po pierwsze to portret samego Autora. Jacek Koronacki jest doktorem habilitowanym nauk matematycznych i profesorem nauk technicznych, biegłym znawcą statystyki matematycznej i miarodajnym autorytetem w zakresie statystyki obliczeniowej, będącej częścią informatyki. Lecz książka „Pomiędzy obłędem a trwaniem” jest dziełem na wskroś humanistycznym, jest literaturą o takiej jakości, która dla większości socjologów, antropologów, pedagogów czy politologów jest nieosiągalna. Palców dwóch rąk było mi za dużo, gdy próbowałem sobie przypomnieć ilu uczonych i ekspertów w najszerzej pojętej polskiej humanistyce byłoby w stanie napisać takie lub podobne dzieło.

Matematyczna habilitacja Koronackiego przekonuje, że nie został, w przeciwieństwie do wielu innych, autorem rozpraw humanistycznych tylko dlatego, że nie lubił matematyki. Studia humanistyczne od lat gromadzą kandydatów wedle kryterium „byleby nie było matmy”. Matematyczność Autora przejawia się w jego bezlitosnej logice wnioskowania i konsekwencji konstruowania tekstów, konsekwencji dotkliwie chłoszczącej ewentualne nieuzasadnione spekulacje czytelnika. Jeśli Koronacki używa jakiegoś pojęcia, to oznacza ono dokładnie ile znaczyć miało. Ani więcej, ani mniej.

Jako inżynier profesjonalnie zajmujący się informatyką jest Jacek Koronacki absolutnie wiarygodny w poruszanych wątkach technologicznych i cybernetycznych. Z całą pewnością wiemy, że wie o czym pisze i tę przestrzeń zna doskonale.

Po drugie – książka portretuje czytelnika, który winien po nią sięgnąć, czytelnika, dla którego Autor podjął ten pisarski trud. Każdy autor pisze książki dla tych, którzy zechcą po nie sięgnąć, je przeczytać i zrozumieć. Kim więc jest sportretowany w ten sposób odbiorca? To człowiek, który nie brzydzi się historią i religią. To człowiek na tyle światły, że nie ulega intelektualnym modom wyrażanym w pseudonaukowym żargonie i politpoprawnej nowomowie. To obywatel, który do codziennych obowiązków rodzinnych, wychowawczych, zawodowych czy społecznych na stałe przytroczył imperatyw transmisji tradycji i wartości fundamentalnych dla (prze)trwania naszej kultury i tożsamości. I nieważne czy i jaki dyplom, tytuł naukowy ma w swoim biograficznym bagażu. Jeśli bowiem został ulepiony z papiermache wykonanej z „Gazety Wyborczej” i TVN-owskiego klajstru, to zrozumienie tego co pisze Koronacki jest dlań zupełnie niedostępne bez względu na wykształcenie. Bo to książka dla inteligenta.

Po trzecie – książka jest portretem współczesności stąd do Ameryki i w głąb czasu. Portrecista swoją uwagę skupił jednak na jej najwrażliwszych detalach, ale takich, które mocno przesądzą o jej kształcie. Nie ma tu elementów karykatury czy przerysowań, bo eseje i miniatury, z których składa się książka zostały napisane językiem łaskawym, otwartym na dyskusję i mądrość. Jednocześnie jest to portret niezwykle wprost wiarygodny i sporządzony z naukowych rozmachem. Autor z niezwykłą biegłością porusza się w świecie literatury anglojęzycznej, teorii filozoficznych, historii. Osadzenie każdego wątku w odpowiednim kokonie źródeł, autorów, faktów nie pozostawia wątpliwości, że mamy do czynienia z

wzorcową wprost rzetelnością naukową. Podjąłem tu pewien dość krotchwilny wysiłek i policzyłem, że do każdego kilkudzaniowego akapitu Autor przestudiował przynajmniej trzy książki. Chciałoby się tu zakrzyknąć „uczcie się od Koronackiego!”. Ale nie bardzo jest do kogo krzyżeć.

Autor podejmuje wątki trudne, jak ten chociażby o papieżu Franciszku, czy chybotliwe jak ów amerykański, ale jednocześnie pokazuje jakim językiem należy prowadzić spory, jak przedstawiać swoje argumenty i jak - nie obrażając interlokutora - nie zgadzać się z nim. To sztuka dawno nieobecna i chyba zupełnie zapomniana w naszej przestrzeni publicznej.

Mnie urzekł, jakże bliski sercu, esej „O Średniowieczu słów kilka”. Jest znakomity jak wszystkie pozostałe, ale dodatkowo rykoszetem obnaża bezgraniczne nieuctwo tych, którzy Średniowiecze traktują jak „ciemnowiecze”, nie wiedząc, że dają wyraz własnej ciemności. Rzec by się chciało „Błogosławione Średniowiecze”.

Wytwornym językiem i wyciszonymi emocjami porażają wnioski o „Cyberapokalipsie”, a esej o kontroli urodzeń policzkuje stępioną wrażliwość.

Na koniec refleksja smutna i postulat. Naszą kulturę i tradycję, a także tożsamość emanującą wolą samostanowienia o sobie mogą uratować tylko dobre książki. Już wiem, że książki „Między obłędem a trwaniem” nie przeczyta miazdząca większość studentów, ich utytułowanych nauczycieli, dziennikarzy, a zwłaszcza polityków. Dlatego apeluję, aby każdy z czytelników udostępnił tę książkę tym, których da się jeszcze przekonać, że przetrwamy tylko wtedy gdy zrozumiemy naturę nacierającego obłędu.

*Aleksander Nalaskowski*

## Wprowadzenie

Zachód jako podmiot społeczno-polityczny oparty na ideologii demokracji liberalnej jest widmem. Francuski filozof, historyk i politolog Alain Besançon wykazywał kiedyś, że widmem jest Rosja, ponieważ nie sposób jest dać pozytywny opis jej istoty. Fundamentem Rosji miała być filozoficzna negacja Zachodu, gdy tymczasem czysta negacja nie może być uzasadnieniem – jak powie filozof, racją – żadnego rzeczywistego bytu (podobnie rzecz się ma ze złem, które jest brakiem dobra). Także demokracja liberalna nie ma żadnego fundamentu, który ją pozytywnie określałby, i nie może przeto dać żadnej legitymacji organizacji społecznej (państwu, prawu). Tym samym np. termin „demokratyczne państwo prawa” jest dziś wewnątrznie sprzeczny.

Powyższe stwierdzenie wydaje się niektórym zbyt ostre – zawarłem je kilka lat temu w jednym ze swoich krótkich artykułów (na łamach „Rzeczpospolitej Plus Minus” w marcu 2016 roku) i tak właśnie te słowa bywają odbierane. A przecież ów brak fundamentu jest tym, z czego liberałowie są dumni i przeto nic dziwnego, że dziś – by użyć porównania Ryszarda Legutki – możemy wymarzony świat liberałów uznać za podobny do domu towarowego, w którym dostępne są wszelkie towary i każdy może sobie wybrać towar mu odpowiadający, nie zwracając uwagi na zdanie jakiegoś autorytetu, o przywołaniu racji głębszych nawet nie wspominając.

Liberalizm chciał być filozofią, ale przyjąwszy fałszywą wizję człowieka stał się programem – dziś mówi się projektem – ucieczki od namysłu nad istotą człowieczeństwa oraz od tego co dotąd dla człowieka kultury łacińskiej było najważniejsze. Ograniczył się do ucieczki, której celu nie potrafił podać. By posłużyć się przykładem, do którego jeszcze wrócę w tej książeczce. Oto zdanie z uzasadnienia wyroku amerykańskiego Sądu Najwyższego, który w 1992 roku potwierdził prawo do zabicia nienarodzonego dziecka, gdy osiągnęło zdolność do życia poza organizmem matki, o ile ciąża zagraża jej życiu lub zdrowiu:

*W sercu wolności leży prawo osoby do zdefiniowania własnych pojęć istnienia, znaczenia, świata oraz tajemnicy ludzkiego życia.*

To zdanie z pochrześcijańskiej już epoki. W tej książeczce pokazuję, że liderzy oraz zwolennicy wspomnianej ucieczki są w istocie rzecznikami obłędu i końca historii człowieka znanego łacińskiemu Zachodowi.

Każdy naród potrzebuje elity, która jest nośnikiem i przekazicielem ładu. A jeśli elity, to i uniwersytetu. Ale elita i uniwersytet, co również pokazuję, opowiedziały się – świadomie lub nie – za filozofią końca historii, a stąd śmiercią swoją i uniwersytetu.

Liberalizm odniósł chwilowe zwycięstwo, które zapowiada jego ostateczną klęskę. Zapanował nad językiem zachodniego dyskursu, ale ponieważ nie jest zbudowany na żadnym trwałym fundamencie, nie mówi człowiekowi nic sensownego, wbrew temu co twierdzi nie proponuje żadnej wolności i musi umrzeć. Nie wiadomo, co po nim nastanie. I nie wiadomo, czy człowiek Zachodu się obroni, czy też zgodzi na wyrwanie mu duszy.

Ogół zachodnich społeczeństw najczęściej zachowuje jeszcze zdolność czynienia właściwych rozróżnień, czuje, co jest normalne, a co nie – czym są cnoty, co jest prawe, a co niemoralne w świetle etyki o przednowożytnym, katolickim fundamencie. Z tym że mieszkańcy coraz większej liczby krajów Zachodu, nawet jeśli zachowali elementy etycznego zmysłu, nie wiedzą już, jakie jest jego prawdziwe źródło. Chrześcijańskie kościoły w tych krajach, także Kościół katolicki, rezygnują z niewzruszonej obrony świętego depozytu wiary oraz moralności.

Zachodni katolicyzm nie ma już gdzie trwać. Ojciec Święty Benedykt XVI mógł mówić do rozumiejącej sytuację Reszty, ale z całością współczesnego Zachodu nie miał już wspólnego języka. Współczesny Zachód nie zna już jego języka. Jak pisałem we wspomnianym artykule z 2016 roku,

*Katolicyzm się ostanie, to jeszcze nie koniec świata, ale to będzie nowy, „przedzachodni” katolicyzm, nierzadko do niedawna pogańskich, w przeogromnej większości niezachodnich ludów. Niezależnie od tego, jak to sam postrzega i jak się papież Franciszek zapisze w historii, jego pontyfikat jest pierwszym w nowej epoce Kościoła. Zbyt duża część watykańskiej i zachodniej hierarchii kościelnej skapitulowała pod naporem liberalnej ideologii (i może to dotyczyć także Franciszka), by Kościół instytucjonalny o takim obliczu mógł trwać.*

[...]

*Wszystko to dobrze rozumieją katolicy biskupi spoza Zachodu, zwłaszcza w Afryce wierni ortodoksji i swojej pasterskiej misji. Ciekawe, czy za wiek, dwa lub trzy ów nowy, „przedzachodni” katolicyzm zapanuje na prawie całym świecie.*

Dziś mamy już pewność – i wróć do tego krótko w tej książeczce – że Papież Franciszek kapitułuje pod naporem modnych ideologii i zbyt często mówi ich językiem.

Zebrane w niniejszej książeczce teksty stanowią próbę zwięzłego opisanie obecnej kondycji człowieka Zachodu i tego, jaką drogą do niej zmierzał. Pisane były w latach 2017 – 2021 i ich większość była już publikowana, ale na użytek tego tomiku zostały tak zmienione, by uniknąć niepotrzebnych powtórzeń. Z rzadka dodałem nowe informacje lub ulepszyłem wcześniejsze ujęcie danego zagadnienia. Na przykład fragmenty rozdziału 7, w którym wybiegam w geopolityczną przyszłość, zostały napisane jesienią 2022 roku. W ogromnej mierze, tak jak to było z moim wcześniejszym zbiorem mini-esejów pt. „Amerykański konserwatyzm na progu XXI wieku (wyd. von Borowiecky 2015), piszący te słowa jest w istocie jedynie myślącym i krytycznym skrybą, który powtarza te sądy ważnych konserwatywnych komentatorów oraz filozofów zajmujących się problematyką społeczną, z którymi się zgadza, i dopiero na tej podstawie buduje własne skromne syntezy.

Tytuł mówi o proponowanym Zachodowi obłędzie, mało tego, sugeruje, iż poddanie się mu oznaczałoby znalezienie się po końcu historii człowiek dotąd Zachodowi znanego. Kolejne rozdziały mają za zadanie wyjaśnić, dlaczego można uznać, iż nie tylko umarł już projekt oświeceniowy, ale także projekt liberalny. Mówią również, że to, iż niektórzy byli marksiści albo neomarksiści znaleźli się w awangardzie współczesnego niszczycielskiego nurtu antykulturalnego nie powinno nas zmylić – co proponują i wyznają nie jest neomarksizmem czy marksizmem kulturowym, ale właśnie obłędem po końcu tamtej, wcześniejszej historii. A że obecni koryfeusze postępu chcą zarazić Zachód obłędem sensu stricto, tego chyba uzasadniać nie potrzeba – jak inaczej traktować propagowanie chorych teorii zaprzeczających naturalnej płciowości albo przyzwolenie na traktowanie związków homoseksualnych na równi ze związkami małżeńskimi. I czy nie ma racji Rémi Brague, gdy pisze, że w ramach

dominujących prądów myślowych nie można uprawomocnić istnienia człowieka? Gdy niektórzy proponują człowiekowi ubóstwienie przyrody i uznanie tegoż człowieka za byt zbędny, jeśli nie niepożądany. Albo gdy inni – odrzuciwszy *logos* – uwielbili *techné* i proponują zastąpić człowieka postczłowiekiem, najlepiej „wyzwolonym” z ograniczeń niesionych przez jego cielesną powłokę?

Powtórzmy, rzecznicy owego obłędu dążą do obalenia człowieka, jak to dawno temu przepowiadał na przykład Clive Staple Lewis. Nie widząc dla człowieka miejsca na Ziemi, sami – bez żadnej przesady – żyją już po końcu historii. Są wpływowi, mają wielki wpływ na zachodnie rządy, ale świat ludzki trwa i mimo ich wysiłków historia ludzka nadal się toczy. Trwa zatem wojna o człowieka. Katolicy wierzą, że siły piekielne Kościoła nie przemogą, ale ile tego Kościoła zostanie na Zachodzie, nie wiemy. Zachód wybiera między obłędem i obaleniem człowieka z jednej strony oraz trwaniem i ożywieniem kultury z drugiej.

Niniejsza książeczka jest zatem próbą opisu tego „między” – między być może końcem Zachodu cywilizacji łacińskiej i trwaniem naszego świata. Jej pierwsza część zawiera krótki opis dróg myśli zachodniej, które prowadziły od Średniowiecza do zasypania źródeł kultury Zachodu i tym sposobem zrodzenia się idei obłędnych, dających się zamknąć w dwóch nazwach – ojkofohii i humanofobii. Dwa pierwsze rozdziały są streszczeniem syntez filozoficznych przede wszystkim dwóch autorów – wybitnego Étienne Gilsona i zbyt mało w Polsce czytanego, niestety przedwcześnie zmarłego w 2017 roku myśliciela amerykańskiego Petera Augustine’a Lawlera.

W drugiej części – w sposób wybiórczy i bardzo szkicowy – pochylam się nad pewnymi elementami historii politycznej. Pierwszy rozdział tej części poświęcony jest tematowi innemu – przypomnieniu osiągnięć naukowych i technicznych Średniowiecza. Typowe spojrzenie na Średniowiecze powtarza jego krytykę przez historyków protestanckich oraz antykatolickich i nie jest sprawiedliwe. Warto chyba zatem zacząć od właśnie takiego przypomnienia, oddającego choć trochę sprawiedliwości epoce przednowożytnej. Te „Kartki z kalendarza” – taki tytuł nosi owa druga część – cechuje mnogość cytatów z prac najznakomitszych historyków. Uznałem, że oddając im głos – sam nie będąc historykiem – mogę tym sposobem zachować trafność wykładu i jednocześnie przydać mu lapidarną formę. Przepraszam Czytelników, którym ta wielość cytatów wyda się cechą drażniącą.

Część trzecia to „Podglądanie USA”, zaś czwarta to „Zapiski o Polsce”. Gdy przedmiotem zainteresowania jest między innymi historia polityczna Zachodu, nie sposób przynajmniej nie rzucić okiem na historię Ameryki i jej dzisiejszą kondycję, przecież najważniejszego państwa Zachodu i ciągle największego mocarstwa na Ziemi. Trudno też nie poświęcić paru stron własnej ojczyźnie. Ostatnia część, pt. „Varia”, ma tylko dwa rozdziały. W pierwszym z nich wracam do odnotowanego w rozdziale 2 książki odrzucenia przez naukę nowożytną pytania o tzw. przyczyny celowe. Drugi z tych rozdziałów poświęcam Kościołowi papieża Franciszka.

Pierwszym czytelnikiem bodaj wszystkich tekstów, które napisałem po 2016 r. i które potem opublikowałem, był mój przyjaciel prof. Beniamin Gołdys. Precyzji jego myśli i jego erudycji te moje teksty wiele zawdzięczają. Niewiele z nich uznał od razu za nadające się do zgłoszenia do druku, inne poprawiał, niekiedy jego korekty miały znaczenie fundamentalne. Jestem mu za tę jego pracę ogromnie wdzięczny. W ostatnim okresie podobnie korzystałem z rad i korekt niestety przedwcześnie zmarłego Marka Chlebusia – umysłu wspaniałego i pióra niezrównanego. Marek lubił moje komentarze do jego tekstów, ja bardzo się liczyłem z jego



radami i równie chętnie z nich korzystałem jak z sugestii Beniamina. Jestem i Marka wielkim dłużnikiem, brakuje mi rozmów z nim – wiele się od niego nauczyłem.

Z wdzięcznością myślę o współpracy z redakcjami portali „Teologii Politycznej” i „Wszystkiego co Najważniejsze”. Gdyby nie dobra wola PT redaktorów tych portali, nie miałbym po co spisywać swoich refleksji. Szczególne podziękowanie składam PT Wydawcy za to, że zdecydował się tę książeczkę wydać.

*Warszawa, 30 września 2022 roku*

## **Oblęd wykorzystania**

## 1.

### O końcu historii i transhumanizmie<sup>1</sup>

#### Filozofia – przez *via moderna* do końca historii według Kojéve'a

Oczywistym filozoficznym fundamentem nauk przyrodniczych i technicznych jest racjonalizm i realizm poznawczy oraz pojęciowy – uznajemy wartość naszego poznania oraz realność tego co poznajemy i jak poznajemy, między innymi korzystając z pojęć podsuwanych przez rozum. Jak pisał wybitny polski tomista o. prof. Mieczysław Albert Krąpiec, *Pierwszym krokiem w ludzkim poznaniu jest stwierdzenie faktu istnienia rzeczy. Zanim skierujemy poznawczą uwagę na treść rzeczy, spontanicznie stwierdzamy, że rzecz jest, istnieje [...]. Stwierdziwszy istnienie czegoś, uwagę poznawczą kierujemy na to, jakie jest to, co poznajemy. Tworzymy w naszej wyobraźni i myśli obraz-znak poznawanej rzeczy [...]. Cechy poznawanego bytu w wyobrażeniowym i pojęciowym poznaniu wzbogacamy przez całe życie, a nawet przez pokolenia[...].* Ten racjonalizm i realizm króluje zresztą na co dzień w myśleniu każdego.

Tymczasem, podczas gdy wiek XIII był wiekiem racjonalizmu i realizmu (zwłaszcza za sprawą św. Tomasza z Akwinu), wiek XIV stał się wiekiem krytyki takiego nurtu scholastyki i opowiedział się po stronie sceptycyzmu, antyracjonalizmu i antyrealizmu. „Nowa szkoła” (*via moderna*) zastąpiła „starą” (*via antiqua*). Bez wątpienia najważniejszym budowniczym *via moderna* był Wilhelm Ockham. Cytując w nieco dowolny sposób z „Historii filozofii” Władysława Tatarkiewicza możemy największym skrócie napisać, iż poglądy Ockhama charakteryzuje między innymi: uznanie, że ogromna część tradycyjnej wiedzy jest pozbawiona niezawodnych podstaw; orzeczenie, iż podstawowym organem wiedzy nie jest rozum, lecz bezpośrednia intuicja i jednocześnie uznanie, że to poznanie intuicyjno-empiryczne też nie jest pewne; opowiedzenie się za konsekwentnym sceptycyzmem filozoficznym, który odrzuca arystotelesowską zasadę przyczynowości (o której słowo za chwilę) oraz wprowadza wiarę na miejsce zdyskwalifikowanej wiedzy (tzw. fideizm); zastąpienie realizmu przez konsekwentny nominalizm, który odmawia realnego istnienia pojęciom ogólnym (uniwersaliom), oraz orzeczenie, iż pojęcia ogólne istnieją tylko w umyśle, mają byt wyłącznie subiektywny; woluntaryzm, który uzależnia własności bytu od woli, zwłaszcza wszechmocnej woli Bożej.

Poglądy Ockhama – zwłaszcza gdy uwzględnić ockhamowskie widzenie Bożej wszechmocy – stanowiły zdaniem innego wybitnego dwudziestowiecznego filozofa Étienne Gilsona prawdziwą mieszkankę wybuchową. Po pierwsze według Ockhama naszym ogólnym ideom nic w rzeczywistości nie odpowiada – uniwersalia są niczym. I po drugie, jakie rzeczy nie

---

<sup>1</sup> Pierwotna wersja tego rozdziału ukazała się na stronach portalu „Teologii Politycznej” 29 stycznia 2017 r. (fragment dotyczący sztucznej inteligencji został zaczerpnięty z mojego artykułu na stronie portalu „Wszystko co Najważniejsze”, *Średniowiecze, Kartezjusz i sztuczna inteligencja*, 19 stycznia 2019 r.). Podkreśliłem tam, że tekst ten – jak wszystkie inne w tej książeczce – został napisany nie przez filozofa, lecz przez naukowca reprezentującego nauki ścisłe i techniczne, zawodowo zajmującego się rozwijaniem pewnych technik informatycznych (tzw. metod maszynowego uczenia się, które stanowią część obszaru badawczego o nazwie sztuczna inteligencja).

byłyby, to zawsze mogłyby, gdyby tylko Bóg zechciał, być inne. Bóg Ockhama uwalniał świat z posiadania własnej i trwałej natury. Bo też jaka może być natura rzeczy, skoro rzeczy są, jakie są, ponieważ taka jest wola Boga. Zaś istnienie autonomicznego ładu rzeczy, czyli ładu natury, ograniczałoby Bożą wszechmoc. W tym też miejscu unieważniona zostaje arystotelesowska zasada przyczynowości, która m.in. każe poszukiwać tzw. przyczyn sprawczych obserwowanych zjawisk czy rzeczy, czyli każe poszukiwać tego, dzięki czemu coś zaobserwowanego zaistniało, jest lub działa. Ale skoro świat nie posiada własnej i trwałej natury, nie istnieje autonomiczny ład rzeczy, to oczywiście nie ma sensu poszukiwanie rzeczonych przyczyn sprawczych. To coś zaistniało, jest lub działa z woli Boga i kropka (trochę więcej o zasadzie przyczynowości wspomnimy jeszcze w rozdz. 2 i zwłaszcza w rozdz. 16).

Wiek XIV przyniósł zatem filozoficzny sceptycyzm i szukanie pomocy dla zagubionej ludzkiej duszy gdzie indziej. Odrodzenie nie potrafiło sprzeciwić się filozoficznemu sceptycyzmowi i trzeba było czekać na Kartezjusza, który przyszedł – jak się wyraził Gilson – by nie tyle skończyć z krytyką Arystotelesa, co zastąpić go.

Kartezjusz był wielkim matematykiem. I z tego matematycznego fundamentu, a więc fundamentu myśli ścisłej i dającej wyniki absolutnie pewne (konieczne), z Kartezjusza idei „matematyki uniwersalnej” wzięło się też jego „myślę więc jestem”. Święty Tomasz znajdował myśl w bycie – gdyby nie było rzeczy, nie byłoby poznania, nie byłoby o czym myśleć. Tymczasem Kartezjusz znalazł byt w myśli – „matematycyzm” jego metafizyki, mający być zaporą przed wszelkimi wątpliwościami, nie pozwalał mu zaufać danym zmysłowym i skazywał go na poleganie wyłącznie na rozumie. Tym sposobem, przed filozofią, jako warunek wstępny umożliwiający jej uprawianie, stanęła konieczność odpowiedzi na pytanie z teorii poznania – skoro warunkiem bytu jest myśl, to najpierw muszę powiedzieć co wiem o swojej własnej myśli.

Jak to wyjaśniał Gilson, Kartezjusza matematyzacja metafizyki, wsparta w odniesieniu do ciała przyznaniem im tylko właściwości geometrycznych oraz uleganiu przez nie zmianom mechanicznym, musiała okazać się porażką. Rzeczywistość została zredukowana do dwóch idei, i stąd dwóch (jak powie filozof) substancji – myśli i rozciągłości.<sup>2</sup> Jak zatem wyjaśnić związek między myślą i rzeczą? Jak „wyjaśnić” człowieka, który jest jednością duszy i ciała? W „Realizmie metodycznym” Gilsona czytamy:

*Przekształcając konkret w mozaikę jasnych idei matematycyzm kartezjański stawał się źródłem trudności, które wieki XVII i XVIII usiłowały rozwiązać; wiek XIX zaś zwątpił w możliwość ich rozwiązania, tracąc jednocześnie wiarę w samą filozofię.*

*W jaki sposób dziedzina czystej myśli może znaleźć odniesienie do dziedziny czystej rozciągłości, skoro właściwością substancji jest to, że się wykluczają – tego nam Kartezjusz nie mówi. Pozostawiając nam myśl (nie duszę) i rozciągłość (nie ciało) nie wie on, jak wyjaśnić związek duszy i ciała.*

---

<sup>2</sup> W przybliżeniu, filozof powie, że substancja to jedność bytu wzięta sama w sobie, która o tyle o ile daje się ująć w definicję, przybiera nazwę istoty tego bytu.

Ponadto, wychodząc od myślącego rozumu, Kartezjusz odrzucił oczywistość istnienia świata i stanął przed koniecznością udowodnienia owego istnienia, w które zresztą wierzył. Duszę pojmował wyłącznie jako czynnik myśli. Tak to podsumowuje Gilson w „Jedności doświadczenia filozoficznego”:

*Kartezjusz podjął się udowodnienia czegoś, co do udowodnienia nie było możliwe, ale nie dlatego, że nie jest prawdą, lecz dlatego, że jest oczywiste. Tyle że jest oczywiste dla duszy, a nie dla umysłu. A że Kartezjusz był tylko umysłem, nie mógł za oczywiste uznać czegoś, co jest oczywiste dla duszy, a zatem dla zasady duchowej substancjalnie zjednoczonej z ciałem.*

Kartezjusz opowiedział się za dualizmem psychofizycznym i zarazem metafizycznym, czyli radykalnym, substancjalnym rozdzieleniem ciała i umysłu (duszy) – oto mamy te dwie substancje, odrębne i od siebie niezależne. Około sto lat po nim, innym źródłem nowożytnego rozstania z realizmem stał się dualizm natury i historii, wprowadzony przez Jana Jakuba Rousseau. Dualizm natury i historii nazywać będziemy dualizmem ontologicznym (od tego momentu niniejszy rozdział jest prawie wyłącznie powtórzeniem myśli filozofa amerykańskiego Petera Augustine’a Lawlera). W literaturze filozoficznej często czytamy, że pierwszym myślicielem, który wprowadził rozróżnienie między naturą i wolnością, a zatem tak sformułowaną zasadą dualizmu ontologicznego, był Immanuel Kant. Ale Leo Strauss wykazał, iż Kant budował na fundamencie myśli Jana Jakuba Rousseau. Rozróżnienie wprowadzone przez Rousseau lepiej niż u Kanta ujmuje istotę owego dualizmu.

Według Jana Jakuba Rousseau człowiek nie jest bytem określonym przez naturę, lecz jest bytem wolnym, historycznym. Naturą jest to, co działa nieświadomie wedle nieosobowych, mechanicznych praw. A zatem pojęcie natury ludzkiej (natury człowieka-osoby) jest wewnątrznie sprzeczne. Wszystko co jest specyficznie ludzkie – przynależne tylko człowiekowi – w tym język, jest zdobyczą historyczną, wynikiem samo-stworzenia. Język nie jest zdolnością naturalną i nie daje nam żadnego wiarygodnego dostępu do jakiegokolwiek rzeczywistości poza tą, która jest wytworzona przez człowieka.

Immanuel Kant bronił naszej absolutnej wolności, ale było niejasne co było tej wolności fundamentem. Próba odłączenia moralnej kategorii „osoby” od naturalnej kategorii „człowieka” musi owocować arbitralnymi i racjonalnie nie dającymi się obronić orzeczeniami. Taki dualizm może odmówić osobowości nie tylko cierpiącemu na zaawansowaną chorobę Alzheimera, ale także nowonarodzonym dzieciom, których samoświadomość nie sięga samoświadomości niektórych dojrzałych zwierząt.

Kanta obrona wolności człowieka, i metafizyki, nie mogła się powieść. Na ich miejsce przyszły filozofie Comte’a i Hegla. Étienne Gilson pisał, iż filozofie Hegla i Comte’a otworzyły drogę szczególnie pojmowanemu pragmatyzmowi. Wedle tego pragmatyzmu myśl nowoczesna nie miała odtąd służyć zrozumieniu świata i człowieka, lecz ich zmianie, najlepiej zmianie ostatecznej, kończącej historię człowieka dotąd znanego. Nad pokonaniem owej rzekomo złej historii człowieka – przecież pełnej nędzy i cierpienia, ludzkiego poczucia niezadomowienia w otaczającym go i wrogim mu świecie przyrody – rozpoczęli pracę np. tacy hegliści jak Feuerbach, Marks i Engels. W wieku XX ważnym filozofem końca historii i

heglistą był tyleż wybitny co kontrowersyjny Alexandre Kojève, zaś pragmatystą Richard Rorty.

Kojève zgadzał się z Rousseau na temat tego co jest naturalne, a co historyczne. Tym, co według Kojève'a wyróżnia człowieka, jest jego historyczne bycie, nie jego natura. Natura ludzi jest taka sama jak wszystkich poruszających się ciał. Natura ta rządzona jest tymi samymi, przewidywalnymi i mechanicznymi prawami. Natura nie ma celu. Jeśli zatem ludzie mają cel, to ten musi być historyczny. Ów specyficznie ludzki cel bierze się z ludzkiego planu pokonania zdeterminowania człowieka przez naturę czy instynkt. Celem tym jest według Kojève'a osiągnięcie przez człowieka wolności uznanej przez inne wolne byty. Natura to materia, zaś duch, który jest specyficznie ludzkim ruchem, pozostaje w opozycji do materii. Czyli dla heglisty posiadać ducha, to działać historycznie, w ramach historii. Na końcu historii pragnienia ducha zostają spełnione, a zatem duchowe dążenia znikają.

Z natury, nauczał Rousseau, ludzie żyli zgodnie z jej prawami, jak reszta naturalnych bytów, byli „uporządkowani”. Wszedłszy na drogę historycznego rozwoju do pewnego stopnia opuścili stan zwierzęcy, stali się „nieuporządkowani”. Rozpoczął się proces pokonywania natury oraz prześladowania jednego człowieka przez drugiego, koniecznych dla zaspokojenia rosnących potrzeb społecznych czyli historycznych. Odejściu od natury towarzyszy wzrost samoświadomości. Rodzi się świadomość czasu, zatem własnej śmiertelności.

Kojève, podobnie do Rousseau, umieszcza w centrum historii, czyli wyjątkowości człowieka, śmierć. Powiada, że człowiek jest jedynym zwierzęciem, które umiera, ponieważ to on tylko wie, że umrze – dziś lub jutro. Inne zwierzęta nie mają żadnego „jutra”. Ludzkie życie dzieli się na przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, gdy inne zwierzęta oraz człowiek naturalny mają tylko teraźniejszość. Świadomość śmierci, rozwój historyczny, który uczynił człowieka śmiertelnym, pozbawia człowieka zadowolenia z teraźniejszości, jak też iluzji wieczności.

Według Rousseau, postęp historii, razem z przystaniem na ryzyko śmierci bez żadnej naturalnej przyczyny, jest odpowiedzią na ludzkie niezadowolenie. Coraz mocniej umiejscowiony w czasie, coraz bardziej świadomy czasu człowiek odczuwa niezadowolenie coraz większe. Nędza jego losu coraz bardziej mu doskwiera. Z perspektywy natury, wolność człowieka jest chorobą.

Rousseau utrzymywał, że ludzie nie mogli przyjąć za swój cel stale powiększającego się niezadowolenia. Historia jest błędem. Historia dowodzi wolności człowieka, chwilowo wprowadza go w dumę, ale ludzie nie mogą nie dostrzec, iż ich duma jest tylko próżnością, ponieważ wszystko co ludzkie jest przypadkowe.

Żaden heglista, nawet Kojève nie mógł się zgodzić z Rousseau, że ludzka duma jest jedynie próżnością. Na końcu historii, a takowy już nastaje zdaniem Kojève'a, doskonała niezależność historycznego działania od tego, co człowiekowi jest dane przez naturę, potwierdza realność ludzkiej wolności. W pełni tego świadomi ludzie osiągnęli doskonałą mądrość oraz mają prawo do doskonałej dumy. Ludzkie działanie znajduje swoją kulminację na końcu historii w uniwersalnym i (pod każdym względem) jednorodnym państwie, w

którym każdy jest jednakowo wolny i w którym każdy uznaje taką wolność każdego innego człowieka.

Wszakże Kojève nie jest typowym heglistą. Uważa bowiem, że owo wzajemne uznanie ludzkiej wolności i godności będzie trwać tylko chwilę. Uniwersalne i jednorodne państwo już powstało, ale na razie tylko co do zasady, jeszcze niedoskonale zaktualizowanej. Gdy państwo to się samo udoskonali i stanie doskonale zaktualizowanym państwem uniwersalnym i jednorodnym, ludzka wolność, ludzki idealizm i zapewne samo państwo znikną. Na końcu historii ludzie nie będą już obywatelami zdolnymi do historycznego działania, a to z tego choćby powodu, że być obywatelem oznacza bycie gotowym na śmierć w imię jakiegoś ideału.

Kojève uważał zapewne, iż znaleźliśmy się na tym etapie końca historii, na którym z dumą – jako autonomiczne byty – szcycimy się swoją godnością i wolnością. Ale dzisiejsze pojmowanie godności człowieka jest wysoce nieuzgodnione, niejasne, nie ma fundamentu i zdaje się prowadzić człowieka do utraty jakkolwiek rozumianej godności. Bóg został uśmiercony i człowiek stanął na Jego miejscu. O co kiedyś mógł człowiek prosić Boga, by dlań uczynił, dziś musi to uczynić sam. Autonomia, jeśli rozumieć ją jako moralne samookreślenie się człowieka oznacza, iż musimy wyzwolić nasze umysły z wpływu rodziców, ojczyzny, tradycji, natury, Boga itd., i „być niepowtarzalnymi sobą”, jednostkami, które są bytami wolnymi, ale nie są już bytami w relacji z innymi. Tak o tych jednostkach pisze Lawler:

*nowożytna jednostka jest bytem abstrakcyjnym, wytworem ludzkiego umysłu, który ma być bardziej wolny od ograniczeń społecznych i politycznych oraz mniej ukierunkowany przez Boga i naturę na obowiązek i dobro, niż byłoby to możliwe w przypadku jakiegokolwiek rzeczywistego człowieka. Nowożytna jednostka nie jest zwierzęciem politycznym – obywatelem, mężem stanu czy filozofem – opisanym przez filozofów greckich i rzymskich, nie jest też stworzeniem społecznym i rodzinnym opisanym przez chrześcijańskich teologów. Jest zwolniona z obowiązku filozofa poznawania prawdy o naturze, z obywatelskiego obowiązku poświęcenia dla ojczyzny, z właściwego stworzeniu umiłowaniu Boga i bożej bojaźni, nawet z powodowanej miłością odpowiedzialności, bez której nie ma życia rodzinnego.*

Nowożytne, wymyślone przez filozoficzny liberalizm, autonomiczne indywiduum jest obcym – absolutnie przygodnym bytem, który nie przynależy nigdzie, jest skazany na bezustanne dążenie do zbudowania sobie własnego miejsca na świecie, a jego koniec wyznacza śmierć. Filozofowie końca historii (i pragmatyści w rodzaju Rorty’ego) uznali, iż najlepiej niespokojną egzystencję człowieka, bezdomnego na tym świecie, zastąpić spokojną egzystencją (inteligentnego) zwierzęcia. Dobrze znany polskiemu czytelnikowi Allan Bloom, zresztą wybitny uczeń Leo Straussa i Kojève’a, patrząc ponad trzydzieści lat temu na studentów najlepszych amerykańskich uczelni bolał nad tym, że ci zdają się żyć na końcu historii, nie porusza ich ani miłość, ani śmierć. Sam Bloom był chyba wewnętrznie rozdarty. Z jednej strony jego głos był głosem w obronie miłości, a przecież miłość i śmierć są z sobą nierozdzielnie związane – uśmiercenie śmierci byłoby uśmierceniem erosu w człowieku. Z drugiej wydawał się sądzić, iż większość ludzi miałaby się lepiej, gdyby straciła zdolność bycia poruszonymi przez śmierć i widział nie tylko tego możliwość, ale także tego nastanie.

Współcześni oświeceni mieszkańcy Zachodu cieszą się coraz większą wolnością od biologicznych ograniczeń niesionych przez naturę. Żyją coraz dłużej i coraz dłużej są zdrowi oraz w pełni sprawni. Dokładają też coraz więcej starań, na przykład stosując odpowiednią dietę, uprawiając sport, by taki dobry stan organizmu przedłużyć. Oddają się konsumpcji i chwilowym przyjemnościom. Wręcz starają się działać tak, jakby nasze cielesne jestestwo było wszystkim co jest. I oto, jak pisze w jakimś miejscu Lawler,

*Im bardziej jest jednostka obiektywnie wolna od przypadku, zabezpieczona przed jego działaniem, tym mocniej doświadcza swojego istnienia jako przypadkowego i tym mocniej czuje się ścigana przez śmierć. Im dalej nowoczesna technologia odsuwa śmierć, tym mocniej jest śmierć odbierana jako przypadkowa. I im bardziej przypadkowa lub niekonieczna wydaje się śmierć, tym bardziej jawi się jako straszna.*

Nowoczesna, autonomiczna jednostka, zanurzona w swojej autonomii i niezdolna do życia we wspólnocie wiążącej pokolenia, nie radzi sobie z samoświadomością śmierci i nie potrafi znaleźć się na końcu historii. Odpowiedzią na poczucie niezadomowienia w kosmosie staje się bunt – wcześniej, zgoła infantylnie, objawiający się coraz mocniejszym negowaniem wartości tego co potwierdzone tradycją i co ludzkie, a obecnie, coraz częściej i już właściwie logicznie, chęcią poszerzania zakresu ludzkiej wolności negowania natury. Dawno temu zaczęła się walka z religią i rodziną, dzisiaj mamy mieć wolność określania swojej płci. Nie mamy już być istotami biologicznymi, dzielącymi się na mężczyzn i kobiety, kierowanymi nakazem posiadania i wychowania dzieci. Możemy zachować płć daną nam od urodzenia, możemy żyć w trwałym małżeństwie i mieć dzieci, ale mocą własnego, wolnego wyboru. I jeśli tak, to najlepiej przestać myśleć i ulokować naszą nadzieję w postępie technologicznym, ponieważ to on pozwala nam coraz bardziej odseparowywać się od przyrody.

Ostatnie dekady przyniosły niesłychane przyspieszenie rozwoju teleinformatyki, biotechnologii i nanotechnologii. Przyspieszenie to stało się katalizatorem technologicznego progresywizmu w skrajnej postaci, czyli transhumanizmu i posthumanizmu.

### **Sztuczna inteligencja oraz mrzonki transhumanistyczne**

Transhumaniści wierzą w skonstruowanie superinteligencji, nieporównanie większej niż inteligencja współczesnych ludzi (wierzą w to zwłaszcza posthumaniści, dla których zbudowanie postczłowieka o ponadludzkiej superinteligencji jest przez nich oczekiwaną „osobliwością”)<sup>3</sup>. Ma to wszystko być osiągnięte dzięki rozwojowi sztucznej inteligencji.

Nie ma jednej, powszechnie przyjętej definicji sztucznej inteligencji, ale na pewno pomocne jest takie jej operacyjne określenie, zaproponowane przez jednego z pionierów tej dyscypliny,

---

<sup>3</sup> Nie będziemy tu wnikać w różnice dzielące trans- i post-humanizm, i w dalszym ciągu będziemy obydwie te nurty opatrywać będziemy nazwą transhumanizmu. Mówiąc najkrócej i nie unikając pewnego uproszczenia, transhumaniści widzą wartość oświeceniowego humanizmu, ale chcą wykroczyć poza człowieczeństwo w jego obecnym rozumieniu. Posthumanistów żaden humanizm nie interesuje – człowiek jest jednym z bytów obecnych w naturze, charakteryzuje się wyjątkowo wysoką inteligencją ogólną, ale ewolucja ma biec dalej, ma prowadzić do postczłowieka.



Nilsa J. Nilssona: *Sztuczna inteligencja jest efektem ludzkiego działania, zmierzającego do uczynienia maszyn inteligentnymi; zaś inteligencja jest tą jakością, która pozwala danemu bytowi działać właściwie i przewidywać w jego otoczeniu.*

Takie operacyjne i ogólne opisanie samej inteligencji pasuje tak samo dobrze do inteligentnej maszyny, jak i do człowieka. Maszynę stwarza człowiek. Chcąc ją uczynić inteligentną, człowiek wyposaża maszynę w pamięć, w której zapisana zostaje informacja z przeszłości – np. wszystkie dotąd spisane dzieła oraz tysiące rozegranych w przeszłości gier w szachy czy w pochodzącą z Chin grę go – oraz w czasie bieżącym zapisywane są w niej kolejne informacje docierające z otoczenia do maszyny. Maszyna musi być także wyposażona w algorytmy pozwalające przetwarzać posiadaną przez nią informację, np. uczyć się grupowania obiektów podobnych do siebie, czy odróżniania jednej klasy obiektów od innych, czy też uczyć się – oraz doskonalić na podstawie własnego doświadczenia – grać w szachy. Mając zapisane w sobie dzieła literackie, dzisiejsze maszyny są doskonale zdolne do pisania nowych powieści czy wierszy. Zaczynają również być zdolne do modyfikowania wbudowanych w nie algorytmów uczenia się.

Wszystko to jest owocem pracy naukowców i inżynierów zajmujących się od dekad dyscypliną o nazwie „maszynowe uczenie się” (dziś częściej mówi się o „uczeniu maszynowym”). Zbudowane przez nich maszyny wykonują takie same zadania jak człowiek, przy tym coraz częściej lepiej od człowieka. Podobnie rzecz się już ma – lub wkrótce będzie miała – z humanoidalnymi robotami.

Jest to wszystko zgoła normalnym i nie mającym w sobie nic tajemniczego efektem postępu naukowego. Zdziwiający jest jedynie jego tempo. I groźne dla człowieka są nie dające się przewidzieć konsekwencje owego postępu w świecie, który zgubił *logos* i oddał się *techné*.

Sztuczna inteligencja jest dziś w powijakach. Czymś zupełnie innym jest z jednej strony sprawne wykonywanie konkretnych zadań, nawet osiągnięcie w tym zakresie wyników lepszych od człowieka, i z drugiej podejmowanie się zadań nowych, wcześniej nawet w zarysie nie wpisanych w oprogramowanie maszyny. Zbudowanie sztucznej inteligencji o mocy podobnej inteligencji ogólnej człowieka zapewne nigdy się nie ziści. Wszakże już teraz uzależnienie człowieka od sztucznej inteligencji zaczyna zagrażać jego podmiotowości i właściwie pojętej tożsamości osoby ludzkiej.<sup>4</sup> Dla przykładu, potrafimy dziś nie tylko leczyć nasze ciała i władze umysłowe, lecz także je doskonalić – mamy wszak medycynę regeneracyjną, inżynierię genetyczną i inne możliwości biotechnologii. Również już obecnie możemy doświadczać wirtualnej rzeczywistości. Ponoć jacyś opętańcy wolą mieć wirtualne a nie rzeczywiste kochanki lub wymyślone przez nich ukochane.<sup>5</sup>

---

<sup>4</sup> Ad uwagi na ten temat patrz M. Szulakiewicz [red.], *W poszukiwaniu nowego człowieka – Colloquia Torunensia XXIV*, Towarzystwo Naukowe w Toruniu, 2020 i tam m.in. J. Koronacki, *Posthumanizm a technologia*; patrz też J. Koronacki, *Sztuczna inteligencja w odczarowanym świecie*, Filozofia i Nauka, t. 8. cz. 1, 2020, oraz rozdział 3 w tej książeczce.

<sup>5</sup> Więcej na temat wirtualizacji rzeczywistości w rozdziale 4.

Transhumaniści zgadzają się, że obecne i już nadchodzące osiągnięcia sztucznej inteligencji oraz biotechnologii, i szerzej społeczna inżynieria, która obala kolejne ograniczenia człowieka niesione przez kulturę i naturę, jest krokiem w dobrą stronę, ale tylko pierwszym, malutkim kroczkiem na długiej drodze do pełnego wyzwolenia człowieka z wszelkich ograniczeń, jakim dziś podlega. Najmądrzejsi z nich (np. Peter Thiel, o którym jeszcze wspomnę) dobrze wiedzą, że współczesna, radykalnie indywidualistyczna jednostka szczęścia nie może dostąpić, a zatem i prawdziwego końca historii nie będzie, póki człowiek będzie bytem obdarzonym samoświadomością. A ponieważ świadomości nie można się pozbyć, ostatecznie musi przeto przyszły człowiek pokonać śmierć i, tym samym, znaleźć się ponad historią – jego świadomość musi zyskać możliwość życia na Ziemi bez końca. Dzisiaj taki projekt osiągnięcia nieśmiertelności może się wydawać niemożliwy do zrealizowania, ale to nie znaczy, mówią transhumaniści, że nie należy ruszyć w tę stronę. Najczęściej są przekonani o możliwości dojścia do wymienionego celu.

Kartezjusz uczynił człowieka duchem (umysłem) w maszynie (ciele). Bez względu na to czy transhumaniści o tym wiedzą, czy nie, takie spojrzenie na człowieka im odpowiada. Uważają, że niewykluczone, iż człowiek nie jest najwyższym stadium ewolucji, a jeśli nawet jest, to ewolucji opisaną przez Darwina – rządzonej przez przypadek. Nadszedł czas, by rozpocząć następny rozdział w historii ewolucji, odtąd kierowanej przez człowieka, albo raczej przez nowe technologie. Mówi nam się, że to co jest technicznie możliwe, jest dobre. To rozwój technologiczny ma być siłą sprawczą i decydującą o unowocześnieniach w maszynie (ciele osoby) oraz, niezależnie od nich, siłą sprawczą doskonalenia sfery mentalnej osoby. Punktem dojścia ma być „osobliwość” oznaczająca możliwość pozbycia się przez osobę biologicznie uwarunkowanego ciała i załadowania jej świadomości do maszyny, albo kolejnych maszyn, by w ten sposób ostatecznie pokonać nietrwałość ludzkiego biologicznego życia. Nie mają też transhumaniści nic przeciwko zbudowaniu superinteligentnych maszyn albo wyposażeniu postczłowieka w taką superinteligencję.

Dobłą ilustracją transhumanistycznego myślenia jest uznanie, że „ja” jest niczym innym, jak pewną ilością odpowiednio zorganizowanej informacji zdolnej do samo-modyfikacji i modyfikacji pod wpływem bodźców zewnętrznych. Na to „ja” można spojrzeć jak na powieść – taką samą bez względu na to, czy jest zapisana w ludzkim mózgu, na stronach papierowej książki lub ma postać książki elektronicznej, czy też jest zapisana w pamięci komputera. Gdy zatem nauka odpowie nam na pytanie o tę informację i sposób jej zorganizowania, będziemy osiągniętą wiedzę mogli załadować do stosownie skonstruowanego superkomputera i tak otrzymać postczłowieka. Odpowiedź na to pytanie ma przynieść zbudowanie modelu mózgu, atom po atomie, neuron po neuronie, dającego się załadować do komputera.

Marzenia transhumanistów – ale także już prowadzone prace badawcze – sięgają daleko. W nieodległej przyszłości nanotechnologia ma dać (np. według Nicka Bostroma, Raymonda (Raya) Kurzweila, Simona Younga) nanourządzenia, które pozwolą stworzyć sztuczny system immunologiczny, czy nanoprzewody, które pozwolą sterować działaniem neuronów. A to są tylko najprostsze z oczekiwanych owoców rozwoju nanotechnologii. Oddzielenie się od własnego ciała, wirtualizacja rzeczywistości, ma biec dalej i dalej. Postludzie mają fruwać w kosmosie, mieć zdolność bilokacji oraz wybierania sobie kształtu ciała np. symulowanego

przez roje miliardów nanorobotów. Według Kurzweila, ale to dopiero gdy roje inteligentnych maszyn będą potrafiły nam w tym pomóc, będziemy nawet mogli dokonać wyboru własnej osobowości (gdzie tu „ja”, do tego podporządkowane innej inteligencji, tego on sam nie wie).

Dziś są to najczęściej tylko fantazje guru transhumanizmu, ale nie należy ich lekceważyć. Po pierwsze, w niezbyt odległej przyszłości niesłychany rozwój biotechnologii i technologii informatycznych może pozwolić na produkcję nie tylko genetycznie modyfikowanych dzieci, ale też osób dorosłych o dogłębnie – w sposób dziś trudny do wyobrażenia – zmienionych cechach motorycznych, emocjonalnych i intelektualnych, już nie tyle ludzkich, ile właśnie postludzkich. Ma się to stać możliwe m.in. dzięki specjalnym urządzeniom neuroprotetycznym, np. wprowadzanym do mózgu. Po drugie, czeka nas nie tylko przyspieszona robotyzacja stanowisk pracy oraz coraz większa autonomizacja robotów, ale także prawdopodobne próby tworzenia społeczności ludzi i humanoidalnych robotów, znowu nie bez implantów w mózgu człowieka. I po trzecie, guru transhumanizmu są nierzadko ludźmi na szczytach społecznej hierarchii, mającymi wpływ na profil badań naukowych oraz rozwój nowych technologii. Należą do tej grupy inżynierowie, naukowcy i biznesmeni z Doliny Krzemowej, z których chyba najbardziej znanym jest wspomniany Peter Thiel – doktor prawoznawstwa i student filozofii u René Girarda na Uniwersytecie Stanfordzkim, jeden z założycieli holdingu PayPal, miliarder, członek wąskiej grupy doradczej Prezydenta Eleкта, później Prezydenta USA, Donalda Trumpa; należą do niej tacy wynalazcy informatycy jak związany m.in. z koncernem Google Ray Kurzweil, czy tacy profesorowie jak Nick Bostrom, filozof z Uniwersytetu Oksfordzkiego, który jest tam dyrektorem Instytutu Przyszłości Ludzkości i w nim Strategicznego Centrum Badań nad Sztuczną Inteligencją (będącego połączoną inicjatywą uniwersytetów w Oksfordzie i Cambridge).

Rafał Tichy i Paweł Grad (magazyn „Czterdzieści i Cztery” nr 8) słusznie orzekają, że transhumanści chcą postczłowieka uczynić demonem. Ale zostawmy twórcom literatury fantastyczno-naukowej rozmyślania nad tym, jakie niebezpieczeństwo dla ludzi może nieść populacja inteligentnych humanoidalnych robotów, nie mówiąc o superinteligentnych maszynach, budujących swoje kolejne, jeszcze doskonalsze generacje. *Nota bene*, amerykański krytyk transhumanizmu, Charles Rubin, zwraca uwagę, że wspomniani twórcy piszą na ten temat mądrzej niż sami transhumanści i przypomina, iż pierwszym utworem o buncie humanoidalnych robotów była sztuka Karola Čapka z roku 1920 pt. R.U.R. (od Rossum’s Universal Robots – to Čapek wymyślił słowo „robot”). I zostawmy etykom skądinąd arcyważną debatę nad niebezpieczeństwami niesionymi przez coraz bardziej radykalne pomysły – oraz już realizowane sposoby – doskonalenia zdolności ludzkich (tzw. ulepszania człowieka, ang. *human enhancement*).

### **Transhumanizm kontra prawda o człowieku**

Natomiast zatrzymajmy się jeszcze nad obecnością transhumanizmu w dzisiejszym pejzażu myśli i kultury. Skoro zajmują się transhumanści człowiekiem, to znaczy, że dostrzegają jakąś jego wartość. Ale nie próbują zrewidować modnych dziś dogmatów filozoficznego liberalizmu, nie pytają, kim naprawdę jesteśmy, byty obdarzone własną, wyjątkową tożsamością, wolne, ale podległe różnym naturalnym ograniczeniom. Czy nie jest prawdą, że jestem bytem relacyjnym, żyjącym w relacji z innymi i nawet „wiedzieć” jest międzyosobowe, a „świadomość” to „wiedzieć z”? Czy jest coś złego w tym, jest jakimś

błędem albo defektem, że rodzę się jako przygodny byt, by kochać, szukać prawdy i umrzeć? Transhumanisci nie zadają takich pytań, lecz dają wiarę płytkiej antropologii filozoficznego liberalizmu. Doskonale autonomiczna jednostka okazuje się zagubiona, zaś transhumanista dochodzi do wniosku, że człowiek jest immanentnie niezadowolony ze swego statusu w porządku bytów i musi wziąć sprawy w swoje ręce, by własnym wysiłkiem usunąć krępujące go ograniczenia. Transhumanisci są nauczycielami zła – człowiek ma swoje osobowe i relacyjne cele podporządkować postępowi technicznemu. Tymczasem człowiek dlatego jest zagubiony i czuje niepokój, że poddaje się dyktatowi nowoczesności, gdy w istocie jest kimś innym niż nowoczesność głosi. Człowiek opisywany przez nowoczesność nie istnieje i nie istniał.

Jak już zauważyłem, projekt transhumanistyczny jest od zarania demoniczny. Transhumanisci uważają, że ich projekt reprezentuje postęp, i to postęp na drodze do spełnienia przez ludzkość jej przeznaczenia, a nie tylko postęp techniczny. Ale wyznaczaniu kierunku owego rzekomego postępu nie towarzyszy jakikolwiek etyczny namysł. O wszystkim decyduje technika, zaś konsekwencje jej stosowania są nieznanne i obojętne. Projekt transhumanistyczny sprowadza się do procesu kolejnych negacji – od zarania ma to być proces postępującej dehumanizacji, na którego końcu postczłowiek ma mieć zdolności demona.

Należy jeszcze odnotować materialistyczny redukcjonizm transhumanistycznego pojmowania świadomości i szerzej, umysłu, wynikły z takiego też patrzenia na darwinowską ewolucję. Nie potrzeba być tomistą i chrześcijaninem, żeby zdać sobie sprawę, iż nasze zdolności poznawcze i nasza świadomość nie mogą być wyjaśnione na gruncie nauk fizycznych. Wystarcza być otwartym na domenę i osiągnięcia nauk szczegółowych oraz dogłębnie wnikać w filozofie przyrody i umysłu. Jak czynią to odważniejsi filozofowie, ateista Thomas Nagel albo Roger Scruton, którzy przekonująco i precyzyjnie uzasadniają, iż to co mentalne i to co fizyczne istnieje obiektywnie, ale jedno jest doskonale nieredukowalne do drugiego – są to rzeczywistości różne, choć wspólnie stanowiące jeden byt, z tym co mentalne nie dającym się opisać przez współczesne nauki szczegółowe (p. np. Nagela *Mind and Cosmos: Why the Materialist Neo-Darwinian Conception of Nature is Almost Certainly False*, 2012).

Święty Augustyn nauczał, że ludzie są pielgrzymami, obcymi na tym świecie. Gdy pisał o państwie ziemskim, przekonywał z wielką siłą nie tylko o ludzkim wyobcowaniu, ale też nędzy i niepewności ludzkiego losu. Z tą samą siłą przekonywał, że możemy być szczęśliwi jedynie za sprawą nadziei wiecznego życia w państwie Bożym, obiecanego nam dzięki Bożej łasce. Nauczanie św. Augustyna miało zatem swoją część negatywną i pozytywną. Nowożytne przyjęcie jedynie negatywnej części nauki św. Augustyna musiało przynieść skonstruowanie bytu, który chce jedynie wolności od natury (cierpienia, śmierci) i zarazem żadnej wolności do czegokolwiek.

Peter Lawler pisze, że współczesność musi przypomnieć sobie o wolności do radowania się dobrymi rzeczami tego świata biorąc je za to czym są. Natura wyposażyła nas w zdolność poznawania prawdy. Nie jest iluzją miłość. Miłość osoby do osoby oraz miłość prawdy są powiązane z naszą śmiertelnością, od której w jakimś sensie są uzależnione i która ich nie unieważnia. Nie jest również iluzją samoświadomość, która czyni możliwymi praktykowanie

cnót i doświadczanie specyficznie ludzkich radości, i która jest uzależniona od naszych podlegających zniszczeniu ciał. Pisze też:

*Można zasadnie utrzymywać, że jeśli czujemy jakieś częściowe wyobcowanie mimo wszystkiego co daje nam natura, to dlatego, że nasz prawdziwy dom jest gdzie indziej i że w naszej naturze leży tęsknota za osobowym Bogiem. [...] Jeżeli nawet nie jesteśmy dziś gotowi przyjąć z wdzięcznością daru wiary, możemy mimo to zasadnie sądzić, iż nasza bezdomność jest ceną, jaką warto zapłacić za wszystko co możemy poznać, kochać i czynić w ciągu życia. Ponieważ możemy być zadomowieni w naszej bezdomności, możemy też porzucić nowoczesną obsesję pełnego zadomowienia się na tym świecie.*

I gdzie indziej, cytując nieco dowolnie: Prawda jest taka, że nie jesteśmy świadomymi maszynami przeznaczonymi do nieśmiertelności zawdzięczanej naszym własnym technologicznym wysiłkom. Ani czysty umysł, ani sama maszyna, ani też mieszanina umysłu i maszyny nie wie, co to znaczy być zakochanym, czy odpowiedzialnym za innych. Im więcej prawdziwie myślimy o sobie jako o bytach, z których każdy jest jednością ciała i duszy, i który jest wolny oraz relacyjny (żyje z innymi i dla innych), tym łatwiej możemy przyznać technice jej właściwe miejsce (przez duszę wystarczy tu rozumieć to, co ożywia byt z jego szczególnym przeznaczeniem – by się urodził, pragnął wiedzieć, kochał i umarł).

#### **PS o transhumanizmie mesjańskim:**

Trzeba na koniec podkreślić, że opisany tu transhumanizm nie ma nic wspólnego z transhumanizmem mesjańskim, któremu poświęcona jest duża część nru 8 magazynu „Czterdzieści i Cztery”. Przede wszystkim Rafał Tichy daje szczegółowy wykład, jak rozumieć ów mesjański transhumanizm, zaś Paweł Grad wyjaśnia jak chrześcijaństwo wykracza poza humanizm i posthumanizm akcentując niezmiennność ludzkiej natury i jednocześnie możliwość jej przekraczania przez człowieka w stanie łaski – paradoks wynikający z nadnaturalnego powołania ludzkiej natury stworzonej przez miłującego Boga i podatnej na deformację przez zwierchności i władze tego świata.

## 2. Idee mają konsekwencje<sup>6</sup>

Kto nie postradał zdrowego rozsądku, musi zadawać sobie pytanie, co sprawiło, że zachodni prawodawcy mogą dziś związki homoseksualne nazywać małżeństwami, lub zgadzają się, iż człowiek nie ma obiektywnie mu danej natury, lecz sam się określa, np. dziś ogłaszając się mężczyzną, a jutro kobietą. Odpowiedzi szukamy w dziełach historyków, filozofów, i częściej – jeśli jesteśmy przedstawicielami innych zawodów – historyków filozofii oraz historyków idei, myślicieli historiozofów. I konstatujemy, że jeśli musielibyśmy zamknąć tę odpowiedź w paru słowach kluczowych, hasła-kluczu, to nie znaleźlibyśmy lepszego niż tytuł, jakim swój esej z 1948 roku opatrzył autor z amerykańskiego Południa Richard Weaver – „Idee mają konsekwencje”.

W poprzednim rozdziale szkicowałem – cytując m.in. Étienne Gilsona i przede wszystkim Petera Augustine’a Lawlera – jak od ockhamowskiego przełomu nominalistycznego w wieku XIV, który przyniósł filozoficzny sceptycyzm, zachodnia myśl doszła do filozofii końca historii, zaś obecna zachodnia „awangarda” roi o transhumanistycznej podróży ludzkiej świadomości w nieśmiertelność. Już tamten szkic był mocnym dowodem na to, że „idee mają konsekwencje”. W niniejszym rozdziale chcę poruszyć inne wątki tego samego procesu, bliższe myśli politycznej i jej funkcjonowaniu w społeczeństwie.

Pisząc wówczas o przełomie nominalistycznym, a zatem otwarciu w filozofii *via moderna*, która zastąpiła *via antiqua*, nie wspomniałem, iż miejsce pośrednie między tymi dwiema drogami zajął Jan Duns Szkot. Ale warto od takiej wzmianki zacząć szkic obecny. Metafizyka Szkota w sposób fundamentalny i brzemienisty w konsekwencje różniła się od metafizyki św. Tomasza z Akwinu. Podczas gdy św. Tomasz wprowadził niezwykle doniosłe rozróżnienie między istnieniem a istotą, Szkot to rozróżnienie odrzucił. W tym sensie Szkota teoria bytu jako bytu była teorią bytu „jednoznacznego”. Streszczając za Gilsonem myśl Jana Duns Szkota: Każdy byt istnieje, także Bóg istnieje i, jakkolwiek co do swych właściwości Bóg różni się nieskończenie np. od Jacka, to o istnieniu Boga możemy mówić posługując się tymi samymi terminami, które stosujemy mówiąc o istnieniu Jacka. Tymczasem według Akwinaty, gdy mówimy „Bóg jest”, to wyrażamy sąd, który jest prawdziwy – co wiemy na podstawie filozoficznej analizy struktury bytów, jakie widzimy – ale nie wiemy nic o „byciu” Boga (ani o Jego istocie). Potrafimy jedynie stwierdzić konieczność istnienia Boga.

Tomizm, doszedłszy do konieczności istnienia Boga i tego, że „bycie” Boga jest dla człowieka całkowicie niezrozumiałe, potrafił pogodzić totalną transcendencję Boga z jego stałą obecnością w świecie. W przyczynowaniu sprawczym potrafił tomizm dostrzec tzw. współdziałanie uprzednie Pierwszej Przyczyny, czyli Boga – Absolutu, które nie odbiera nic obserwowanemu działaniu przyczyn sprawczych z tego świata (trochę więcej o tym w rozdz. 16). Tymczasem metafizyczna jednoznaczność w rozumieniu Szkota pozwalała na zachowanie jedynie tzw. współdziałania równoczesnego przyczyn z tego świata. W tym drugim przypadku wszystkie przyczyny działają równorzędnie i wspólnie wywołują skutek – jeśli wóz jest ciągniony przez dwa konie, to wysiłek jednego i drugiego należy zsumować, by

---

<sup>6</sup> Pierwotna wersja tego rozdziału ukazała się na stronie portalu „Teologii Politycznej” 27 grudnia 2017 r.

otrzymać skutek. Co w odniesieniu do sprawczej obecności Boga w świecie mówi tyle – im więcej sami potrafimy wyjaśnić, tym mniej potrzebujemy Bożej obecności. Z której to „możliwości” zachodnia myśl później skorzystała, z jednej strony wbijając człowieka Zachodu w pychę, z drugiej czyniąc go bytem absolutnie przygodnym i bezradnym, bezdomnym w kosmosie.

Średniowieczny ład kulturalny i polityczny Europy załamał się ostatecznie wraz z nadejściem protestanckiej reformacji. Europa późnego średniowiecza była targana konfliktami (np. wojna stuletnia), klęskami naturalnymi (wielki głód w latach 1315 – 1317, kolejne fale głodu w różnych krajach Zachodu, czarna śmierć, która przysłała w 1346 roku), kryzysem moralnym w Kościele i próbami odnowy Kościoła, oraz kryzysem papieżstwa w wieku XIV zrodzonym z ambicji świeckich monarchów, by podporządkować sobie Papieży, oraz odwrotnie – politycznych ambicji Papieży (niewola awiniońska Papieży w latach 1305 – 1377 oraz wielka schizma zachodnia, która objęła lata 1378 – 1418). Współczesnych oburzała sprzedaż odpustów i symonia, zepsucie na dworze papieskim, i także wśród kościelnych hierarchów oraz kleru. Początek XV wieku przyniósł też wewnętrzny konflikt w Kościele – o prymat władzy – między Papieżami i władzą kolegią, czyli soborami (schizma bazylejska, 1431 - 1449). Rezultatem wewnętrznej słabości Kościoła było w XV wieku przejęcie nad nim kontroli przez władze świeckie, zarówno przez monarchów, jak i świeckich książąt oraz rady miejskie na szczeblu lokalnym. Podczas gdy papieże byli coraz bardziej zaabsorbowani polityką na Półwyspie Apenińskim, władcy na północy pod pozorem wspierania koniecznej reformy Kościoła podporządkowywali sobie kościoły lokalne.

Władze świeckie, dążąc do odnowy wiary, w żaden sposób nie chciały naruszyć trwałości prawd wiary, katolickich dogmatów, czy zmienić katolickiego nauczania. Orzeczenia kościelne miały trwać niewzruszenie, albowiem – jak to podsumował Brad S. Gregory („The Unintended Reformation: How a Religious Revolution Secularized Society”, 2011) – *Jakiegokolwiek nie byłyby to problemy, były to problemy jedyne Kościoła, jaki był lub mógł być: „jeden, święty, powszechny i apostołski”*. Tak jak to głosiło nicejsko-konstantynopolitańskie wyznanie wiary.

Reformacja musiała zmienić tę optykę fundamentalnie. Odtąd miało już być wiele wyznań i wiele kościołów. Na dłuższy czas zahamowany został wspaniały rozwój europejskich uniwersytetów, które stały się bastionami obrony wyznania panującego w danym regionie mocą edyktu monarszego lub książęcego. Naturalną reakcją na zniszczenie jedności wiary stała się postępująca sekularyzacja wiedzy i kultury. Oliwy do skromnego dotąd płomyka sekularyzmu dodały XVII-wieczne konflikty religijne, które przeradzały się w wojny, przy czym nieważne było, że w przypadku wojen między państwami religijne zarzewie konfliktu traciło najczęściej na znaczeniu na rzecz zwykłego interesu politycznego – wiek XVII to wiek wojny trzydziestoletniej, wojny domowej w Anglii oraz odwołania we Francji w roku 1685 edyktu nantejskiego, który spowodował prześladowania i masową emigrację hugenotów z kraju.

Zanim umysłami Francji w XVIII wieku zaczęli rządzić encyklopedyści i nim dziesiątki tysięcy francuskich katolików, w tym zakonnic i księży, zastało zamordowanych przez francuską rewolucję, grunt pod epokę oświecenia przygotowały w XVII wieku następujące czynniki. Po pierwsze, pisał wybitny dwudziestowieczny historyk Christopher Dawson, było to powstanie we Francji i Anglii nowej warstwy laickiej inteligencji i w jej ramach wytworzenie się kasty zawodowych dziennikarzy i ludzi pióra (w Holandii warstwa ta powstała wcześniej). To ta kasta była antykatolicka i wolnomyślicielska, nieliczna, ale

niezwykle sprawna w promocji swych poglądów (szczególnie sprawni okazali się francuscy hugenoci, czy to na emigracji w Holandii, czy pozostali we Francji). Po drugie, nowa warstwa inteligentka była tylko częścią nowej klasy średniej – inną warstwę stanowiła nowa burżuazja. Ta warstwa ludzi biznesu nie była wroga religii, ale była krytycznie nastawiona do autorytetu władzy kościelnej i przeto skłaniała się do purytanizmu w Anglii oraz sympatyzowała z hugenotami we Francji. Religia była dla niej sprawą prywatną, natomiast życie społeczne było zasadniczo podległe regułom ekonomii i biznesu. I po trzecie, nauka miała się zamknąć w naturalistycznych ramach i patrzeć na świat jak na mechanizm, którego równania ruchu należy odkrywać. Nie chcąc tego, impet temu procesowi nadał w końcu XVII wieku Izaak Newton. Mechanika Newtona była według ideologicznych przeciwników obecności Boga w świecie najlepszym orężem przeciwko tej obecności – miała uczynić świat dającym się w pełni wyjaśnić mechanizmem.

Pisząc o oświeceniu, Eric Voegelin, w bardzo przystępnie napisanej książce „Od oświecenia do rewolucji”, wyszedł od następujących, fundamentalnie ważnych konstatacji: Oświecenie radykalnie odrzuciło chrześcijańskie zwrócenie się ku transcendencji, Bogu, i tam szukanie źródła oraz celu istnienia. Oświecenie zwróciło się ku wyjaśnieniu wewnętrznej struktury człowieka przez analizę jego własnego jestestwa – działanie fizycznej wrażliwości lub mechanizmu przyjemności-bólu. Przyznało prymat świadectwu zmysłów, jak powiemy, opowiedziało się za taką czy inną wersją sensualizmu (i empiryzmu, który za źródło wiedzy uznaje docierające do umysłu wrażenia zmysłowe). To odwrócenie kierunku – spojrzenie w siebie zamiast ku Bogu – stało się widoczne już u Hobbesa (1588 – 1679), u którego zorientowanie ku „najwyższemu dobru” (*summum bonum*) zostało zastąpione przez ucieczkę od „najwyższego zła” (*summum malum*) śmierci w wojnie domowej, która w owym czasie targała Anglią. Thomas Hobbes szukał takiego rozwiązania ustrojowego państwa, które będzie służyć trwałemu pokojowi. Odnotujmy, że był to także czas wojny trzydziestoletniej na kontynencie, która przez długi czas miała podłoże religijne.<sup>7</sup>

Ale, jak pisał Voegelin: *Odwróceniu kierunku towarzyszy wypaczenie idei ładu: nieporządek namiętności zostaje zaakceptowany jako normalny ład ludzkiej duszy.* Oświeceniowe proklamowanie autonomii rozumu kończy się poddaniem rozumu w niewolę namiętnościom. Jest to zniszczenie integralności osoby ludzkiej, ponieważ zostaje jej zarazem odebrany transcendentny cel istnienia. Ład nie może być przywrócony, chyba że funkcję jego odnowiciela przejmie ekspert występujący w roli prawodawcy. Fundament tego nowego niby-ładu, a jest nim mieszanka sensualizmu i utylitaryzmu, dla którego użyteczność podejmowanych działań jest miarą ich słuszności, nie ma sensu. Ale to nie przeszkodziło trwałości tego fundamentu, ponieważ stał się dogmatem świeckiej „religii” ze zbawieniem bez Boga, osiągalnym dzięki właściwie pokierowanemu procesowi historycznemu. Voegelin tak podsumowywał wymienione aspekty oświecenia: *Oświeceniowy utylitaryzm jest pierwszym z szeregu ruchów sekciarskich i totalitarnych. Kolejne to pozytywizm, komunizm i narodowy socjalizm.*

Inaczej niż we Francji wyglądało oświecenie niemieckie. Ale, jak wyjaśniał np. Étienne Gilson i co przypomniałem poprzednio, Immanuela Kanta obrona metafizyki nie mogła się powieść. Przyszedł czas na filozofie Comte’a we Francji i Hegla w krajach niemieckich.

---

<sup>7</sup> Dogłębne studium myśli politycznej od Hobbesa do końca XVIII wieku dał Reinhart Koselleck w książce pt. „Krytyka i kryzys. Studium patogenezy świata mieszczańskiego” (wyd. oryg. 1959).



Dziewiętnasty wiek zaczął się na europejskim kontynencie od triumfów liberalizmu w jego wersji prodemokratycznej oraz antykatolickiej, i jednocześnie agnostycznej albo protestanckiej. Według tyleż trafnej co lapidarnej opinii Erica Voegelina taki liberał to człowiek, który *chce brać udział w rewolucji do momentu, w którym cywilizacja zostaje zniszczona w stopniu odpowiadającym jego własnej niepełnej osobowości*. Symplicyzm wczesnego liberała polegał na tym, że sądził, iż wystarczy zniszczyć to, czego nienawidzi, a potem się wszystko jakoś ułoży. Pierwszoplanowym celem liberalizmu jest maksymalizacja wolności dla każdego obywatela, równego we wszystkim co możliwe innym obywatelom. Instytucja Kościoła oraz instytucjonalnie usankcjonowana hierarchia społeczna stały rzecz jasna na przeszkodzie tak rozumianej wolności osobistej. Wraz z likwidacją dawnego ładu hierarchicznego, podtrzymującego lokalny i partykularny charakter wspólnot, i wraz z towarzyszącym tej likwidacji rozrostem scentralizowanego państwa biurokratycznego, tradycyjne normy religijne i kulturalne traciły legitymację norm oczywistych i organicznych, uświęconych przez Boga i tradycję. Państwo weszło w rolę instytucji stojącej na straży – możliwej na danym etapie – maksymalizacji równości i wolności dla każdego. Własność prywatna przestawała być najważniejsza, a przez niektórych zaczęła być widziana jako zło, ponieważ stawała na przeszkodzie wspomnianemu dążeniu do równości i wolności dla każdego. Z czasem radykalni liberałowie stali się socjalistami, zaś umiarkowani zafundowali Zachodowi państwa opiekuńcze i demokrację liberalną.

Bodaj najlepszą, iście proroczą diagnozę demokracji dał Alexis de Tocqueville, który udał się do Ameryki po odrażającym doświadczeniu rewolucji lipcowej 1830 roku. Swoją monumentalną „Demokrację w Ameryce” wydał w latach 1840-tych. Demokracja, pisał Tocqueville, nie sprzyja myśli metafizycznej i teologicznej, rozwija zaś język służący codziennym zajęciom praktycznym. Uczy pragmatyzmu i likwiduje język zdolny przekazać doświadczenia życia duchowego. Czyni to tym skuteczniej, że starym słowom przydaje zupełnie nowe znaczenia i tworzy także słowa nowe, odpowiadające technicznemu charakterowi komunikacji międzyludzkiej. Pisał, iż demokracja zmierza ku indywidualizmowi. Indywidualizm będzie jej kulminacją, i to nie indywidualizm przeżywany przez jednostkę wyposażoną w poczucie szczególnej godności, ponieważ temu sprzeciwia się ideał równości wszystkich. Jednostka będzie słaba i bezradna, praktycznie niezdolna do udźwignięcia ciężaru odpowiedzialności za siebie i bliskich, za ich przyszłość. Tocqueville obawiał się zatem nadejścia łagodnego, administracyjnego despotyzmu, sterującego państwem dla tzw. dobra ogółu. Jednostka będzie apatyczna, niezdolna do miłości do innej osoby i do nienawiści. Jej dogmatyczna nieufność wobec wszelkiego autorytetu, w tym autorytetu osobowej władzy, uczyni ją podporządkowaną temu co bezosobowe – opinii publicznej, w istocie tworzonej przez bezimiennych „ekspertów”, albo, jak to zauważyli późniejsi myśliciele, równie bezosobowym prawom historii czy technicznego rozwoju.

W roku 1871 zaczął się w Niemczech skierowany przeciw Kościołowi (i Polakom) tzw. Kulturkampf. Wprowadzane przez kanclerza Ottona von Bismarcka reformy społeczne zostały określone jako tworzenie państwowego socjalizmu. W roku 1895 Albert Edward von Sachsen-Coburg und Gotha, późniejszy Edward VII, król Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii orzekł, iż „wszyscy jesteśmy dziś socjalistami”. Agresywnie laicka III Republika Francuska zerwała konkordat z Watykanem, upaństwowiła majątek kościelny i w 1905 dokonała kasacji zakonów. Z końcem XIX wieku w USA nastąpiła tzw. era postępową, która stała się kolebką amerykańskiej wersji lewicowej inżynierii społecznej. Jej „ojciec”, Herbert Croly, podkreślał konieczność centralizacji państwa, jeśli postępowe cele mają być osiągnięte. John Dewey – filozof pragmatysta, psycholog i przede wszystkim autor postępowych reform w powszechnej edukacji, wychowawca pokoleń postępowych

„edukatorów” – był jedną z centralnych postaci amerykańskiego (lewicowego) liberalizmu XX wieku. Dewey widział w chrześcijaństwie umierający mit. W roku 1933 był jednym z 34 sygnatariuszy tzw. pierwszego manifestu humanistycznego wołającego o nową „religię” humanizmu. Postępowy charakter proponowanej przez niego inżynierii społecznej został niesłuchanie szybko doceniony przez Sowietów, którzy w latach 1918–1920, a więc gdy jeszcze trwała w Rosji wojna domowa, przetłumaczyli aż trzy jego książki. Socjalistka Margaret Sanger założyła w 1921 roku Sojusz na rzecz Kontroli Urodzeń, wkrótce przemianowany na Planowane Rodzicielstwo (*Planned Parenthood*) – organizację, która dziś ma potężną sieć klinik aborcyjnych. Sanger stwierdzała: *Dojrzałem radykałowi odpowiada idea kontroli urodzeń, ponieważ ta obliczona jest na podważenie autorytetu chrześcijańskich kościołów. Wyglądam dnia, w którym zobaczę ludzkość wolną od tyranii chrześcijaństwa, nie mniej niż dnia, w którym ludzkość będzie też wolna od kapitalizmu.*

Niezależnie od ściśle rozumianego amerykańskiego progresywizmu równie ważnym zadaniem „kontroli urodzeń” było dla Sanger niedopuszczenie do rozrostu populacji ubogich i „społecznie nieprzystosowanych”, w tym osób umyślowo upośledzonych. Sanger od początku należała do grupy najważniejszych zwolenników i propagatorów eugeniki w USA, Wielkiej Brytanii i na kontynencie europejskim. Mimo że to wątek bardzo szczególny, warto mu poświęcić chwilę, by odpowiedzieć sobie, jak eugenika mogła się w ogóle rozwinąć na Zachodzie – przede wszystkim w Wielkiej Brytanii, Niemczech, USA i Szwecji. Mówiąc najkrócej – nie byłoby eugeniki, gdyby nauka nie zamknęła się w naturalistycznych i sejentystycznych ramach, co było niechcianym skutkiem protestanckiej rewolucji i jej wojny ze wszystkim co katolickie, i co było daleką konsekwencją jednoznaczności w metafizyce oraz przełomu nominalistycznego (p. Brad S. Gregory, *op. cit.*). O tej nauce tak ze smutkiem mówił podczas swego słynnego monachijskiego wykładu w roku 1917 Max Weber (wykład został opublikowany dwa lata później):

*Wzrastająca intelektualizacja i racjonalizacja nie oznacza [...] wzrostu powszechnej wiedzy o warunkach życiowych, którym podlegamy. Oznacza ona coś innego: wiedzę o tym, albo wiarę w to, że gdyby tylko człowiek tego **chciał**, to **mógłby** w każdej chwili przekonać się, że nie ma żadnych tajemniczych, nieobliczalnych mocy, które by w naszym życiu **odgrywały jakąś rolę**, ale wszystkie rzeczy można – w zasadzie – **opanować przez kalkulację**. Oznacza to odczarowanie świata. [podkreślenia autora]*

Ewolucjonizm Darwina został przez współczesnych mu komentatorów uznany za dowód, iż mówienie o sensie i celowości w przyrodzie, także w świecie ludzkim, jest pozbawione jakiegokolwiek transcendentnej racji (sensu nie ma w ogóle, zaś celowość może znaleźć nawet utylitarysta Jeremy Bentham w poszukiwaniu przez człowieka przyjemności, ale z transcendencją nie ma to nic wspólnego<sup>8</sup>). Neodarwinizm zastąpił etykę prawem przetrwania najlepiej przystosowanych do życia oraz (rzekomo) naukowym podejściem do wspomnienia naturalnej selekcji wśród ludzi. Tak zrodziła się eugenika, o której w tym miejscu tyle.

---

<sup>8</sup> Jeremy Bentham (1747 – 1832), do którego wrócimy w rozdz. 8, skonstruował „rachunek szczęśliwości”, w którym wyróżnił 12 przykrości i 14 przyjemności i który miał pozwalać na pomiar poziomu szczęścia osiąganego przez człowieka dzięki jego działaniu oraz doświadczanym skutkom tego działania. Człowiek jest istotą rozumną i chce maksymalizować poziom przyjemności oraz unikać przykrości. Według Benthama właściwe prawne i instytucjonalne zorganizowanie społeczeństwa sprawi, że dążenie do osobistego szczęścia będzie zwiększać pomyślność ogółu i tym sposobem pozwoli osiągać dobro moralne polegające na spełnieniu podstawowej zasady utilitaryzmu – zapewnienia największego szczęścia największej liczby ludzi.

Amerykańscy radykalni progresywiści wprowadzali w życie idee założonego na Uniwersytecie Frankfurckim marksistowskiego Instytutu Studiów Społecznych, czyli po prostu tzw. szkoły frankfurckiej, na długo nim w roku 1933 jej przedstawiciele przybyli do Ameryki, wygnani z Niemiec przez hitlerizm. Nauczyciele z Frankfurtu przybyli do Ameryki po to, by postępując wedle recept Antonia Gramsciego zniszczyć zastaną kulturę i tym sposobem uczynić możliwym zwycięstwo rewolucji. Wyciągnęli wnioski z błędnego przekonania Marksa, iż klasa robotnicza będzie zarzewiem rewolucji. Gramsci ogłosił, że potrzebny jest „marsz przez instytucje”, który w efekcie przyniesie komunistom kulturalną hegemonię w krajach Zachodu. Uczniowie frankfurckich marksistów powtarzali zatem bez końca, że społeczeństwa zachodnie są największymi w historii rezerwuarami rasizmu, seksizmu, szowinizmu, ksenofobii, homofobii, antysemityzmu, faszyzmu i nazizmu (czyli narodowego socjalizmu). W 2002 roku tak pisał Patrick Buchanan: *Chociaż szkoła frankfurcka jest nieznana prawie żadnemu Amerykaninowi, jej idee były popularne na uczelniach kształcących przyszłych nauczycieli już w latach 1940-tych i 1950-tych. I tak to w miejsce usuwanej ze szkół religii i modlitwy zaczęło się propagowanie kulturalnego pesymizmu. Młodzi, żyjący w wolności i dostatku, zaczęli widzieć swe własne społeczeństwo i swój własny kraj jako zły, gnębielski, niewart miłości i lojalności. I, dodawał Buchanan, niewarte lojalności stawało się pokolenie rodziców, ich system wartości, ich wiara i ich instytucje. Ale jak cokolwiek zbudować na gruzach niszczonej kultury?*

Jak to wcześniej zasygnalizowałem w tym rozdziale i szerzej o tym pisałem w poprzednim, na różne sposoby, najpierw Jan Jakub Rousseau, a później Hegel i jego następcy, wreszcie XX-wieczni pragmatyści i niektórzy inni filozofowie zapraszają naszą cywilizację do zakończenia ludzkiej historii. Konkludował Rousseau: historia dowodzi wolności człowieka, ale z perspektywy natury jest błędem. Zaś dwudziestowieczny pragmatysta Richard Rorty nauczał, iż ludzie powinni uznawać za prawdziwe to tylko, co uznają za pomocne w spełnieniu ich pragnień. Obydwaj filozofowie byli za powrotem człowieka do stanu inteligentnego zwierzęcia.

I oto dziś większość najbardziej – co nie znaczy najlepiej! – wykształconej „umysłowej elity” oraz jej bezmyślni mniej albo bardziej wykształceni akolici podpisują się pod programem negacji ludzkiej natury – z głupoty i ignorancji, do których zostali doprowadzeni przez ostatnie wieki ich „kształcenia”. Oni naprawdę nie wiedzą, co czynią. *Nota bene*, to, jak „kształcony” był od oświecenia obywatel Zachodu, by stał się współczesnym *homo ignoramusem*, warte jest oddzielnego szkicu i, co ważniejsze, jest dziś przedmiotem wielu poważnych i obszernych studiów.

Przywołując jedynie diagnozę wybitnego Rémięgo Brague’a, musimy się zgodzić, że w ramach dominujących prądów myślowych *nie jest możliwe uprawomocnienie istnienia człowieka*. Tu już nie o godność człowieka albo jej brak chodzi, chodzi o coś więcej – nie można odpowiedzieć na pytanie czy to dobrze, czy źle, że człowiek istnieje. I na pewno *jest człowiek z technologicznej perspektywy bytem przestarzałym, jeśli nie zbędnym*.

Zaś Yuval Levin, mniej znany ale mądry obserwator współczesności, pisze w kontekście zastąpienia *logosu* przez *techne* o odrzuceniu antropologii ciągłości pokoleń na rzecz antropologii innowacji. Ta pierwsza implikuje kultywowanie cnót i życie we wspólnocie wiążącej pokolenia, ta druga czyni fetyszem innowacje z przyszłością niezakotwiczoną w przeszłości i teraźniejszości.

Mój przyjaciel Benjamin Gołdys tak to ujął: *Antropologia innowacji działa jak zasłona oddzielająca prawdę o człowieku od rzeczywistości sztucznej, zaprasza człowieka do przejścia na stronę tej drugiej, bez możliwości spojrzenia za siebie.*

Większość obywateli Zachodu w dojrzałym wieku zrozumiała w końcu, iż spełnia rolę biernego proletariatu poddanego rządóm duchowych i intelektualnych barbarzyńców – tym razem wcale nie najeźdźców – i zaczęła podnosić świadomy bunt przeciw nienormalności. Tyle że potrzeba pokoleń, by ten bunt dopracował się – jeśli to jeszcze możliwe – własnego programu odkrycia na nowo właściwej człowiekowi kultury duchowej i wiary. Nikt nie wie, czy jest to jeszcze możliwe. Klasa rządząca kulturalnie dogorywającym Zachodem oddaje go muzulmańskim najeźdźcom. Fakt, iż najazd ten był do przewidzenia i przewidywał go sto lat temu m.in. Gilbert Keith Chesterton nic pomóc nie może. Nie wiemy, czy wystarczająca część zachodniej młodzieży, przeciw żadnej Prawdy, zechce sprzeciwić się zniszczeniu niesionemu przez filozofię końca historii, a zatem dla większości młodzieży filozofię prawie niewolniczej pracy i stąd jej względnego dostatku, pozwalającego na infantylne „używanie życia”.

### **PS o eugenicie (słów parę):**

Sam Darwin przychylnie odnosił się do „naukowego” wspomaganie naturalnej selekcji wśród ludzi. Jego kuzyn, niewątpliwie wybitnie zdolny i obdarzony wieloma talentami Francis Galton (1822 – 1911, od 1909 sir Francis Galton), wydał w roku 1869 książkę pt. „Dziedziczny geniusz” („Hereditary Genius”). Z książki tej można się było dowiedzieć, iż wszelkie nasze zdolności mentalne i fizyczne są dziedziczne. Tak Galton dał początek współczesnej eugenicie, który to termin wprowadził w roku 1883 i który znaczy ni mniej ni więcej, tylko „dobrze urodzony”. Wniosek, jaki wypływał z dzieła Galtona był prosty – wspomagać wzrost populacji „dobrze urodzonych” i zahamować wzrost populacji „słabych umysłowo”. Angielska elita intelektualna okazała się na tyle „nowoczesna”, że od początku wieku XX zalecała już nie tylko segregację „słabych umysłowo”, ale także sterylizację takich osób w wieku rozrodczym lub wcześniejszym. I jakkolwiek sam Galton był *sui generis* konserwatystą, to za sprawą jego ucznia, wybitnego statystyka i socjalisty, członka Towarzystwa Fabiańskiego, Karla Pearsona, eugenika stała się znakiem rozpoznawczym lewicowej „awangardy”. Prominentną rolę w ruchu eugenicznym pełniło małżeństwo współzałożycieli Towarzystwa Fabiańskiego, Sidney i Beatrice Webbowie, nadto zaś George Bernard Shaw, H.G. (Herbert George) Wells, córka Karola Marksa Eleonora, Harold Laski, John Maynard Keynes, Bertrand Russell. Dziś szokuje pogarda dla biednych i słabych, jaką przesycone były typowe wypowiedzi zwolenników eugeniki i jaka wynikała z proponowanych środków zapobieżenia rozmnażaniu się tej niechcianej i „groźnej dla cywilizacji” populacji. Przynajmniej jednak, mimo dużych nacisków zwolenników eugeniki, angielski parlament nigdy nie zalegalizował dobrowolnej, i tym bardziej przymusowej, sterylizacji. Uważa się, że jeśli w Anglii były przypadki przymusowej sterylizacji, to przeprowadzano ją pod jakąś przykrywką.

Za prekursora eugeniki w Niemczech uznaje się profesora Uniwersytetu w Jenie, biologa Ernsta Haeckla (1834 – 1919). Eugenika znalazła sobie tam szerokie poparcie i rozwinęła się już pod koniec XIX wieku. Od początku miała rasistowskie podłoże. W latach 1935 – 1939 przeprowadzono w Niemczech legalnie około 300 tysięcy przymusowych sterylizacji. W Szwecji eugenika rozwijała się od początku XX wieku i według oficjalnych danych w latach 1934 – 1975 przeprowadzono tam legalnie 62 288 sterylizacji. Od zarania, prawodawstwo eugeniczne we wszystkich krajach, które się na nią zdecydowały, obejmowało prawo do rozdzielania małżeństw, jeśli któryś z małżonków został uznany za upośledzonego, a w

niektórych krajach małżeństwo można było zawrzeć jedynie mając na to pozwolenie stosownego urzędu (w Niemczech znana była też instytucja małżeństwa pod przymusem, w tym przypadku dla zwiększenia populacji „prawdziwych” Niemców).

We wszystkich wymienionych dotąd krajach zwolenników eugeniki można było znaleźć wśród ludzi o bardzo różnych poglądach politycznych. Jednak przywództwo ruchu zawsze należało do adwokatów „naukowego planowania” społeczeństwa, a to znaczy socjalistów i socjaldemokratów, słowem europejskiej lewicy. Jak to komentował np. wspomniany już Sidney Webb, trudno oczekiwać zorganizowania grupy nacisku i szerokiej agitacji społeczeństwa od kogoś innego niż szermierz kolektywizmu i centralnie sterowanego postępu. Konserwatywny indywidualista, nawet jeśli nie dźwiga „ciężaru” katolickiej dogmatyki i etyki, może opowiadać się za eugeniką ze względów np. estetycznych (w XIX wieku mogła to być też wiara w słuszność teorii Malthusa), ale nie wie, jak się wziąć za budowę państwa totalitarnego. Co więcej, będąc zwolennikiem państwowej opiekuńczości, socjalista czy socjaldemokrata musi dbać o zapanowanie nad jej kosztami – czyli musi dbać, by przypadków nędzy i upośledzenia było w populacji jak najmniej. Zaś rozwiązania eugeniczne to właśnie miały zapewnić państwu „naukowo zaplanowanym”.

W dobrze udokumentowanej książce o eugenicie pt. *Higieniści*, szwedzki dziennikarz Maciej Zaremba Bielawski zwrócił specjalną uwagę na USA. Eugenika, łącznie z przymusową sterylizacją, zyskała sobie bardzo szybko dużą popularność w niektórych stanach USA, a okazała się nie do przyjęcia w innych. Znowu najkrócej – te pierwsze, to stany z postępowym rządem i zatowarowanym, nie mającym tradycji społeczeństwem. W latach 1907 – 1963 w Stanach Zjednoczonych legalnie poddano przymusowej sterylizacji ponad 64 tysiące osób (Sąd Najwyższy potwierdził prawo stanów do wprowadzania przymusowej sterylizacji w roku 1927).

### **PPS o czterech frankfurczykach:**

Z trzech najważniejszych przedstawicieli szkoły frankfurckiej – Maxa Horkheimera, Theodora Adorna i Herberta Marcusego – tylko ten ostatni z radością konstatawał, że pozostaje jedynie burzenie i zmiana dla zmiany. Uznał, że burzyć należy wszystko, co chrześcijańska kultura uznaje za wartościowe i normalne, i że najlepiej czynić to posługując się hasłami obrony dowolnych mniejszości, najlepiej seksualnych. Postulował oddanie się człowiekowi przyjemnościom, najlepiej wolnemu seksowi w jego dowolnych odmianach.

Horkheimer i Adorno, którzy wrócili do Niemiec po II wojnie światowej, byli przerażeni młodzieżową rewolucją 1968 roku. Zobaczyli, że nie znali niemieckiej młodzieży i że ta – sama o tym nie wiedząc – w jakiejś mierze powtarza niemiecką historię lat 1930-tych (p. bardzo dobre studium historyka i uczestnika studenckiej rewolty, Götza Aly’ego, pt. „Unser Kampf ’68: gniewne spojrzenie w przeszłość”). Zresztą byli już niemieckiej i innej zachodniej młodzieży niepotrzebni. Krytyka Zachodu, od której zaczęli swą pracę jako marksistowskie filozofowie, została zaabsorbowana i przynosiła owoce już niezależnie od nich. Nota bene, Theodora Adorna spotkał po wykładzie w 1969 roku obrzydliwie nieobyczajny atak ze strony studenckiego motłochu – przeciw jego uczniom – po którym załamał się i wkrótce umarł. Max Horkheimer powrócił do wiary swojego dzieciństwa i to w jej przepelnionej uduchowieniem formie.

Ten ostatni fakt jest bardzo wart odnotowania. „Nieugięci” niszczyciele, tak jak Marcuse, wybierają status inteligentnego zwierzęcia. Wystarczająco mądrzy pozytywiści czy neomarksyści – ci drudzy, jeśli nie ogarnął ich rewolucyjny szal – nawet jeśli zaczęli od

niszczenia kultury, orientowali się, iż na jej gruzach i bez pochylenia się nad tajemnicą transcendencji, także bez instytucjonalizacji ducha, niczego ludzkiego zbudować się nie da. Nawracali się zatem albo próbowali stworzyć nowe uduchowione wyznania, albo – zachowując swój agnostycyzm lub ateizm – opowiadali się za konserwowaniem tradycji.

Frankfurczyk młodszego pokolenia, Jürgen Habermas, doszedł do przekonania, że Zachód wszedł w okres społeczeństw postsekularnych, w których przestrzeni publicznej jest miejsce na religię, jako że ta nie jest zjawiskiem irracjonalnym. W przestrzeni publicznej jest miejsce dla racji religijnych i potrzebna jest refleksja z nich wyrastająca, jakkolwiek przy spełnieniu pewnych warunków, w tym uszanowaniu świeckości państwa. Podczas debaty z Kardynałem Ratzingerem w Katolickiej Akademii Bawarii w roku 2004 zgadzali się, iż rozum się „wykoleił” i podobnie widzieli niebezpieczeństwa, przed którymi stoi Zachód.

### **PPPS o Tocqueville’u i Kartezjusza dualizmie metafizycznym**

W poprzednim rozdziale przypominałem cytując Gilsona, jaką rolę w myśli nowożytnej odegrał metafizyczny dualizm Kartezjusza. Zwróciłem uwagę, że współczesny świecki transhumanizm buduje na wulgarnej wersji tegoż dualizmu. Warto odnotować jeszcze jedno. Otóż Tocqueville – pisząc o demokracji w Ameryce – wspaniale dostrzegł, iż kartezjańskie myślenie jest w praktyce myśleniem demokratycznym. Kartezjańskim punktem wyjścia jest to, że wiem, iż jestem. To właściwie wszystko, co wiem. Jestem w tym, i wszystkim co dotyczy mojej istoty, równy innym, a inni są równi mnie. A zatem ani ja, ani nikt inny nie może dzierżyć osobowej władzy nad innymi i przeto muszę być nieufny wobec wszelkiego osobowego autorytetu. Ale jeśli tak, to jesteśmy równi w swojej bezradności. Nie wiemy, jak oprzeć się temu co bezosobowe. Wielki Kartezjusz nie był temu winien, ale półtora wieku po nim bieg historii otworzył przed człowiekiem pustkę.

### 3. Krótka refleksja o obłędzie wykorzenia<sup>9</sup>

Literatura, która od bez mała dwustu lat zapowiada koniec Zachodu i wyjaśnia, jaki proces myśli i jakie działania doń prowadzą, jest ogromna. Ale chyba za mało dziś zwracamy uwagę na to, iż skutkiem tego procesu jest popadnięcie Zachodu w obłęd i że za mało ten fakt nazywamy właśnie tak – po imieniu.

Także w tym wieku powstało bardzo wiele znakomitych, dogłębnych studiów poświęconych procesowi, który prowadził Europę od jej wejścia na *via moderna* w filozofii w XIV wieku po dzień dzisiejszy. Ostatnio, trzeba to koniecznie odnotować, ważne i szerokie spojrzenie na ten proces przedstawił Bronisław Wildstein w książce *Bunt i afirmacja. Esej o naszych czasach*. Profesor Jacek Bartyzel, najważniejszy z żyjących polskich myślicieli i historyków idei, który potrafi dać studium dogłębne i jednocześnie lapidarne, dał takowe np. w tekście *Tradycja i jej wrogowie*.<sup>10</sup>

#### Parę słów przypomnienia

Na krótko przed wyborem na papieża ukazał się zbiór trzech wykładów kard. Josepha Ratzingera, *Europa Benedykta w kryzysie kultur* (Libreria Editrice Vaticana oraz Edycja Świętego Pawła 2005), gdzie możemy przeczytać takie słowa o zachodnim kryzysie kultury:

*[...] oświecenie wywodzi się z chrześcijaństwa i zrodziło się nieprzypadkowo i wyłącznie w ramach wiary chrześcijańskiej. [...] Zasługą oświecenia było i jest to, że ponownie [...] oddało właściwy głos intelektowi.*

*[...] ważne jest, czy świat pochodzi od tego co nierozumne, a wtedy rozum jest tylko „produktem ubocznym” – nawet szkodliwym – jego ewolucji, czy też świat powstał w wyniku rozumu i w konsekwencji jest ukształtowany według jego kryteriów i celów. [...] Jednak rozum pochodzący od tego co nierozumne, i który na koniec sam jest nierozumny, nie może być rozwiązaniem dla naszych problemów.*

*[...] W epoce oświecenia próbowano zrozumieć i określić zasadnicze normy moralne, mówiąc, że powinny być stworzone w taki sposób, żeby mogły mieć zastosowanie nawet wtedy, gdyby Bóg nie istniał – etsi Deus non daretur.*

*[...] doprowadzone do granic możliwości próby tworzenia rzeczy ludzkich przy zupełnym pominięciu Boga prowadzą coraz bliżej do krawędzi przepaści, ku całkowitemu upadkowi człowieka.*

Oświecenie uczyniło Rozum niezależnym od Objawienia albo ogólniej, jak u Greków, od wyższego Ładu. Rozum bez tego zaczepienia w Objawieniu, staje się podejrzany i nieważny, nie prowadzi do Prawdy, lecz donikąd. I dlatego, za Pascalem, Kardynał Ratzinger radził

<sup>9</sup> Pierwotna wersja tego tekstu ukazała się na stronach portalu „Teologii Politycznej” 13 września 2020 r.

<sup>10</sup> Patrz <https://myslkonserwatywna.pl/prof-bartyzel-tradycja-i-jej-wrogowie/>

swoim niewierzącym przyjaciółom, by żyli tak, jak gdyby Bóg istniał – *veluti Si Deus daretur*. Można być pewnym, iż kardynał, niedługo potem Papież Benedykt XVI, wiedział, że Zachód nie zawróci z marszu ku przepaści, zaś Kościół na Zachodzie *stanie się nieliczny*. Na zakończenie wykładów radiowych w rozgłośni Hessian Rundfunk ks. Joseph Ratzinger tak mówił 24 grudnia 1969 r.:

*Z dzisiejszego kryzysu wyłoni się Kościół, który straci wiele. Stanie się nieliczny i będzie musiał rozpocząć na nowo, mniej więcej od początków. Nie będzie już więcej w stanie mieszkać w budynkach, które zbudował w czasach dostatku.*

*Wraz ze zmniejszeniem się liczby swoich wiernych, utraci także większą część przywilejów społecznych. Rozpocznie na nowo od małych grup, od ruchów i od mniejszości, która na nowo postawi Wiarę w centrum doświadczenia.*

*Będzie Kościołem bardziej duchowym, który nie przypisze sobie mandatu politycznego, flirtując raz z lewicą a raz z prawicą. Będzie ubogi i stanie się Kościołem ubogich.*

*Wtedy ludzie zobaczą tę małą tródkę wierzących jako coś kompletnie nowego: odkryją ją jako nadzieję dla nich, odpowiedź, której zawsze w tajemnicy szukali.*

Dziś Zachód znalazł się na krawędzi przepaści. Popadł w obłąd. Nie ma innego określenia dla społeczeństw, w których można z powagą głosić, że człowiek nie ma obiektywnie mu danej natury, lecz sam się określa, np. dziś przedstawiając się jako mężczyzna, a jutro kobieta. Potrzeba obłądki, by zachodni prawodawcy mogli dziś związki homoseksualne nazywać małżeństwami i np. wysocy urzędnicy UE starali się karać przeciwników tego absurdałnego stanowiska. Potrzeba obłądki, żeby na uniwersytetach nauczać genderyzmu i nienawiści do własnej historii.

Sygnalizując źródła tego upadku Kardynał cofnął się do myśli oświecenia. Jak to przypominałem w poprzednim rozdziale, Eric Voegelin zwracał uwagę, że oświecenie radykalnie odrzuciło chrześcijańskie zwrócenie się ku transcendencji, Bogu, i tam szukanie źródła oraz celu istnienia. Oświecenie zwróciło się ku wyjaśnieniu wewnętrznej struktury człowieka przez analizę jego własnego jestestwa – działanie fizycznej wrażliwości lub mechanizmu przyjemności-bólu. Fundamentem tego wyjaśnienia jest mieszanka sensualizmu i utylitaryzmu. Nie ma ten fundament sensu, ale utrwalił się przez to, iż stał się dogmatem świeckiej „religii” ze zbawieniem bez Boga, osiągalnym dzięki właściwie pokierowanemu procesowi historycznemu.

Gdy piszemy o tej świeckiej „religii”, mamy w istocie na myśli nowożytną gnozę. Jak pisał Voegelin w eseju *Wissenschaft, Politik und Gnosis* (Monachium 1959, tłum. ang. *Science, Politics and Gnosticism*, Waszyngton 1968):

*Celem parazyjnego gnostycyzmu jest zniszczenie porządku bytu, doświadczanego jako wadliwy i niesprawiedliwy, i zastąpienie go dzięki twórczej mocy człowieka ładem doskonałym i sprawiedliwym. Ale, jakbyśmy nie rozumieli owego porządku bytu – czy, jak na Bliskim Wschodzie jako świata zdominowanego przez kosmiczno-boskie moce, czy jako stworzonego przez transcendentnego Boga symbolizmu judeo-chrześcijańskiego, czy jako esencjalnego ładu bytu w kontemplacji filozoficznej – ten jest czymś danym, na co człowiek nie ma wpływu. Natomiast przejęcie kontroli nad bytem wymaga unieważnienia transcendentnego pochodzenia bytu: wymaga dekapitacji bytu – zabójstwa Boga.*



Dwudziestowieczna gnoza przybrała na Zachodzie w głównej mierze postać kulturowego marksizmu. Z tym że dziś, u końca pierwszego ćwierćwiecza XXI wieku, dzieci tego marksizmu żyją już po końcu historii, ku któremu może i wiele o tym nie myśląc zmierzali. To głównie marksizm, taki czy inny, stalinowski czy kulturowy, Engelsa czy frankfurtczyków, doprowadził do tego, co widzimy.<sup>11</sup>

Napisałem, iż dwudziestowieczna gnoza przybrała na Zachodzie w głównej mierze postać kulturowego marksizmu. Dlaczego „w głównej mierze”? Ponieważ mamy jeszcze przybierające na znaczeniu, wcześniej na tych stronach zasygnalizowane zjawisko transhumanizmu. Mamy w jego przypadku do czynienia z tym samym obłędem, jakkolwiek inaczej się objawiającym – za każdym razem obłędem „wydrążonych ludzi”, by za Jackiem Bartyzelem (*op. cit.*) posłużyć się terminem Thomasa Stearnsa Eliota.

Gnostyckiego charakteru w pełnym znaczeniu tego słowa nie miał liberalizm, ale też słusznie napisał Bartyzel, że

*Ci „wydrążeni ludzie” są ofiarami „mentalności liberalnej”, stojącej u podstaw wszystkich znanych (filozoficznych, etycznych, politycznych, a nawet religijnych) konkretyzacji liberalizmu, to znaczy przeświadczenia o samowystarczalności człowieka oraz koncyptowanego i budowanego przezeń świata, a także o niezależności rozumu indywidualnego od Objawienia.*

Za Voegelinem zwróciłem uwagę, iż liberał był człowiekiem zbyt płytkim, by chciał zrozumieć, co czyni, i swojemu działaniu przypisał jakiś pozytywny – choćby i pomyłony – cel. Tak to podsumował Jacek Bartyzel, przywołując Johna Rawlsa „zasłonę niewiedzy”: *Tym samym, liberał zupełnie jawnie przyznaje, że fundamentem życia zbiorowego ma być ignorancja.*

Mentalność liberalna powoduje także filozofami postmodernistycznymi czy filozofami skończoności (p. np. synteza ich poglądów w Włodzimierza Lorenca *Filozofach skończoności*, Warszawa 2016).

### **Oblęd po końcu historii**

Obserwujemy dziś obłęd po końcu historii kulturalnej i cywilizacyjnej. Zbyt dużo racji miał kontrowersyjny Alexandre Kojève, natomiast nieuchronną klęskę ponieśli Adorno, Horkheimer czy Habermas, którzy uważali, że należy zniszczyć kulturę – odebrać młodym pokoleniom wiarę w Boga, rodzinę, zbeczczyć ojczyznę – w ten sposób „kulturalną hegemonię” panującej burżuazji zastąpić antyhegemonią nowego ładu, przejąć władzę i panując zapewnić ludowi przewyciężenie alienacji, wolność i sprawiedliwość, słowem „raj na ziemi”. To już nie czas Gramsciego, który namówił lewicę do marszu przez instytucje, to już tylko nicość, która zaowocowała obłędem.

Korzystając z metafory Aleksandra Wata – kiedyś komuniści chcieli przekucia dusz (*pierekowki dusz*), ich rozgrzania jak w kuchennym piecu rozgrzewało się było dusze żelazek

---

<sup>11</sup> W tym kontekście należy niezależnie spojrzeć na fenomen gnostycyzmu rosyjskiego; patrz Alain Besançon „Anatomia widma”, „Edukacja religijna Rosji”, „Święta Ruś”; patrz też Ewy Thompson „Zrozumieć Rosję”.

przed dotarciem pod strzechy elektryczności i nadania tym duszom nowej formy. Dziś chodzi o dusz wyrwanie – mamy mieć „wydrażonych ludzi”. To prawda, że temu marszowi już po końcu historii przewodzi lewica – kiedyś marksistowska, potem neomarksistowska i inna. Ale bo też gdzie mają pójść, skoro są ludźmi już „wydrażonymi”? Stoją na krawędzi przepaści, przed nimi nie ma już żadnej utopii, jest nicość, w którą chcą zepchnąć cały Zachód.

To nie przypadek – o czym już wspominałem – że po powrocie do Niemiec Adorno przeżył załamanie, Horkheimer powrócił do wiary swoich przodków, a młodszy od nich Habermas opowiedział się za postsekularyzmem.

*Etsi Deus non daretur ...* Oto pierwszy i najważniejszy aksjomat oświeceniowej i późniejszej myśli oraz nowoczesnej zachodniej cywilizacji. Ludzki umysł, przecież szukający Prawdy ale zbyt pewny siebie, oraz polityczna, gospodarcza i kulturalna historia Europy doprowadziły Zachód do wykorzenia myśli o Bogu i wykorzenia własnej zachodniej Tradycji (por. np. dzieło wybitnego, jakkolwiek zbyt mało znanego, katolickiego historyka Christophera Dawsona, który lokuje początek tej rewolucji w XVI wieku, za jej składniki mając trzy ze sobą powiązane rewolucje – polityczną, ekonomiczną i naukową – wszystkie tak czy inaczej związane z późnośredniowiecznym i renesansowym sceptycyzmem oraz rewolucją reformacji i ich wszystkich odmiennymi postaciami na europejskim Południu i europejskiej Północy<sup>12</sup>). Rzecz właśnie w **wykorzeniu** i dlatego wolno chyba obecny obłęd nazwać obłędem wykorzenia. Zapowiadany przez wielu upadek człowieka przyjął dziś postać obłędu.

### Śmierć uniwersytetu

Grecy rozumieli nierozzerwalność życia moralnego i intelektualnego oraz obecność Tajemnicy, która jest fundamentem naszego człowieczeństwa. Kto tę nierozzerwalność pojmuje w wieku XXI?? Ewa Thompson tak kończyła swój esej pt. *Can We communicate? On Epistemological Incompatibilities in Contemporary Academic Discourse*<sup>13</sup>, w którym przywoływała myśl Alasdaira MacIntyre’a o nierozzerwalności życia moralnego i intelektualnego:

*[MacIntyre] utrzymuje, że człowiek to nie tylko rozum, jak tego chciało oświecenie, i również nie tylko uczucie i wola, jak tego chciał Nietzsche i jego następcy. Stwierdza coś, co niewielu filozofów czasu nowoczesności ośmieliło się powiedzieć: że aby móc się komunikować, musimy w sobie kultywować pewne cnoty – te, bez których komunikacja jest najzwyczajniej niemożliwa.*

Esej Thompson wraca do tego, że poznanie intelektualne i moralność są ze sobą nierozzerwalnie splecione. Unieważniając wątek moralny nowożytność rozerwała ten związek. I zamykając naukę – oraz wiedzę! – w materialistycznych, naturalistycznych ramach, utraciła zdolność mówienia o człowieku. Tą drogą nadeszła śmierć uniwersytetu.

Bez zatrzymaniem się nad śmiercią uniwersytetu nie zrozumiemy, dlaczego obłęd wykorzenia opanował tak wielu, w tym – albo zwłaszcza – najlepiej, co nie znaczy dobrze wykształconych.

---

<sup>12</sup> Przebieg tego procesu streszczam w rozdziale 6.

<sup>13</sup> Patrz *College and the Academic Community in the European and the American Tradition*, Mark O’Connor i Piotr Wilczek [red.], Boston – Warsaw 2010.

Każdy naród potrzebuje elity promieniującej wyznawanym etosem, zdolnością czynienia właściwych rozróżnień i tym sposobem pomagającej wspólnocie wieść wartościowe życie. Bez swojej elity naród ulega degeneracji, zwolna lecz nieuchronnie przestaje być ludem żyjącym godnie we wspólnocie wiążącej pokolenia. Polska ma taką elitę, ale dziś całkowicie zmarginalizowaną, nie mającą szansy, by oddziaływać na szerokie rzesze.

Na co mniej się zwraca uwagę, każdy naród potrzebuje też Ojca, spełniającego monarchiczną rolę. Polska miała Prymasa Tysiąclecia, który prowadził „milczącą większość” – chłopów i robotników – przez trudny czas komunistycznej opresji. Dariusz Karłowicz wspaniale dostrzegł, że rolę polskiego monarchy pełnił św. Jan Paweł II. Tłumy pielgrzymujące do trumny Prezydenta Lecha Kaczyńskiego i jego Małżonki pokazały, choć wcześniej tego najczęściej nie wiedziały, iż miały Ojca w tragicznie zmarłym Prezydencie. Dziś Polska czeka na swojego ojca narodu.

Kolebką elity jest – powinien być – uniwersytet. Ale uniwersytet, jeśli rozumieć przezeń miejsce szukania Prawdy i szerzenia cnót, umarł dawno temu. „Cóż to jest prawda” pytał kiedyś Piłat, a dziś mamy się pogodzić z tym, że jej nie ma albo każdy ma swoją. Cnotę, słowo dziś nieznanne, zastąpiła „wolność wyboru”.

W roku 1953 niejaki Karl Ettinger, konsultant jednej z komisji Kongresu USA, poprosił Voegelina o opinię co myśleć o tym, że fundacje współfinansujące wyższe nauczanie chwieją się pod naporem – jak pisał w swoim liście – *związków zawodowych uniwersyteckich profesorów*, przekonujących fundacje do opowiedzenia się *po stronie 'ilościowych', a nie 'indukcyjnych' nauk społecznych z prawie zupełnym wykluczeniem badań filozoficznych i historycznych*. Rozeźlony Voegelin napisał w odpowiedzi – którą potem zachował dla siebie, a wysłaną ubrał w elegantsze słowa – że chodzi tu o przekupienie (tak, przekupienie – tego terminu użył filozof) młodych badaczy na rzecz współczesnego pozytywistycznego trendu ograniczenia się do badań ilościowych, czego efektem będzie *skażenie młodych umysłów fałszywą doktryną*, że zatem chodzi tu o zbrodnię (tak, zbrodnię) wyrosłą z *ignorancji, której źródłem jest [...] pogarda dla życia intelektualnego i duchowego, będących fundamentem życia ludzkiego i społecznego*. Drogą do tego skażenia jest ideologia *metodologicznej ścisłości*, która skazuje studenta na fałszywą alternatywę pozytywizm kontra materializm dialektyczny i *edukacyjne pranie mózgu*. Napisał też, że jeśli prąd ten nie zostanie szybko zatrzymany, czeka nas koniec uniwersytetu.

Czy słuchając ideologów w profesorskich togach, którzy rządzą uniwersytetami oraz finansowaniem badań – zwłaszcza na Zachodzie, ale w coraz większym stopniu także u nas – trzeba jeszcze rozpisywać się, by udowodnić trafność prognozy Voegelina? Zaczadzony trucizną liberalizmu i neomarksizmu uniwersytecki *homo ignoramus* kształci szkolnego nauczyciela i dziennikarza, i tak choroba się rozprzestrzenia, z pokolenia na pokolenie zarażając coraz więcej osób.

To, przeciwko czemu protestował Voegelin w 1953 roku, było już dobrze przygotowane przez wcześniejszych zachodnich „edukatorów”. Przy czym prawdziwym fundamentem ich niszcycielskiego dzieła był nie tyle „marsz przez instytucje”, co zawładnięcie językiem międzyludzkiej komunikacji i tego języka unicestwienie.

Jak pamiętamy, już Alexis de Tocqueville zauważył, że demokracja nie sprzyja myśli metafizycznej i teologicznej, uczy zaś pragmatyzmu i likwiduje język zdolny przekazać doświadczenia życia duchowego. Liberalizm pogłębił ten proces psucia i zubożania języka

oraz opowiedział się po stronie moralnego nihilizmu. Co nie mieści się w liberalnym kanonie, zostaje uznane za irracjonalne. W przestrzeni publicznej, na uniwersytecie i poza nim zniszczony został język, który mówi o rzeczywistym człowieku, jego cnotach i grzechach, jego tęsknotach i przesadach (właściwie przed-sądach, czyli ocenach przyjętych mocą tradycji i obowiązującego kodeksu moralnego), o wszystkim tym, co czyni jego życie wartym przeżycia.

Gdy Victor Klemperer analizował język hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy, tak pisał:

*Każdy język, który może swobodnie funkcjonować, służy wszystkim ludzkim potrzebom: jest narzędziem zarówno umysłu, jak i uczucia, środkiem informacji i rozmowy, monologu i modlitwy, prośby, rozkazu i zaklęcia. LTI [Lingua Tertii Imperii, czyli Język Trzeciej Rzeszy – przyp. jk] służy wyłącznie temu ostatniemu.*

Czyż dzisiejsze teksty oraz wypowiedzi rzeczników „wolnego wyboru”, „różnorodności”, promocji LGBT i transpłciowości, wśród profesury i w mediach, nie są wyłącznie pełną zaklęć nowomową?

### **Czy George Orwell miał rację?**

Jeśli jest jakaś nadzieja, to w robotnikach (*if there is any hope, it lies in the proles*), pisał George Orwell w dystopii *Rok 1984*. Dziś odpowiednikiem robotników jest „milcząca większość”.

Czy w roku 2020 można pokładać nadzieję na uzdrowienie opisywanego obłędu w orwellowskich robotnikach – pozostawionej samej sobie milczącej większości? Ta część milczącej większości, która pozostaje wierna językowi i obyczajom swoich przodków – co dzisiejsza awangarda uznaje za wybór irracjonalny – jest dziś skazana na zamknięcie się w rodzinnej wspólnotce i niekiedy kościele. Niewielu z nich aktywnie włącza się w życie Kościoła np. pielgrzymując do miejsc szczególnego kultu. Inni, a jest ich większość, za normalne uznają to co nienormalne, ale narzucane przez prymitywne media, oddają się komputerowym grom, oglądaniu do upadłego filmów, meczów i np. słuchaniu disco-polo.

Wszyscy razem stanowią bierny proletariatus skazany na społeczną acedię, nie tylko bez wpływu na kondycję narodowej wspólnoty, ale znajdujący się pod presją wywieraną przez ośrodki władzy unijnej oraz krajowe środowiska owładnięte – autentycznie albo nieprawdźliwie – opisanym tu obłędem. Środowiska te są obecne w świecie polityki, mediów, nauki, wśród celebrytów. I środowiska te zdołały narzucić język, w którym toczy się publiczna debata nad promowanymi przez nie wynaturzeniami. A to musi pogłębić społeczną konfuzję, by w końcu przynieść pogodzenie się milczącej większości z obecnością tych wynaturzeń w przestrzeni publicznej (np. pogodzenie się z legalizacją transpłciowości). Szerzone historyczne kłamstwa skazują młodzież na utratę poczucia łączności z ich ojczyznami.

Dobrze opisał ten proces Marcin Kędziński w tekście pt. *Przemija bowiem postać tego świata*. *LGBT, Ordo Iuris i rozpad katolickiego imaginarium*.<sup>14</sup>

---

<sup>14</sup> Patrz <https://klubjagiellonski.pl/2020/08/08/przemija-bowiem-postac-tego-swiata-lgbt-ordo-iuris-i-rozpad-katolickiego-imaginarium/>

Zaiste, jeśli można mieć nadzieję, że odbudowa katolickiego *imaginariu*m jest możliwa, to na pewno poza panującym systemem. Zacząć się powinna od założenia nowych uniwersytetów, czyli od mądrego kształcenia przyszłych pokoleń. Mamy potrzebną do tego kadrę akademicką, ale też to praca na pokolenia i niestety wymagająca ogromnych oraz regularnie ponoszonych nakładów finansowych. Praca od podstaw w państwie – czy raczej na obrzeżach państwa – w którym owładnięci obłędem mają zbyt wiele do powiedzenia.

### **PS czyli lista naczelných objawów obłędu wykorzenienia**

Niniejszy i wcześniejsze rozdziały mówią o jego czterech rodzajach:

(i) Zastosowanie się do postulatu Jana Jakuba Rousseau – nieważne, że nieświadome – by człowiek wrócił do stanu inteligentnego zwierzęcia, żył, by ... żyć, bezrefleksyjnie (jak wiemy, Rousseau wierzył w dualizm natury i historii – człowiek nie jest bytem określonym przez naturę, lecz jest bytem wolnym, historycznym; naturą jest to, co działa nieświadomie wedle nieosobowych, mechanicznych praw, natomiast wszystko co jest specyficznie ludzkie – przynależne tylko człowiekowi – w tym język, jest zdobyczą historyczną, wynikiem samostworzenia; język nie daje nam żadnego wiarygodnego dostępu do jakiegokolwiek rzeczywistości poza tą, która jest wytworzona przez człowieka; historia jest błędem, chorobą, przyniosła nieznośną świadomość śmierci; trzeba się tej świadomości pozbyć, żyć jak zwierzę, które nie wie, że umrze).

(ii) Pokonanie natury (biologii), a zatem postulat kontynuowania przez człowieka jego postludzkiej już ewolucji – to współczesny transhumanizm z jego pomyłonym marzeniem o przeniesieniu naszych świadomości do komputerów (powrót do stanu inteligentnego zwierzęcia nie jest możliwy, ponieważ nie jest możliwe wyeliminowanie świadomości śmierci, ta człowiekowi doskwiera i w tym świetle zgoła logiczny jest wybór transhumanistów, którzy chcieliby stać się nieśmiertelni).

(iii) Wydanie totalnej wojny naturze – biologii i prawu naturalnemu – i ogłoszenie, że naturę wybieramy sobie sami jako jednostki i społeczeństwo (niektórzy, jakby przestraszeni posiadaniem ludzkiej natury, opowiadają się za nieograniczoną wolnością jej negocjowania – ogłaszają, że wszystko, co dotyczy człowieka, jest sprawą ludzkiego lub społecznego wyboru).

(iv) Ubóstwienie natury (przyrody) i ogłoszenie, że jesteśmy naturze (przyrodzie) niepotrzebni, a jej dobrostanowi przeszkadzamy.

Jest jeszcze jeden wyraz współczesnego obłędu wykorzenienia, bezpośrednio dziecko neomarksizmu w tej czy innej wersji i związanego z nim edukacyjnego prania mózgów. To chora nienawiść do własnej historii, właściwie nienawiść białego *homo ignoramus*a do historii białego człowieka.

Cztery pierwsze rodzaje obłędu można opatrzyć wspólną nazwą humanofobii (termin ten zaproponował w tygodniku "Idziemy" za Małgorzatą Felicką o. prof. Dariusz Kowalczyk). Ostatni to ojkofobia, którą jako pierwszy opisał Roger Scruton.

## 4.

### Cyborg w urojonym świecie<sup>15</sup>

#### Metawersum

Stanowimy dziś „społeczeństwo sieci”. Internet połączył ze sobą miliardy komputerów, których właścicielami są osoby prywatne i różne organizacje, które służą przedsiębiorstwom, bankom, koncernom, rządowi, armiom, społecznościom internetowym itd. Internet to sieć albo „sieć sieci”, w której mniejsze sieci lokalne mogą działać niezależnie od siebie, ale są połączone w jedną sieć globalną. Przy tym owa lokalność nie jest już pojęciem geograficznym, ale dotyczy sieci przepływów informacji. Na przykład może to być sieć należąca do globalnego koncernu i łącząca komputery z całego świata, byle należące do tego i tylko tego koncernu. Internetowi obca jest także kategoria czasu. Przepływają w nim informacje z różnych czasów i dowolnej wagi – Księga Rodzaju i dzisiejszy list Jacka do Ryszarda. Każda osoba z komputerem podłączonym do sieci ma taką samą możliwość odbierania dowolnych treści tekstowych, obrazowych i multimedialnych, jak i ich tworzenia oraz rozsyłania.

Tak było już na przełomie XX i XXI wieku (dziś dotyczy to także każdej osoby posiadającej smartfon czy podobne urządzenie). I już wtedy było jasne, że możliwość komunikacji przez Internet, tworzenia później rozsyłanych przez sieć oraz odbierania treści multimedialnych będzie miała ogromny wpływ na kulturę i kondycję człowieka w otaczającym go świecie.

Przez całą dotychczasową historię wartości i cele społeczeństwa rodziły się na styku wiary i Objawienia oraz codziennego doświadczenia, zmagania się człowieka ze światem, związków między ludźmi, którzy żyli w określonym miejscu i czasie. Ale paradygmaty wieku informacji są inne. Jak pisał w swojej trylogii Manuel Castells („Wiek informacji: Ekonomia, społeczeństwo i kultura”, 1996 - 2000): *Z jednej strony dominujące funkcje i wartości społeczne organizowane są w warunkach równoczesności bez odwołania do miejsca; innymi słowy organizowane są w przepływy informacji, umykające doświadczeniu związanemu z jakimkolwiek umiejscowieniem w przestrzeni. Z drugiej strony, dominujące wartości i interesy konstruowane są bez odniesienia do przeszłości lub przyszłości, w beczasowym pejzażu sieci komputerowych i mediów elektronicznych, gdzie wszystko co jest wyrażane, jest albo równoczesne, albo bez przewidywalnego następstwa. Wszystkie komunikaty ze wszystkich czasów i ze wszystkich miejsc są wymieszane w jednym hipertekście, ciągle inaczej układanym i przekazywanym w dowolnej chwili, dokądkolwiek, zależnie od interesów nadawców i nastroju odbiorców.*

Tym sposobem człowiek zanurzał się w wirtualnym świecie hipertekstowej komunikacji. I już wtedy zwracał Castells uwagę – a witał ten fakt z ostrożną aprobatą – iż rzeczywista bytowość człowieka może stopniowo zanurzyć się bez reszty w tym świecie wirtualnym, że to wirtualności przyda człowiek atrybut bycia rzeczywistą, za mniej atrakcyjny uznając świat realny.

Rok 2003 przyniósł umieszczenie w komputerowej sieci co najmniej dwóch światów wirtualnych, *There* (prototyp pojawił się w 2001) i *Second Life*. Zainteresowani tymi światami ludzie wprowadzają do nich człekopodobne awatary o takich profilach psychologicznych, zawodowych, jakich sobie życzą, one zaś włączają się do życia na takiej

---

<sup>15</sup> Pierwotna wersja tego rozdziału ukazała się na stronach portalu „Teologii Politycznej” 3 stycznia 2022 r.

wirtualnej „planecie”. Firmy zaczęły mnożyć w Internecie światy wirtualne. Marsz ku rzeczywistej wirtualności nabral rozpędu, przyciągając do swoich światów – czy raczej zanurzając w nich – coraz więcej entuzjastów. Jeszcze wcześniej niesłychanie dynamicznie zaczął się rozwijać rynek gier komputerowych w sieci z udziałem na żywo nawet setek czy tysięcy graczy (ang. *Massively Multiplayer Online Games*). Z czasem takie gry zaczęły być rozgrywane w światach wirtualnych, ale i bez tego ich siła przyciągania – i tym samym odciągania od kontaktu ze światem prawdziwym – jest w przypadku wielu ludzi przemożna.

Pobyt w świecie wirtualnym daje dziś nie tylko możliwość poruszania się w nim i widzenia go, ale także odbierania sygnałów przez inne zmysły – słuch, dotyk, węch. Dzieje się tak za pośrednictwem specjalnego sprzętu, np. specjalnych gogli i rękawic. Jutro kontakt człowieka z owym światem ma być jeszcze głębszy, a to np. „dzięki” interfejsom mózg-komputer, czyli domózgowym implantom.

Coraz więcej mówi się obecnie o metawersum, które ma być kolejnym krokiem milowym na drodze ze świata prawdziwego do wirtualnego. Ma dać możliwość przenoszenia się z fizycznego świata rzeczywistego do trójwymiarowych światów wirtualnych, informatycznie zespolonych w jeden wielki, globalny „metasystem”, pozwalający przejść z jednego świata wirtualnego do innego. W tych światach będziemy mogli przebywać stale, z możliwością ich jednoczesnego doświadczania. Każde z nas będzie mogło znaleźć się w każdym z tych światów i każde z nas będzie się czuć prawdziwie obecne w wybranym świecie wirtualnym.

Dla osoby starszej brzmi to co najmniej obco, jeśli nie absurdalnie. Osoba starsza nie chce uciec ze świata, w którym żyje, do świata urojonego, chyba że nie potrafi znieść nieszczęścia, do którego Bóg dopuścił, a los jej przyniósł. Najczęściej Internet i usługi przezeń dostarczane – poczta elektroniczna, książki elektroniczne, również spotkania w sieci – są dla takiej osoby narzędziem, innym i wygodnym, ale pełniącym te same funkcje co np. list napisany na papierze czy książka wydrukowana (*nota bene*, autor tego tekstu nie napisałby z przyjacielem i mentorem dwóch książek, gdyby nie było Internetu – pierwsza z nich powstała w 1993 r., a pisana była przez pierwszego jej autora w Houston i przez piszącego te słowa w Warszawie). Liczy się dla takiego użytkownika Internetu treść, nie medium ją niosące.

Na marginesie wypada odnotować, że wizja metawersum nie ziści się jeszcze długo – zarówno ze względów technicznych, jak i biznesowych – ale w to nie warto tu głębiej wnikać. Pomijając potrzebę dalszego rozwoju techniki strumieniowego (w czasie rzeczywistym) przesyłania danych, obrazowania ruchu, rozpoznawania emocji ogarniających użytkownika i innych tego typu aspektów, wystarczy nadmienić, że wizja ta będzie wymagać zbudowania jednej, zunifikowanej platformy (wspomnianego już globalnego „metasystemu”), która umożliwi użytkownikom interakcję ze wszystkimi usługami sieciowymi oraz między sobą nawzajem, podczas gdy dziś te usługi istnieją na różnych i różnie zbudowanych platformach informatycznych. A to będzie trudne technicznie i dziś owe platformy – innymi słowy firmy je utrzymujące – konkurują między sobą o użytkowników strzegąc swojej inności. Jest to wielka wojna o klienta – co jest zgodne z prawami epoki chciwości i oszalałego, gdy o jego tempie myśleć, postępu technicznego. Ściślej, jest to wojna o zagospodarowanie tego klienta czasu wolnego. Ten wolny czas był kiedyś fundamentem kultury, w Grecji Arystotelesa znany pod nazwą *skole*, później przetłumaczony na łacinę jako *scola*, co wspaniale przedstawiał Josef Pieper w eseju "Musse und Kult" (tłum. ang. „Leisure: The Basis of Culture”, czyli „Czas wolny: podstawa kultury”). Był to czas refleksji, otwarcia umysłu i duszy na chłonięcie rzeczywistości świata, religijnej kontemplacji. Niewłaściwie pomyślany,

bez wpływowej elity, która tak ów czas chciałaby rozumieć, jest dziś wolny czas wyłącznie jednym z nośników antykultury.

Metawersum w ścisłym tu przywołanym sensie może być śpiewem przyszłości, ale nie jest nim narkotyk dzisiejszej rozrywki – tych wszystkich gier oraz światów wirtualnych – i również najróżniejszych serwisów społecznościowych, które oferują pozór autentycznego kontaktu międzyosobowego. Z metawersum, czy bez niego, bez żadnych światów wirtualnych „żyjących” na informatycznych platformach, na przełomie XX i XXI wieku cywilizacja zachodnia ruszyła ku opisanej wówczas przez Castellsa rzeczywistej wirtualności. I nadała nowy impet myślowej i moralnej dezorientacji – i degeneracji – społeczeństw. Na anegdotycznym przykładzie – stwarzając każdej i każdemu takie samo prawo bycia opiniotwórcą ułatwiła przydanie przez szeroki ogół takiej godności niemądrej aktorce i niemądrym aktorowi. Ale to nie postęp techniczny należy za to winić.

Marshall McLuhan wyprzedził czas, gdy w 1964 roku opublikował książkę pod znamienym tytułem „Zrozumieć media: przedłużenia człowieka”. Pisał wtedy, że środki przekazu same są przekazem, a nie (tylko) przekazicielem, że – no właśnie – są „przedłużeniem człowieka”. Internetu jeszcze nie było, na dobre zagościł w świecie 25 lat później. I to zanurzenie człowieka w Internecie też dobrze opisywał wspomniany Castells oraz cały legion innych badaczy, zresztą entuzjastów owego zanurzania się człowieka w rzeczywistej wirtualności. O co McLuhan nie pytał, a tym bardziej późniejsi badacze, to o fundamentalną przyczynę takiego obrotu spraw ludzkich.

Tym fundamentem jest kultura i na niej budowana cywilizacja. A jeśli kultura, to kult oraz wspólnie przeżywane rozumienie sensu życia. Na przełomie XIX i XX wieku było już jasne, że Zachód wkracza w nową epokę – triumfu kultury zsekularyzowanej (po raz kolejny nie potrafię powstrzymać się, by nie wspomnieć w tym miejscu o paru esejach pióra Christophera Dawsona, zwłaszcza jego eseju „Humanizm i nowy ład” ze zbioru pt. „Essays in Order”, 1931; spojrzenie Dawsona mówi o procesie upadania chrześcijańskiego Zachodu nieskończenie więcej niż np. morfologiczne ujęcie historii przez Spenglera).

Zaiste, jeśli spojrzeć na Zachód jako całość, trudno zaprzeczyć, iż cel epoki wcześniejszej został osiągnięty – kościoły chrześcijańskie zostały zepchnięte na margines. Lud nadal się modlił, gdzieniegdzie masowo, gdzie indziej szybko zapomniał o modlitwie, ale jeśli się modlił, to poza nurtem dominującej kultury. Problem wszakże polegał na tym, że bez modlitwy umierało poczucie sensu. Chrześcijańska etyka, jakkolwiek Zachód na niej pasożytował, zawisła w próżni. Co pielęgnować, kultywować, jeśli człowiek ma być swoim własnym projektem, samemu będącym miarą wszystkiego – decydującym czym są prawda, dobro i piękno? Jak to już opisaliśmy, kręgi opiniotwórcze Zachodu wybrały totalne wykorzenienie, które przyniosło obłąd.

### **Technomistycyzm**

Opisywane tu „ucyfrowienie” człowieka – przeniesienie go w rzeczywistą wirtualność świata cyfrowego, w szeroko rozumiane metawersum, jest jednym z wyrazów tego wykorzenienia. Nie miejsce tu, by głębiej wnikać w intelektualne różnice dzielące stanowiska proroków wieszczących ziszczenie się epoki nowego człowieka, żyjącego w rzeczywistej wirtualności, którzy widzą taką przyszłość losu ludzkiego jako naturalną albo wręcz pożądaną. Oczywiście i niezbywalnym wspólnym mianownikiem tych stanowisk jest naturalizm, a zatem odrzucenie jakichkolwiek założeń odwołujących się do czegokolwiek ponadnaturalnego. Wspólne im jest przekonanie, że żyjemy w „globalnej wiosce”, zaś to co



lokalne, związane z lokalną tożsamością, jest fikcją. Oczywiście, jeśli prorocy ci przywołują Kartezjuszowy dualizm psychofizyczny, to w wersji – jak ją nazywał ciekawy myśliciel amerykańskiego Południa Walker Percy – „pop”, czyli uznającej, że w rzeczywistości nie ma niczego duchowego. Jeśli mówić o duszy ludzkiej, to wyłącznie w kategoriach psychologicznych, jako czymś co daje się zamknąć w naturalistycznych ramach. Ci, którzy orędują powstaniu nowego człowieka albo jego powstanie przewidują bez smutku, ale i bez radosnych wypieków na twarzy, gdy mówią o metafizyce, to po to tylko, by orzec, że wszelkie analizy metafizyczne są pozbawionymi jakiegokolwiek realnej treści wymysłami rozumu. W Polsce takim orędownikiem jest np. filozof krakowski Michał Ostrowicki, posługujący się pseudonimem Sidey Myoo, do autorów drugiego rodzaju należy głośny na cały świat Yuval Harari.

Obydwaj wymienieni zgadzają się, że człowiek pogrążony jest w dualizmie egzystencjalnym – istnienia w świecie realnym albo wirtualnym, od zarania dziejów tkwiąc w *dychotomicznej rozterce pomiędzy realnym i nierealnym* (sformułowanie Ostrowickiego z jego książki „Wirtualne realis” z 2006 r.). Ostrowicki sądzi, że to co wirtualne, na elektronicznym nośniku, może stać się dla człowieka bardziej realne niż to co rzeczywiste. Harari uważa, że w gry w wirtualnej rzeczywistości gramy od tysięcy lat – jak powiada, dotąd te gry nazywaliśmy religią. Zaś Ostrowicki tak napisał we wspomnianej książce: *Średniowieczna wola transcendencji posiada współcześnie przełącznik w ustawieniu na 'on', a mistyczna duchowość uzyskuje elektroniczną postać, sugerując w dalszej kolejności możliwość pozacielesnej świadomości elektronicznej.*

Co jednocześnie wcale nie zaskakujące, niektórzy z „proroków” triumfów sztucznej inteligencji, guru transhumanizmu, chwalców albo tylko przychylnych obserwatorów społeczeństwa sieci i rzeczywistej wirtualności postulują nowe niby-religie. No cóż, bez mitu – w rozumieniu Leszka Kołakowskiego<sup>16</sup> – ani rusz. Słusznie Alan Jacobs (w magazynie *The New Atlantis*, 58, Wiosna 2019) zwraca uwagę, że oto na naszych oczach technologiczny rdzeń naszej cywilizacji ma się przekształcić w jej rdzeń quasi-mityczny. Kiedyś miał to być kult Rozumu, potem religia Ludzkości, dziś ma to np. być dataizm Yuvala Harariego<sup>17</sup> – kult świata ucyfrowionych danych. Erik Davis cieszy się, że jego książka „Techgnosis: Myth, Magic & Mysticism in the Age of Information” z końca lat 1990-tych miała swoje kolejne wznowienie w roku 2015. Davis widzi w sieci ogarniającej nasz glob i wszystkie społeczeństwa źródło „technomistycyzmu”. W przedmowie do wydania książki z 2015 roku, filozof i medioznawca Eugene Thacker odnajduje w Davisa przedstawieniu technologii – jej historii i dnia dzisiejszego – coś boskiego, „religię wyrażoną innymi środkami”.

Prorocy wieszczący ziszczenie się epoki rzeczywistej wirtualności, którzy widzą taką przyszłość losu ludzkiego jako naturalną albo wręcz pożądaną, sami są obywatelami już nowej, pochrześcijańskiej epoki. Ich zawołanie brzmi: *całość jest kłamstwem* (tak kiedyś Saul Bellow podsumował myśl Teodora Adorno). Mieszkają na uniwersytetach i w Krzemowych Dolinach. Są kolejnymi nauczycielami zła. Są nieliczni, ale wpływowi, jak kiedyś frankfurczycy i inni XX-wieczni koryfeusze postępu. Ci wcześniejsi odebrali Zachodowi wiarę w siebie, w zamian nie dając nic. Dzisiejsi chcą zbudować ludzkiego cyborga pośród inteligentnych i „rozumiejących” ludzkie uczucia robotów, z którymi zresztą ów cyborg będzie połączony przez sieć za pomocą m.in. domózgowych implantów (mikroczipów).

---

<sup>16</sup> Patrz zwłaszcza „Obecność mitu”, Paryż 1972.

<sup>17</sup> Patrz jego „Homo Deus: A Brief History of Tomorrow”, San Francisco 2017.

Rzeczywista wirtualność oraz ucyfrowienie człowieka mają objąć nie tylko jego czas wolny, ale całość jego bytowania na ziemi.

Zwolenników takiej przyszłości znajdujemy także wśród ludzi władzy oraz ludzi pieniądza. Takich jak twórca i wódz Światowego Forum Ekonomicznego Klaus Schwab. Jego książki to manifesty na rzecz cywilizacji cyborgów połączonych przez sieć z robotami. Inżynierowie, którzy wymyślili tzw. Internet Rzeczy, wyobrażali sobie, że to rzeczy połączone przez sieć będą nam służyć, np. zwalniając nas z konieczności zagładania do lodówki, by sprawdzić, jakie należy poczynić zakupy – to lodówka wyśle sygnał do sklepu, czego zaczyna w niej brakować, a robot albo człowiek dostarczy potrzebne towary. Tymczasem jedną z rzeczy – powtarzam, rzeczy – połączonych przez sieć ma być także człowiek kontrolowany przez rządy, instytucje finansowe, firmy ubezpieczeniowe i inne ośrodki władzy. Przemianami cywilizacyjnymi rządzić będzie cyberkapitalizm, ale o tym pisał szeroko i najlepiej przedwcześnie niestety zmarły Marek Chlebuś, np. w eseju „Lęk przyszłości”.<sup>18</sup>

### **PS o Klausu Schwaba książce „Covid-19: wielki reset” z lipca 2020**

Ów covid-19 w najnowszej książce Schwaba, to w istocie nieistotny przyczynek do zmian postulowanych przez orędowników cyborgizacji. Pandemia ma być tylko katalizatorem tych zmian. I bez niej te zmiany były planowane. A to *nota bene* znaczy, iż większość obecnych w roku 2021 protestów przeciw działaniom rządów walczących z pandemią działała na korzyść ... zwolenników cyborgizacji człowieka. Nie wiem czy to, że takie protesty anarchizują społeczeństwa pomaga owym zwolennikom, ale na pewno pomaga im odwracanie uwagi od tego fundamentalnego problemu, który w tym rozdziale poruszyłem.

### **PPS o pożytecznych zastosowaniach wirtualnej rzeczywistości**

Ani słowem nie wspomniałem o pożytecznych, niekiedy niezwykle pożytecznych zastosowaniach wirtualnej rzeczywistości, takich jak jej użycie w najróżniejszych szkoleniach (np. symulatory lotów) czy w medycynie. Ale to jasne, że nie o walkę z postępem technicznym chodzi, lecz bicie na alarm, gdy między innymi *techne* ma ostatecznie wyprzeć *logos* i tym sposobem zabić kulturę.

---

<sup>18</sup> Patrz <https://instytutprawobywatelskich.pl/esej-lek-przyszlosci/>

## **Kartki z kalendarza**

## 5. O Średniowieczu słów kilka<sup>19</sup>

Zadziwia upór, z jakim nawet znakomici uczeni odmawiają zrewidowania swoich przesądów na temat rzekomych „mroków Średniowiecza”. Szerzenie mitu „ciemnych wieków” było zrozumiałe – z ideologicznych względów – u Woltera, Jana Jakuba Rousseau, czy później Bertranda Russella, albo – przez jego nienawiść do katolicyzmu – u wielkiego osiemnastowiecznego historyka Rzymu Edwarda Gibbona, ale doprawdy zdumiewa w przypadku uczonych w wieku XXI.

Propagatorom tezy o tym rzekomo ciemnym okresie w historii naszej europejskiej cywilizacji polecam zwłaszcza „A Source Book in Medieval Science” (Harvard University Press 1974), wydany pod redakcją Edwarda Granta zbiór około 190 artykułów ponad 80 średniowiecznych uczonych, między innymi Roberta Grosseteste’a, Jana z Sacrobosco, św. Alberta Wielkiego, Leonarda z Pizy (Fibonacciego), Rogera Bacona, Thomasa Bradwardine’a, Jeana Buridana, Mikołaja z Oresme, Alberta Saksończyka.<sup>20</sup> To oni należeli do największych akademickich nauczycieli średniowiecznych studentów. Uczyli empiryzmu i byli – nie tylko na swoje czasy – badaczami wybitnymi. Najwcześniejsi z tu wymienionych odrzucili Arystotelesa teorię tęczy uznając, że ta jest wynikiem załamania światła (Grosseteste), opierając się na Ptolemeuszu zrozumieli, że Ziemia i inne ciała niebieskie mają kulisty kształt (Jan z Sacrobosco). Fibonacci prowadził piękne analizy szeregów liczbowych o nieskończonej długości, wymyślił regułę podwójnego zapisu w księgach rachunkowych, czym przyczynił się do rozkwitu włoskiej bankowości (nie później niż około roku 1250 bank Riccardi w Lukce miał 11 oddziałów, w tym jeden z nich w Dublinie). Mikołaj z Oresme dostrzegł względność ruchu i stąd wywnioskował, że Ziemia obraca się wokół swojej osi.

Podejście empiryczne Grosseteste’a, jako przeciwne poleganiu na autorytecie i – gdy to możliwe – wzbogacone modelem matematycznym, rozwinął Roger Bacon. W pierwszej połowie XIV wieku uczeni z Merton College na uniwersytecie w Oksfordzie (William Heytesbury, Jan Dumbleton, Ryszard Swineshead) oraz uniwersytetu w Paryżu (wspomniany już Mikołaj z Oresme) zajęli się kinematyką, by przede wszystkim podać definicje prędkości jednostajnej i ruchu jednostajnie przyspieszonego oraz udowodnić twierdzenie o prędkości średniej. Definicje te przyjął później bez zmian Galileusz i praktycznie powtórzył piękny geometryczny dowód twierdzenia o prędkości średniej, podany przez Mikołaja z Oresme, być może poznawszy go dzięki lekturze drukowanych od końca XV wieku ksiąg. Nie wiemy, czy Galileusz znał prawa o spadaniu ciał w próżni podane przez Tomasza Bradwardine’a i Alberta Saksończyka, będące w opozycji do tego co był twierdził Arystoteles, ale jego rozumowanie i wnioski były podobne do sformułowanych przez uczonych średniowiecznych.

Jak już wspominałem, nikt liczący się w średniowiecznej nauce nie uważał, że ziemia jest płaska (przeciwnicy sfinansowania podróży Kolumba nie dlatego się jej sprzeciwiali, że o kulistości ziemi nie wiedzieli, a dlatego, że lepiej niż Kolumb oceniali długość promienia kuli ziemskiej i przeto sądzili, iż zadanie jest niewykonalne). „Rewolucja” kopernikańska była nie

---

<sup>19</sup> Niniejszy rozdział został zaczerpnięty z mojego artykułu na stronach portalu „Wszystko co Najważniejsze”, *Średniowiecze, Kartezjusz i sztuczna inteligencja*, 19 stycznia 2019 r

<sup>20</sup> Polecam im także Edwarda Granta „Średniowieczne podstawy nauki nowożytnej”, Prószyński i S-ka 2005.

tylę rewolucją co wynikiem normalnego, skądinąd wspaniałego rozwoju chrześcijańskiej nauki – Kopernik rozwinął to, czego nauczyli go jego uniwersyteccy profesorowie, najczęściej, jak i on, kościelni hierarchowie. Trudny do przecenienia jest fakt, że scholastyctw, w jaskrawym przeciwieństwie do czasów przedchrześcijańskich, cenil empiryzm (kłamstwem było np. twierdzenie, że za badania anatomiczne – dokonywanie sekcji, coraz zresztą powszechniejsze od końca XIII wieku i dopuszczane choćby dlatego, że w ciele zmarłego nie zamieszkuje już jego dusza – groziło kościelne prześladowanie).

Rozwój średniowiecznej nauki był możliwy dzięki wspaniałemu i niezwykle dynamicznemu rozkwitowi uniwersytetów, zaczętemu na przełomie XII i XIII wieku (wcześniej powstały tylko uniwersytety w Paryżu i Bolonii). Wczesne uniwersytety średniowieczne przejęły ramy programowe nauczania od tzw. encyklopedystów łacińskich, którzy w wiekach od IV do VIII pracowali nad kompilacjami greckich dzieł oraz podręczników ze starożytności i pierwszych wieków po Chrystusie, by w ten sposób dać podwaliny pod nauczanie w szkołach katedralnych. W ramach tych mieściło się siedem sztuk wyzwolonych – na wcześniejszych latach studiów nauczanie *trivium* i potem *quadrivium*. Te same ramy programowe absolutnie nie oznaczały podobieństwa samych programów dawnych szkół katedralnych i późniejszych uniwersytetów – po drodze przyszło zasymilowanie ogromu wiedzy zawartej w tłumaczeniach z greckiego i arabskiego starożytnych filozofów przyrody (dziś powiedzielibyśmy, fizyków). Z czasem na wydziałach sztuk wyzwolonych z *trivium* pozostała tylko logika, zwykle niektóre tylko przedmioty *quadrivium*, za to dodane zostały „trzy filozofie”, czyli filozofia Arystotelesa – przede wszystkim przyrody, nadto zaś moralna i metafizyczna.

Czy był to rozwój rzeczywiście wspaniały, czy też były to nieliczne i niewidoczne na europejskim firmamencie oazy wiedzy? Otóż szacuje się, że uniwersytety w Paryżu, Bolonii, Oxfordzie i Tuluzie miały na początku XIII wieku po około 1000-1500 studentów, że w samym Paryżu przyjmowano rokrocznie około 500 studentów i że w latach 1350-1500 przewinęło się przez europejskie uniwersytety około 700 000 studentów. Były to instytucje żywej dyskusji naukowej, skupiające naukową elitę owych czasów, elitę przy tym ruchliwą, przemieszczającą się z uczelni na uczelnię, korespondującą między sobą, tworzącą coś na kształt naukowej sieci. Uniwersytety były chlubą dla miast, które je posiadały, zaś studenci i profesura cieszyli się specjalnymi przywilejami. I to wszystko było możliwe w europejskim katolickim ciemnogrodzie!

Tak jak kościelni dostojnicy rozwijali naukę, tak od początku IX wieku klasztory można było uznać za poważne i profesjonalnie zarządzane wczesno-kapitalistyczne przedsiębiorstwa. Wokół czy obok klasztorów powstawały miasta. Nie sposób w paru słowach streścić ten proces, w tym niezwykle postępowy technologiczny, ale niech wystarczy parę uwag o jego fundamentach.

Święty Augustyn z Hippony widział w handlu normalną i potrzebną działalność człowieka i zdawał sobie sprawę, że sprawiedliwa cena to ta, za którą sprzedający zgadza się swój towar sprzedać, a nabywca chce go kupić. Wierzył także w postępowy rozwój wiedzy i techniki, jeśli tylko stworzy się po temu odpowiednie warunki. A podstawą tego postępu było to, że świat został stworzony przez racjonalnego Boga, który miłuje człowieka i który dał człowiekowi Ziemię w mądre władanie. Jak to w roku 1925 ujął Alfred North Whitehead, wiara w samą możliwość nauki była pochodną średniowiecznej teologii. I wspartej teologicznie – czy jakkolwiek inaczej – pochwały postępu nie dopracowała się żadna inna znana cywilizacja.

Okolo sto lat po Augustynie, św. Benedykt z Nursji przydał ludzkiej pracy atrybut godności i to benedyktyni dali impuls do rozwoju przyklasztornej gospodarki. Pod koniec IX wieku pojawiła się ekonomia pieniądza – w miejsce barteru – i to najprawdopodobniej braciszkuwie z Lukki byli pionierami tego procesu. Niedługo potem zakony i biskupi stali się bankierami, pożyczając pieniądze na procent szlachcie.

Trójpółowka została wynaleziona w ósmym wieku. W dziewiątym wieku odnotowano, że w okolicach Paryża 1/3 posiadłości miała wzdłuż Sekwany młyny wodne. Przeprowadzony na zlecenie Wilhelma Zdobywcy cenzus wykazał, że w Anglii działały w roku 1086 przynajmniej 5 624 młyny wodne. Na początku XII wieku można było wykupywać udziały w młynach wodnych wzdłuż Garonny. Podczas gdy przez wieki duże połacie ziem na terenie dzisiejszej Belgii i Holandii pozostawały pod wodą, to w tzw. wiekach ciemnych Średniowiecza stały się polami uprawnymi dzięki pompom wiatrowym. W XIII wieku został w Europie wynalezony mechaniczny zegar. W tym samym wieku został z Flandrii do Anglii przeniesiony i rozkwitł przemysł wełniany, i wkrótce potem rozkwitł tam przemysł bawełniany – wszystko to dzięki mechanizacji procesu produkcyjnego. Także w XIII wieku – dzięki mechanizacji – Anglicy rozwinęli przemysł wydobywczy węgla. Nie wiadomo, czy proch został wynaleziony w Europie niezależnie od jego wcześniejszego odkrycia w Chinach, ale wiadomo, że jego skład opisał w połowie XIII wieku Roger Bacon, zaś w roku 1270 Albert Wielki podał efektywną procedurę jego produkcji. I wiadomo dziś, że kompas został w Chinach i Europie wynaleziony niezależnie. Wreszcie, to dopiero średniowieczni Europejczycy zmechanizowali produkcję papieru.

Ciężka kawaleria – wojskowa inwencja „ciemnych wieków” – była możliwa dzięki wynalezieniu podkowy, właściwego kształtu siodła i strzemion. O rozwoju przemysłu okrętowego nie trzeba już wspominać

Warto o tym wszystkim pamiętać, gdy rozmyśla się o prawdziwych źródłach zachodniego sukcesu cywilizacyjnego. Trzeba także sięgnąć do Średniowiecza – o czym mówiliśmy w rozdziałach 1 i 2 – jeśli chce się pojąć źródła obecnego schyłku tej cywilizacji. Ci, wedle których historia myśli została przerwana może już wraz z końcem starożytnej Grecji, a na pewno wraz z upadkiem Rzymu, by odrodzić się w Oświeceniu, nie mają żadnej szansy na zrozumienie współczesności.

## 6.

### Rewolucja nowożytna (w paru zdaniach)<sup>21</sup>

Święty Paweł z Tarsu tak zaczynał 13. rozdział Listu do Rzymian, pisanego między 58 a 60 rokiem: *Każdy niech będzie poddany władzom, sprawującym rządy nad innymi. Nie ma bowiem władzy, która by nie pochodziła od Boga, a te, które są, zostały ustanowione przez Boga.* Profesor Andrzej Nowak przypomina te słowa w dziele „Między nieładem a niewolą: Krótka historia myśli politycznej” w rozdziale poświęconym m.in. św. Augustynowi z Hippony. Chrześcijaństwo uznawało konieczność panowania w społeczeństwie ładu politycznego, ale na ile człowiek to potrafi pojąć i wcielić w życie, pochodzącego od Boga. Pytaniem było, jak ma się mieć do siebie władza polityczna – państwo i jego prawo – oraz Kościół jako władza duchowa oraz instytucja moralnej edukacji człowieka. Pytaniem fundamentalnym było, jak się mają do siebie państwo doczesne (*civitas terrena*) i państwo Boże (*civitas Dei*). Nieco inaczej widzieli odpowiedzi na te pytania Doktor Łaski z Hippony, czyli św. Augustyn, i św. Tomasz z Akwinu, nazwany Doktorem Anielskim, ale nie tu miejsce próbować tę kwestię rozważać.<sup>22</sup> Nam wystarczy powtórzyć za Nowakiem:

*Kiedy chrześcijaństwo stało się religią uznaną, a potem panującą, Augustyn ukazał zasadniczą dwoistość naszego życia (i obowiązków z tym związanych) w pięknej metaforze civitas Dei i civitas terrena. Nie było wątpliwości, która z tych dwóch wspólnot jest ważniejsza: ta, do której prowadzi Kościół, nie państwo. Tomasz w pewnym sensie dowartościował naszą ziemską ojczyznę, na pewno bardziej niż Augustyn. Poprzez odwołanie do rozumu proponował sposoby jej dobrego urzędzenia. W naszym ziemskim życiu jednak nie samo państwo powinno nas prowadzić, nie sama polityczna władza króla i wynikające z niej prawo.*

#### **Taki był fundament ładu zachodniej cywilizacji chrześcijańskiej – zachodniej *Christianitas***

Władza pochodziła od Boga, akt namaszczenia króla czynił go posłańcem bożym w służbie poddanym i wierności prawu Bożemu nauczanemu przez Kościół. Władca mógł stanowić prawo pozytywne, ale zgodne z wpisaniem w ludzkość prawem naturalnym i tym samym służące dobru ogółu. Jak w jednej ze swoich historycznych syntez napisał Christopher Dawson<sup>23</sup>:

*Bez wątpienia łatwo jest przypisywać nadmierną siłę oraz idealizować tę jedność [Christianitas – przyp. jk], ale czego by się nie rzekło, pozostaje faktem, iż Kościół katolicki był spoiwem, które zespałało wszystkie różnorodne społeczne elementy ludów Zachodu w jedno – w jedną całość kulturalną.*

---

<sup>21</sup> Pierwotna wersja tego rozdziału ukazała się na stronach portalu „Teologii Politycznej” 16 listopada 2021 r. Jego tytuł nawiązuje do Christophera Dawsona książki – eseju „The Movement of World Revolution”, 1959.

<sup>22</sup> Jej piękne przedstawienie – jak i innych najważniejszych zagadnień z historii myśli politycznej i teologiczno-politycznej – znajdujemy np. w przywołanym już syntetycznym dziele Andrzeja Nowaka.

<sup>23</sup> Patrz Christopher Dawson: „The Movement of World Revolution”, „The Dividing of Christendom”, „Understanding Europe”, „Christianity and European Culture (Selections from the Work of Christopher Dawson) i inne.

Podczas niedawnego wykładu wygłoszonego w ramach cyklu „Wykładów Janopawłowych” zorganizowanych przez „Teologię Polityczną” oraz Papieski Uniwersytet Św. Tomasza z Akwinu, francuska filozof Chantal Delsol powiedziała<sup>24</sup>:

*Uważam, że moment, w którym żyjemy, rozumieć powinniśmy jako rewolucję w sensie ścisłym, tj. jako obrót koła, zarówno w obszarze moralności, jak i ontologii. Od drugiej połowy wieku XX, szczególnie zaś od lat 60., nasze hierarchie moralne uległy dosłownemu odwróceniu.*

Profesor Delsol ma rację, gdy mówi o rewolucji, której chcą dokonać współcześni zachodni następcy hunwejbínów, ale na szczęście myli się zupełnie twierdząc, że to „nasze” hierarchie moralne uległy jakimkolwiek odwróceniu. Co nie znaczy, że współcześni rewolucjoniści nie przewrócą rzeczywiście chwiejącego się ładu zachodniego, zwłaszcza jeśli poddamy się im tak, jak zdaje się to czynić Delsol. Przy czym ta rewolucja ma długą historię.

### **Prawdziwą rewolucją w Europie był rozpad średniowiecznej chrześcijańskiej jedności**

Patrząc na rewolucję jak na „obróć koła”, reformacja miała być rewolucją powrotu do wczesnego chrześcijaństwa, Odrodzenie do kultury klasycznej. Długo można było myśleć, że Oświecenie było rewolucją powrotu do Europy przedsokratejskiej, ale dziś widzimy, że ma to być powrót do zezwierżenia albo nie żaden powrót, a po prostu obłąd.

Można przyjąć, że ład *Christianitas* trwał od panowania Karola I Wielkiego po sobór w Konstancji (1414 – 1418). Sobór był ostatnią widoczną próbą – pisał m.in. Christopher Dawson – uratowania przez chrześcijański Zachód kulturalnej jedności. Wiek XIV i XV – przypomnijmy jeszcze raz – był czasem rywalizacji papieży i świeckich monarchów o prymat władzy, czasem kryzysu Kościoła oraz czasem wojny stuletniej. Jak to napisał Dawson, *sytuacja w Europie dojrzała do wybuchu. Marcin Luter był po prostu przywódcą rewolucyjnym, którego rozpalony geniusz podpałił tłący się lont*. Historyk uważał, że historia Kościoła potoczyłaby się inaczej, gdyby sobór trydencki zaczął się, jak to był planował papież Adrian VI, w 1525 roku – rewolucja reformacji zostałaby zahamowana, a może odnowiona zostałaby jedność wiary. Niestety Adrian zmarł w 1523 roku, zaś jego następca, Klemens VII, miał inne, polityczne plany, które *nota bene* doprowadziły w roku 1527 do zdobycia i złupienia Rzymu oraz wymordowania jego obrońców przez luteranckich najemników katolickiego cesarza Karola V. Ostatecznie sobór w Trydencie zaczął się w roku 1545 i mógł już tylko dać początek, skądinąd wspaniałej, tzw. kontrreformacji. Europa uległa podziałowi na część katolicką i (niejednorodną) protestancką.

Wspomnieliśmy już, że nominalizm Wilhelma Ockhama był – wedle słów Étienne Gilsona – prawdziwą mieszanką wybuchową. Zamykał bramy Tomaszowemu realizmowi i otwierał je sceptycyzmowi. O dziesięć lat starszy od Ockhama jego konfrater Marsyliusz z Padwy (1275 – 1342) był tym, który postanowił rozciąć węzeł gordyjski dylematu podziału władzy między papieżem a władzą świecką – opowiedział się za całkowitą rezygnacją Kościoła z oddziaływania na rzeczywistość świecką i oddania pełni władzy monarchii (*nota bene* najlepiej elekcyjnej, by suwerenem uczynić *demos*, czyli lud, zgromadzenie obywateli).

---

<sup>24</sup> Patrz Chantal Delsol, *Koniec chrześcijańskiego świata*, w: D. Karłowicz [red.], „Myśląc z Janem Pawłem II. Wykłady Janopawłowe 2020/2021”.



Marsyliusz odrzuca koncepcję prawa naturalnego i świeckiemu władcy przyznaje wyłączne prawo stanowienia prawa pozytywnego. Jak Ockham odcina wiarę od rozumu, a jego kościół ubogich – napisze Andrzej Nowak – *otwiera świadomie drogę do wyłączności politycznej ziemskiej wspólnoty do decydowania o jej prawach*. Jest oczywiście jak Ockham – słusznie – przeciwny władzy politycznej papieża, ale w swoich receptach idzie nieskończenie dalej.

Sto dwadzieścia siedem lat po śmierci Marsyliusza przychodzi na świat Florentyńczyk Niccolò Machiavelli (1469 – 1527). Papiestwo nie emanuje w tym czasie wiarą i chrześcijańską cnotą, lecz poświęca się politycznym rozgrywkom. W 1494 Karol VIII Walejszusz maszeruje ze swoimi wojskami przez włoskie państewka do Neapolu. Po drodze doprowadza do upadku rządu Medyceuszy we Florencji. Francja jest pierwszą na Zachodzie „monarchią narodową”. Co prawda wyprawa włoska Karola zakończyła się ostatecznie niepowodzeniem, ale francuska potęga w porównaniu ze słabością skłóconych państewek włoskich na pewno miała wpływ na doktrynę polityczną Machiavellego. Liczy się tylko siła, najczęściej wygrywa zło. W polityce nie ma miejsca na szacunek dla cnoty, ta jest dla słabych i przegranych. Pisze Nowak:

*Machiavelli wzywa zatem do przywrócenia religii obywatelskiej, religii poświęcenia dla ojczyzny, która jednocześnie odrzuca nauczane od kilkunastu wieków przez Kościół zasady rozróżnienia dobra i zła.*

Jacek Bartyzel daje takie podsumowanie<sup>25</sup>:

*Wykluczając krępowanie „księcia” względami religijno-moralnymi (a bezpośrednich interwencji władzy duchowej ze względu na dobro dusz, nawet nie biorąc pod uwagę), sprowadzając zaś zredefiniowaną „cnotę” (virtù) polityczną do pragmatycznego wykorzystania sposobności (occasione) pochwylenia i utrzymania władzy, Machiavelli przyczynił się w ogromnym stopniu do sekularyzacji polityki, podporządkowanej odtąd jedynie doczesnemu (definiowanemu przez władzę) interesowi publicznemu, nazwanemu przez jego następców „racją stanu” (raggione di stato, raison d’État). Jednocześnie, jako (ogólno)włoski patriota, marzący – co w jego epoce było czymś wyjątkowym – o zjednoczeniu w jeden organizm polityczny wszystkich ziem Italii, był Machiavelli prekursorem idei państwa narodowego w znaczeniu etniczno-językowej zasady narodowościowej.*

Trzy lata po śmierci Machiavellego przychodzi na świat Jean Bodin. Pisze Bartyzel:

*Kategorią ustrojowo-polityczną, bez której niemożliwe byłoby późniejsze wypracowanie koncepcji „najokracji” (rządów narodu), była z kolei idea suwerenności, wyłożona systematycznie przez Jeana Bodina (1530-1596). Wieńcząc niejako dorobek francuskich legistów, starających się już od dojrzałego średniowiecza (po raz pierwszy zapewne pojęcia souveraineté użył w 1283 roku Philippe de Beaumanoir) dowieść, iż król francuski jest „cesarzem” w swoim królestwie (rex est imperator in regno suo), Bodin przedstawił koncepcję narodowej monarchii królewskiej (la monarchie royale), która jest „suwerenna”, to znaczy nie tylko najwyższa w porządku wielości nakładających się na siebie zależności i uprawnień poszczególnych korporacji (jak w koncepcji tradycyjnej, stanowej monarchii chrześcijańskiej), lecz absolutna i trwała (absolue et perpetuelle), niepodzielna, nieustająca, nieprzenaszalna, nieograniczona ani z zewnątrz (przez papieża lub cesarza), ani z wewnątrz*

---

<sup>25</sup> Patrz <http://www.legitymizm.org/systematyka-nacjonalizmu>

*(przez poddanych), ani wstecz (przez poprzednich władców), limitowana jedynie przez prawo Boże i naturalne oraz prawa fundamentalne królestwa, określające zasady sukcesji. [...] Narodowa monarchia absolutna jest przeto suwerenna zarówno w sensie wewnętrznym (wobec wszystkich poddanych i ciał społecznych, których pozycja względem rządu królewskiego staje się coraz bardziej zunifikowana), jak zewnętrznym. Tę ostatnią zasadę w całej nowożytnej Europie usankcjonował ostatecznie, kończący wojnę trzydziestoletnią, Traktat Westfalski z 1648 roku, inaugurujący epokę suwerennych i autarkicznych państw narodowych oraz nowe europejskie prawo publiczne (jus publicum europaeum), oparte o zasadę równoprawnego zawierania przez te suwerenne państwa sojuszy i kontrsojuszy oraz o ustalone reguły prowadzenia wojny i zawierania pokoju. [...] istotą porządku ustrojowego jest suwerenność państwa-narodu (État-Nation) w zdefiniowanym przez Bodina sensie.*

Po wojnie domowej między katolikami i hugenotami (1562 – 1598), zakończonej edyktem nantejskim, Francja przystąpiła do odbudowy narodowej jedności. Henryk IV Burbon, po nim kardynał Richelieu budowali państwo świeckie, oparte na polityce bezwzględnej siły w stosunkach międzynarodowych i centralizacji władzy wewnątrz państwa. Jak napisał Dawson, *dzieło Henryka IV było kontynuowane przez kardynała Richelieu, klasycznego przedstawiciela raison d'état, który uczynił więcej dla odrzucenia międzynarodowej polityki kontrreformacji oraz zniszczenia politycznej jedności katolickiej Europy niż Gustaw II Adolf czy Cromwell.* Podczas gdy kościół gallikański stawał się autonomiczną organizacją ludu bożego, kultura francuska coraz mocniej zrywała z barokową kulturą Europy katolickiej. W roku 1701 rozpoczęła się wojna o sukcesję hiszpańską, która trwała do 1714 roku. Burbonowie zostali władcami dotąd rządzonej przez Habsburgów Hiszpanii. Był to gwóźdź do trumny wcześniejszej świetności tej katolickiej monarchii.

### **Państwa - narody zamiast Christianitas**

Tak zwane wojny religijne XVI i XVII wieku, jakkolwiek początkowo miały rzeczywiście podłoże religijne – wojen między krajami katolickimi i protestanckimi – z czasem, i dotyczyło to zwłaszcza krwawej wojny trzydziestoletniej (1618 – 1648), stały się wojnami o dominację w Europie między katolickimi Burbonami i katolickimi Habsburgami. Miejsce religii jako naczelnej zasady organizacji społecznej zastąpiła przynależność narodowa. Takie miało być nowe spoiwo organizacji społecznej, wygodne władcom, ponieważ sprzyjające centralizacji i oddające administrowanie państwem dobrze zorganizowanej biurokracji. Europa wkraczała w okres absolutyzmu oświeconego. Jak wspomniałem, pierwszym świeckim państwem narodowym stała się Francja.<sup>26</sup>

Austria przyjęła ustrój absolutyzmu oświeconego – wrogiemu Kościołowi – wraz z wstąpieniem na tron Józefa II w roku 1765. Niemcy, tak jak kiedyś nagle przyjęli rewolucję protestancką – napisze Dawson – tak po dwustu latach równie szybko zaakceptowali nowy ład polityczny. Fryderyk II Wielki był wzorcowym władcą absolutnym i oświeconym, który uczynił Prusy potęgą europejską. W połowie XVIII wieku proces budowy nowego ładu politycznego w Europie dobiegał końca.

---

<sup>26</sup> *Nota bene* państwu temu nie przeszkadzało, że mówiono w nim dziesiątkami dialektów (*patois*), że mieszkańcy jednego regionu nie rozumieli mieszkańców innego, że „paryskim” francuskim posługiwała się garstka. Według francuskiego badacza Henryka Grégoire’a, tylko 3 miliony z około 25 milionów obywateli uznawało oficjalny francuski za swój język ojczysty w roku 1789; inny badacz, marksistowski historyk brytyjski Eryk Hobsbawm szacował, że około połowa Francuzów w ogóle nie mówiła po francusku; jeszcze inne oszacowania mówią, że francuskiego nie rozumiało od 10% do 30% obywateli.

Prusy, Austria i Rosja pod berłem podziwianej przez mistrzów Oświecenia carycy Katarzyny II były gotowe do rozpoczęcia aktu imperialnego bandytyzmu w postaci rozbioru Polski.

Warto jeszcze wrócić do kwestii wpływu rewolucji reformacji na kształtowanie się nacjonalizmu. Zacytujmy Jacka Bartyzela<sup>27</sup>:

*Rola protestantyzmu jako podłoża kulturowego dla ukształtowania się nacjonalizmu polega nie tylko na dokonanej przezeń (w oparciu o zasadę cuius regio eius religio) „nacjonalizacji” religii, czyli poddaniu chrześcijańskich wspólnot reformowanych zwierzchnictwu państwa (tzw. kościoły państwowe vel narodowe); traktując bowiem państwo jako porządek w pełni świecki i nie podlegający osądowi moralnemu ze strony Kościoła, Marcin Luter (1483-1546) torował drogę rozumieniu państwa jako autarkicznej organizacji, której cele wyznacza jedynie całkowicie udzielna władza polityczna za pośrednictwem norm prawa pozytywnego, których niepodobna już odnosić do prawa wyższego rzędu (boskiego, naturalnego). Drugi z głównych nurtów reformacji protestanckiej – kalwinizm ku modelowi państwa narodowego podążył natomiast (zwłaszcza w anglosaskim purytanizmie i szkockim presbiterianizmie) odmienną drogą, podnosząc protokontaktualistyczne idee suwerenności ludu i pochodzenia władzy monarszej od narodu (mającego przeto prawo osądzać „tyrana”). Ze względu na odmienne okoliczności kulturowo-historyczne, jak również na przekonania samych założycieli i przywódców poszczególnych denominacji (antyrzymski resentyment „germańskich” luteran, teokratyczny model republiki miejskiej w Genewie Kalwina, konflikt radykalnie protestanckich dysydentów z nazbyt umiarkowanym, z ich punktu widzenia, narodowym Kościołem Anglii, wspierającym też absolutystyczną teorię „boskiego prawa królów”), luteranizm i kalwinizm wpłynęły na uformowanie się dwu (konkurencyjnych) modeli politycznych narodu, obiektywnego i subiektywnego: pierwszy (luterancki) – rozumienia narodu jako historycznej oraz etnicznej wspólnoty ziemi i krwi, drugi (kalwiński) – pojmowania narodu jako politycznego stowarzyszenia autonomicznych jednostek, wiążących się dobrowolnie (jak „pielgrzymi” z Mayflower) kontraktem zadzierzgamym związek oparty na ściśle określonych warunkach, których przestrzeganie jest podstawą zarówno wystąpienia z tego stowarzyszenia, jak przystępowania do niego nowych członków, tym samym zaś kolejnych stron umowy. O ile model pierwszy sprzyjał zrazu monarchii absolutnej, później zaś państwu autorytarnemu (w skrajnych wypadkach zaś totalitarnemu), o tyle drugi torował drogę dominującemu dziś modelowi państwa liberalnego.*

### **Sekularyzacja kultury**

W połowie XVII wieku utrwalony już był podział na katolickie i barokowe Południe (z Polską duchowo należącą do Południa) oraz protestancką Północ. Obydwie części były szczerze i głęboko religijne. Ale w tym to mniej więcej czasie zaczął się proces sekularyzacji kultury i była to kolejna rewolucja – pisze Dawson – być może jeszcze ważniejsza niż rewolucja reformacji. Jej bieg był powolny, stopniowy, ale dogłębny i trwał do końca XVIII wieku. Potem, od rewolucji francuskiej, która była jednym ze skutków tej wcześniejszej półtorawiecznej rewolucji, Europa (i Ameryka) osuwała się już tylko niżej i niżej po wcześniej zbudowanej równi pochyłej.

Pewne wątki procesu sekularyzacji sygnalizowałem już w rozdziale 2. W tym miejscu zatrzymajmy się na zjawisku sekularyzacji wiedzy, by odnotować, iż ta była – jakkolwiek

---

<sup>27</sup> Patrz też świetna synteza Włodzimierza Bernackiego pt. „Reformacja – u źródeł nacjonalizmu”: [https://ruj.uj.edu.pl/xmlui/bitstream/handle/item/265834/bernacki\\_reformacja\\_u\\_zrodel\\_nacjonalizmu\\_2000.pdf?sequence=1&isAllowed=y](https://ruj.uj.edu.pl/xmlui/bitstream/handle/item/265834/bernacki_reformacja_u_zrodel_nacjonalizmu_2000.pdf?sequence=1&isAllowed=y) i oczywiście syntezy Dawsona.

niechcianym – owocem rewolucji protestanckiej. Powołując się na Brada Gregory’ego (jego książkę „The Unintended Reformation: How a Religious Revolution Secularized Society”) i innych autorów możemy napisać krótko, iż rewolucja ta najpierw osłabiła uniwersytety, a potem przyczyniła się do ich odrodzenia, ale jako instytucji tworzenia i przekazywania wiedzy zsekularyzowanej.

Luteranizm i kalwinizm był przyjmowany przez podmioty polityczne – najpierw przez książąt, królów, czy rady miejskie w przypadku miast – by z mocy prawa być rozszerzonym na podległe im społeczności (przez edykty zabraniające katolickich praktyk religijnych, np. zakaz odprawiania mszy świętej). Państwa, księstwa czy miasta, które nie przeszły na protestantyzm, pozostawały katolickie, zwykle nietolerujące innych wyznań lub odmawiające innowiercom pełni praw politycznych. Zarówno w regionach protestanckich jak i katolickich umocniła się kontrola politycznego władcy nad uniwersytetem. W miejsce nieuprzedzonej analizy treści Objawienia, teologowie zajęli się walką z innymi wyznaniami. Znaczenie teologów – obrońców danej religii – wzrosło, ale powaga ich studiów zmalała. Zajęci obroną wiary, byli coraz gorzej przygotowani do asymilowania osiągnięć przyrodznawstwa. Można rzec, że zaczynał się proces fragmentacji wiedzy bez możliwości dania jej syntezy podobnej do tej, jaka panowała w średniowieczu.

Uniwersytet, czy to katolicki czy protestancki, podległy władzy politycznej, zaczął wymagać religijnej lojalności od swoich nauczycieli i uczniów. Nie sprzyjało to wolności badań naukowych. Uniwersytet powoli tracił na znaczeniu jako ośrodek tworzenia wiedzy. Co nie znaczy, że misja ta nie wróciła na uniwersytet, ale wróciła w odmienionej, zsekularyzowanej postaci.<sup>28</sup>

Jaki z kolei był wpływ myśli Odrodzenia na sekularyzację całej kultury? W jednym ze swoich esejów Christopher Dawson tak pisał<sup>29</sup>:

*wraz ze słabnięciem feudalizmu i wzrastaniem scentralizowanej władzy monarchicznej państwo umacniało swą niezależność i dążyło do pozbawienia kościoła lokalnego jego charakteru międzynarodowego oraz osłabienia więzów łączących go ze Stolicą Świętą.*

*Rozwój w tym samym czasie uczuć narodowych i kultury macierzystej ujawniał dotąd ukrytą różnorodność rasową i kulturalną, wcześniej niezauważaną, ale przecież nie usuniętą przez jednoczącą siłę katolicyzmu średniowiecznego. Zarówno łacińskie Południe, jak i germańska Północ odrzucały syntezę średniowieczną jako mieszaninę pierwiastków nie dających się złączyć w jedno. Chciały powrotu do przedśredniowiecznych źródeł, przywrócenia niczym nie zamąconej tradycji kultury klasycznej oraz religii wprost wypływającej z Ewangelii.*

*Szesnasty wiek przyniósł zatem Europie pierwszą wielką rewolucję, poprowadzoną przez włoski renesans w imię czystości kultury i przez niemiecką reformację w imię czystości przekazu Dobrej Nowiny. Średniowiecze zostało odrzucone przez humanistów jako*

---

<sup>28</sup> Ad więcej na temat sekularyzacji wiedzy patrz rozdz. 31 mojego zbioru „Amerykański konserwatyzm na progu XXI wieku”, [https://home.ipipan.waw.pl/j.koronacki/31\\_ks.pdf](https://home.ipipan.waw.pl/j.koronacki/31_ks.pdf)

<sup>29</sup> Esej pt. „The European Revolution” z 1954 roku w nieistniejącym już czasopiśmie The Catholic World, patrz <https://www.catholicculture.org/culture/library/view.cfm?recnum=143>

*barbarzyńskie i przez reformatorów jako zabobonne i zepsute. Dla jednych i drugich było Wiekami Ciemnymi [...]*

*Ale pomimo tego paralelizmu obydwu ruchów były one sobie tak obce duchem, że często widziały w drugim raczej wroga niż sprzymierzeńca, zaś ich wpływ na kulturę europejską był całkowicie odmienny. Odrodzenie stopniowo rozciągnęło swoje wpływy na całą Europę, przekształcając zachodnią sztukę, literaturę i naukę, i tworząc nowy wzorzec edukacji oraz kultury, przekraczający granice polityczne i narodowe. W ten sposób Odrodzenie zachowało tradycję europejskiej jedności, ale w nowej formie.*

*Z drugiej strony reformacja była źródłem walk i waśni, które podzieliły Europę na wrogie obozy religijne i walczące między sobą wyznania. Jakkolwiek bowiem protestancka reformacja rzeczywiście wywołała ducha reformy w Europie Południowej, to reforma ta była reakcją na rewolucję reformacji. Reforma katolicka była kontrreformacją, która wypowiedziała otwartą wojnę reformacji Północy.*

W innym miejscu Dawson pisał<sup>30</sup>:

*Odrodzenie ma swój początek w samo-odkryciu, samo-realizacji i samo-wyniesieniu Człowieka. W Średniowieczu człowiek szukał nadnaturalnego fundamentu dla swego życia. Jego ideałem wiedzy nie było śmiała wyprawa umysłu na badanie przezeń jego własnego królestwa; ideałem była intuicja, wyczuwanie prawd wiecznych, które emanują z Intelaktu Boskiego – irradiatio et participatio primae lucis. Człowiek Renesansu [z czasem – przyp. jk] odwrócił się od tego co wieczne i absolutne, i zwrócił ku światu natury oraz ludzkiego doświadczenia. Odrzucił swoją zależność od tego co nadnaturalne i wyniósł swoją niezależność oraz wyższość w porządku doczesnym. Ale tym sposobem, przez wewnętrzny proces logiki, został stopniowo doprowadzony do podjęcia krytyki podstaw jego własnej wiedzy i utraty wiary we własną wolność.*

Fenomen Odrodzenia miał niejedną twarz. Poprzedzony włoskim humanizmem nie miał we Włoszech antykatolickiego charakteru. Wybitnym humanistą był papież Pius II (1405 – 1464), mecenasem humanistów był papież Leon X (1475 – 1521). Papieże ci, jak humaniści włoscy i inni, szukali środków ożywienia wiary i reformy Kościoła. Jak zamordowany w wieku 31 lat genialny Giovanni Pico della Mirandola, inni humaniści odkrywali człowieka jako pana siebie, ale w ramach natury danej mu przez Boga. Żył ten prąd myśli pośród wspaniałej i bogatej, obecnej także w ludzkiej sztuce włoskiego baroku. Ta sztuka promieniowała na inne kraje, w tym – od rewolucji reformacji – luterzańskie Niemcy. Erazm z Rotterdamu zwalczał myśl Lutera, ale w obronie odnowy jedyne Kościoła. Zupełnie inaczej wyglądał humanizm kalwinizmu i purytanizmu. Doskonale wykształcony i świetny organizator, członek klasy średniej (burżuazji) Jan Kalwin rozumiał wagę wykształcenia (jak jezuita w świecie katolickim), ale propagowany przezeń humanizm miał oblicze utylitarne i surowe. Kalwinizm tępił sztukę sakralną, liturgię, kult świętych, był obrazoburczy, zwłaszcza purytanizm potępiał renesansowy hedonizm. Jego teologia była też surowa, pesymistyczna, ale jego koncepcja predestynacji stanowiła zachętę do osobistej dyscypliny i zabiegania o sukces. Religia stawała się sprawą prywatną. Na kontynencie europejskim odpowiadała zwłaszcza poszerzającej się we Francji (i Niderlandach) klasie średniej.

---

<sup>30</sup> W eseju "Humanism and the New Order" z roku 1931 z ich zbioru pt. "Essays in Order".

### **Nowa jedność Europy**

W połowie XVII wieku panowały zatem w Europie dwie kultury, obydwie religijne, ale dogłębnie sobie obce i do szpiku kości wrogie – Europa była podzielona na protestancką Północ i katolickie Południe. Północ na progu gwałtownego rozwoju ekonomicznego i związanych z tym przemian społecznych oraz Południe, raczej wiejskie, z barokową kulturą – jak to wyrazi Dawson – *zewnątrznie wspaniałą i wewnątrznie ubogą, z jej pałacami oraz klasztorami, jej świętymi i jej żebrakami*. A jednak ta podzielona Europa zachowała jedność – jak Francja podzielona na katolików i kalwinistów (hugenotów). Łączyło ją to, co już zasygnalizowaliśmy – zmęczenie wojnami, zgoda (już zaktualizowana albo nadchodząca) na świeckie i scentralizowane „państwo – naród”, myśl Odrodzenia i z niej wynikająca etyka, zapożyczona ze wspólnej chrześcijańskiej tradycji. Z tym że nie była to już myśl Pico della Mirandoli. Było to kartezjańskie, bezwarunkowe poddanie się nieomylnemu rozumowi oraz lockeańskie oparcie się na empirycznie rozumianym zdrowym rozsądku. Tak właśnie, z wiedzą odzieraną z jej sakralnego odniesienia rozpoczynała się rewolucja sekularyzacji i Europa wkraczała w epokę Oświecenia z jej nową klasą średnią (o której już wspomnieliśmy w rozdziale 2).

### **PS czyli krótki wybór książek poświęconych sekularyzacji kultury:**

- Owen Chadwick, „The Secularization of the European Mind in the Nineteenth Century”
- Eamon Duffy, „The Stripping of the Altars: Traditional Religion in England, 1400 – 1580”
- Amos Funkenstein, „Theology and the Scientific Imagination from the Middle Ages to the Seventeenth Century”
- Scott W. Hahn, Benjamin Wiker, „Politicizing the Bible: The Roots of Historical Criticism and the Secularization of Scripture 1300-1700”

### **PPS czyli słowo o XVI-wiecznej katolickiej monarchii Hiszpanii**

Omówienie jej świetności wykracza poza temat tego résumé, ale nie sposób o niej nie wspomnieć. Powstała dzięki rekonkwiescencji i konkwiiescencji, rządowi Ferdynanda II i Izabeli I, zaczęła dobiegać kresu po wojnie trzydziestoletniej i traktacie westfalskim. Świetności tej towarzyszył wspaniały rozkwit hiszpańskiego mistycyzmu oraz wielkie dzieło św. Ignacego Loyoli, które opromieniło kulturę całej katolickiej Europy.

## 7. Zmierzch Zachodu. Historia politycznie niepoprawna (i rzut oka w przyszłość)<sup>31</sup>

### Pieniądz i ...

Wąsko pojętej historii politycznej Zachodu od wieku XVIII poświęcono wiele znakomitych dzieł i jest przeto dobrze wszystkim znana. W dalszym ciągu tego rozdziału wspomnę tylko – w sposób zapewne politycznie niepoprawny – o kwestii triumfu liberalizmu na Zachodzie, który to liberalizm okazał się filarem XIX-wiecznej centralizacji władzy państwowej. I przede wszystkim odniosę się do rzadziej poruszanej, a mającej fundamentalne znaczenie historii finansowej. Jej ogólne, nietechniczne aspekty są zresztą w istocie częścią historii politycznej, chociaż umyka to często uwadze czytelników monografii historycznych. A przecież tak mówił założyciel bankierskiej i finansowej dynastii Rotszyldów, Mayer Amschel Rothschild: *Daj mi kontrolę nad podażą pieniądza narodu, a nie będzie mnie obchodzić kto tworzy jego prawa.* Nieważne, kto jest formalnym suwerenem, ważne, kto rządzi pieniądzem. Nie bez kozery Henryk Heine zapisywał w 1841 roku, iż *Pieniądz jest bogiem naszych czasów, a Rothschild jego prorokiem.*<sup>32</sup>

Dynastia Rotszyldów miała wpływ na rządy i na losy wojen.<sup>33</sup> Kreowana przez nich polityka finansowa współtworzyła trwałe i dogłębne przemiany ustrojowe. Ponieważ rodzina Rotszyldów była w owym czasie symbolem twórców nowego ładu, to im właśnie Henryk Heine przypisywał moc powołania do życia nowej elity społecznej dzięki *wyniesieniu systemu rządowych obligacji do rangi najwyższej władzy oraz wyposażeniu pieniądza w przywileje wcześniej właściwe przywilejowi posiadania ziemi. Nie ma wątpliwości, że w ten sposób [Rotschild – przyp. jk] tworzy nową arystokrację, ale tym razem ufundowaną na elemencie najbardziej niesolidnym, na pieniądzu ... [który] jest bardziej płynny niż woda i mniej stały niż powietrze [...]*

Pisał także: *System papierów wartościowych pozwala [...] ludziom wybrać jakiegokolwiek miejsce zamieszkania; mogą mieszkać gdziekolwiek, nie pracując, żyjąc z oprocentowania posiadanych obligacji, ich przenośnej własności, i przeto zbierają się razem, tworząc prawdziwą władzę naszych stolic.*

Heine dostrzegł doniosłość obserwowanych przemian. W słowach XIX-wiecznego romantyka odnajdujemy syntetyczny opis nowych stosunków własnościowych i nieznanego wcześniej na kontynencie dynamizmu władzy ufundowanej po części na nowych, finansowych podstawach, zdolnych ułatwić tej władzy globalizację. Kiedy dziś czytamy, że właściciele „nowego pieniądza” mogą mieszkać *gdziekolwiek*, dysponują własnością *przenośną* oraz *zbierają się razem*, na myśl przychodzi globalna „pajęczyna”, jaką tworzą ci

---

<sup>31</sup> Pierwotna wersja tego rozdziału, poza jego ostatnim punktem, ukazała się na stronach portalu „Wszystko co Najważniejsze”, 22 października 2021 r.

<sup>32</sup> Cytaty z pism Heinego za: Niall Ferguson, „The Ascent of Money: A Financial History of the World”, 2008.

<sup>33</sup> Por. np. Niall Ferguson, *op. cit.*, Song Hongbing, „Wojna o pieniądz”, pierwsze trzy tomy, 2011 – 2016 (to drugie dzieło trzeba czytać z wyraźną dozą krytycyzmu – dzieło warte lektury, ale niewolne od demagogii i pisane z punktu widzenia interesu Chin).

właściciele i rynki finansowe, będąca siecią utkaną z wielu tak czy inaczej połączonych między sobą różnych mniejszych, mniej lub bardziej istotnych pajęczynowych skupień (koncernów i organizacji finansowych oraz banków). Do opisu tej pajęczyny jeszcze wrócimy.

Odnotujmy również, iż Heine spisywał swoje obserwacje około sto lat po przeprowadzonej z powodzeniem przez sir Roberta Walpole'a rewolucji finansowej w Anglii, której elementem zasadniczym było uczynienie pieniądzem długu publicznego (czyli jego monetyzacja). Dominująca dotąd klasa szlachecka zorientowała się w mig, iż zostaje zastąpiona przez nową klasę, którą określiła pogardliwie mianem „ludzi pieniądza”. Pełnemu pasji sprzeciwowi szlacheckiemu przewodzili najpierw tzw. prawdziwi Wigowie, a potem zastąpił ich prominentny torys, Henry St. John, pierwszy wicehrabia Bolingbroke. Cytując Forresta McDonalda<sup>34</sup>

*Według Bolingbroke'a rewolucja Walpole'a całkowicie skorumpowała angielski rząd i społeczeństwo. Wcześniej, stwierdził Bolingbroke, system ufundowany był na rolnictwie i własności ziemi, uczciwej pracy na roli, na rzemiośle w miastach oraz na sprawiedliwie regulowanym handlu między ludźmi. Wszyscy czcili Boga, szanowali bliźnich, ustępowali mądrzejszym i znali swoje miejsce. Ponieważ byli pewni swego miejsca, byli też pewni swego rozumienia wartości; w postępowaniu kierowali się głównie cnotą, honorem i duchem dobra publicznego. Instrumentem, który w rękach Walpole'a stał się narzędziem korupcji, był pieniądz – nie pieniądz „rzeczywisty”, złoty lub srebrny, ale pieniądz sztuczny, w formie długu publicznego, banknotów, akcji i innych rodzajów papierów, pozyskanie których nie miało nic wspólnego z pracą lub ziemią. Walpole i jego ministrowie zachęcali ludzi do spekulowania takimi papierami i w ten sposób szukania łatwego zysku. Gorączka hazardu, giełdy papierów wartościowych i „tasowania” tych papierów ogarnęła najwyższe organy państwa, pozwoliła ministrom przejąć kontrolę nad Parlamentem, tym samym wywracając porządek konstytucyjny, i w końcu ogarnęła społeczeństwo. Męska cnota ustąpiła miejsca zniewieścieniu i sprzedajności.*

Jeśli uwzględnić ówczesne możliwości techniczne – ówczesną mobilność ludzi i towarów, zdolność komunikacji i przenoszenia pieniądza z miejsca na miejsce – charakter europejskiego, zwłaszcza angielskiego rynku finansowego końca XIX wieku był nie mniej globalny i dynamiczny niż dzisiaj (nie było natomiast takiej jego koncentracji w niewielu rękach, jak to jest obecnie – ale o tym za chwilę).

Na krótko przed wybuchem I wojny światowej działało około 40 giełd rozrzuconych po całym świecie, z których 7 było regularnie obserwowanych przez brytyjską prasę fachową. Na londyńskiej giełdzie obracano obligacjami 57 rządów suwerennych bądź kolonialnych. Z brytyjskiego kapitału pozyskanego dzięki publicznym emisjom papierów wartościowych w latach 1865 – 1914, tylko około 1/3 została zainwestowana w Zjednoczonym Królestwie. W okresie bezpośrednio poprzedzającym wybuch wojny brytyjskie inwestycje zamorskie dotyczyły w 48% USA, Kanady, Australii i Nowej Zelandii, w 20% Ameryki Łacińskiej, w 16% Azji, w 13% Afryki i w 6% reszty Europy. W roku 1913 aż 48% obligacji notowanych

---

<sup>34</sup> Patrz Forrest McDonald, „Alexander Hamilton: A Biography”, 1997. Nie przypadkiem cytuję tu historyka amerykańskiego i jego biografię Hamiltona. Amerykańscy Ojcowie Założyciele spierali się o właściwy ład finansowy młodej republiki podobnie jak to miało miejsce około 60 lat wcześniej w Anglii. Amerykańskim Walpole'em był Alexander Hamilton, który tę batalię wygrał, rolę wicehrabiego Bolingbroke'a pełnił Thomas Jefferson (p. rozdz. 9).



na giełdzie w Londynie pochodziło z zagranicy. W tym samym roku 1/4 całego światowego kapitału zainwestowanego poza krajem pochodzenia wylądowała w krajach o PKB na głowę mieszkańca nie przekraczającym 1/5 PKB per capita w USA; w roku 1997 proporcja ta wynosiła zaledwie 1/20.<sup>35</sup> Nieomal aż do zamachu Gawriła Principa na arcyksięcia Franciszka Ferdynanda europejska finansjera była pewna, że dobra kondycja finansów oraz ekonomiczna globalizacja są pewnymi gwarantami trwałego pokoju w Europie. Płynność finansowa całego systemu czyniła finansistów ślepych na rywalizację między mocarstwami.

### ... i liberalizm

Dziewiętnasty wiek przyniósł na europejskim kontynencie triumf liberalizmu w jego wersji prodemokratycznej oraz antykatolickiej, i jednocześnie agnostycznej albo protestanckiej. Pierwszoplanowym celem liberalizmu jest maksymalizacja wolności dla każdego obywatela, równego we wszystkim co możliwe innym obywatelom. Instytucja Kościoła oraz instytucjonalnie usankcjonowana hierarchia społeczna stały rzecz jasna na przeszkodzie tak rozumianej wolności osobistej. Wraz z likwidacją dawnego ładu hierarchicznego – podtrzymującego lokalny i partykularny charakter wspólnot – tradycyjne normy religijne i kulturalne traciły legitymację norm oczywistych i organicznych, uświęconych przez Boga i tradycję. Państwo weszło zatem w rolę instytucji stojącej na straży – możliwej na danym etapie – maksymalizacji równości i wolności dla każdego. Ale skoro zlikwidowany został naturalny, hierarchiczny ład, to – paradoksalnie – takim strażnikiem mogło być tylko państwo scentralizowane i biurokratyczne. Dążenie do równości i wolności dla każdego sprawiało, iż własność prywatna przestawała być najważniejsza, jeśli nie podejrzana. Przez niektórych zaczęła być widziana jako zło, ponieważ stawała na przeszkodzie wspomnianemu dążeniu. Z czasem radykalni liberałowie – już w końcu XIX wieku – stali się socjalistami, zaś umiarkowani zafundowali Zachodowi – ale to dopiero w XX wieku – państwa opiekuńcze i liberalną demokrację.

Zasygnalizowane procesy sprzyjały powstaniu reżimów bliskich totalitarnym albo wręcz totalitarnych – komunistycznego i narodowo-socjalistycznego. W miesięczniku „Chronicles” – założonym w Ameryce przez Leopolda Tyrmanda – filozof Donald Livingston tak pisał w 1999 roku:

*[Ludobójstwo i barbarzyństwo XX wieku] nie byłoby możliwe bez bezprecedensowej koncentracji władzy w nowoczesnych państwach. Gdyby Hitler i Stalin byli XVIII-wiecznymi monarchami, nie wymordowaliby milionów, ponieważ nie mieliby władzy pozwalającej na zmobilizowanie wszystkich niezbędnych do tego środków. Byliby ograniczeni przez inne, niezależne i wpływowe ośrodki władzy i autorytetu (Kościół, szlachtę, władze lokalne), które – równie potężne w sferach swej kompetencji jak władza monarsza – wedle wszelkiego prawdopodobieństwa sprzeciwiłyby się barbarzyństwu. [...]*

*Według uniwersalistycznego liberalizmu, zniszczenia XX-wieczne były wynikiem działania nieliberalnych rządów. Nie dostrzega się, że to sam liberalizm pierwszy legitymizował zniszczenie niezależnych społecznych autorytetów i społecznej struktury, przekształcając społeczeństwo w masę oraz koncentrując władzę w jednym ośrodku. Republika Francuska była pierwszym nowoczesnym państwem, za swą legitymację mając ideologię liberalną. Była też pierwszym państwem totalitarnym.*

---

<sup>35</sup> Patrz Niall Ferguson, *op.cit.*, str. 293.

*Najważniejszą wojną XX wieku była I wojna światowa. [...] Wszystkie narody, które prowadziły tę wojnę, miały się za postępowe i liberalne monarchie konstytucyjne lub republiki. Przez cały wiek, te rzekomo liberalne reżimy koncentrowały władzę. Koncentracja osiągnęła w roku 1914 masę krytyczną i eksplodowała – rozpoczęła się wojna, która zniszczyła społeczną strukturę Europy. Narodowy socjalizm i komunizm nie powstały w próżni, lecz były wynikiem destrukcji przeprowadzonej przez postępowe reżimy liberalne.*

Livingston zwracał uwagę, iż reżimy liberalne były ekonomicznie liberalne, ale tylko dla tych, którzy centralizowali i konsolidowali mniejsze podmioty polityczne w wielkie organizmy państwowe. Ekonomiczna wolność była małym podmiotom odbierana. Gdy owe liberalne lewiatany starty się w 1914 roku, na polach bitew pozostawiły w ciągu czterech lat więcej trupów niż we wszystkich wojnach wcześniejszego dwustulecia. Można bez przesady powiedzieć, że XIX wiek – aż do wybuchu I wojny światowej – był w Europie wiekiem wojny stuletniej przeciw małym podmiotom politycznym dowolnego typu, wojny w imię centralizacji, unifikacji i konsolidacji, po której nastąpiła wojna osiemdziesięcioletnia XX wieku, w której stanęły przeciw sobie gigantyczne lewiatany stworzone w wieku XIX, zakończona rozpadem ZSRS.

### **USA i Pax Americana**

Proces centralizacji władzy w Stanach Zjednoczonych biegł znacznie wolniej i w sposób bardziej złożony. To prawda, że z końcem XIX wieku w USA nastąpiła tzw. era postępową (c. 1890 – 1920), która stała się kolebką amerykańskiej wersji lewicowej inżynierii społecznej. Jej „ojciec”, Herbert Croly, podkreślał konieczność centralizacji państwa, jeśli postępowe cele mają być osiągnięte. Ale wcześniej, w tzw. wieku połączonym (c. 1870 – 1900) zaczął się w USA niezwykle dynamiczny rozwój wielkiego biznesu, kontynuowany zresztą podczas ery postępowej. Jednym z fundamentów owego rozwoju było na ów czas bezprecedensowe związanie tegoż biznesu i coraz potężniejszych banków z klasą polityczną. O pierwszeństwo na polu biznesu i bankowości rywalizowały rodziny Morganów i Rockefellerów, wspomagając się swoimi biznesowymi koalicjantami. John Pierpont Morgan i John Davison Rockefeller zwalczali się bez pardonu w sferze biznesu, przeszkadzając sobie w budowaniu coraz potężniejszych karteli i trustów, mających zniszczyć mały i średni biznes. Ale współpracowali w dziele stworzenia bankowego giganta w postaci Banku Centralnego, który został utworzony w 1913 roku. Co najmniej od początku ery postępowej Stany Zjednoczone doświadczały państwowej centralizacji i dążenia do państwowej regulacji na polu ekonomicznym, takiej jednak, która nie zagroziłaby wielkiemu biznesowi. Strażnikiem stabilnego wzrostu ekonomicznego, minimalizacji bezrobocia oraz stabilności systemu finansowego, w tej ostatniej kwestii nie mającego nad sobą żadnej kontroli, stał się wspomniany już Bank Centralny (Rezerwa Federalna).

W świecie wielkiej polityki od początku ery postępowej aż do Franklina Delano Roosevelta włącznie – prezydenta w latach 1933 – 1945 – kolejni prezydenci Stanów Zjednoczonych byli mocno związani, jeśli nie desygnowani na ten urząd, albo przez dom Morganów, albo Rockefellerów. W okresie tym więcej do powiedzenia miał dom Morganów (patrz PS na końcu rozdziału). Franklin D. Roosevelt był mocno związany z kręgami biznesowymi J. D. Rockefellera, ale także z rekinem biznesu Josephem P. Kennedym, rodziną Gianninich z Kalifornijskiego Banku Ameryki i mormońskimi bankierami z Utah. Tak powstawał nowy ład łączący w sposób systemowy i uporządkowany wielką politykę, finanse państwa i wielki biznes.

Z czasem rolę obydwu domów przejęły takie organizacje jak Rada ds. Stosunków Zagranicznych (*Council on Foreign Relations*, w skrócie CFR), Komisja Trójstronna (*Trilateral Commission*, dalej TC), Klub Bilderberg (inaczej Grupa Bilderberg, ang. *Bilderberg Meetings*, dalej BM), ale nie będziemy się tu nimi zajmować. Wspomnimy tylko, że formalnie powstały w roku 1921 CFR, jak dziś powiedzielibyśmy *think tank* doradzający w sprawach polityki zagranicznej i stosunków międzynarodowych USA, pod koniec lat 1930-tych zaczął otrzymywać pokaźne dotacje od Fundacji Forda oraz Fundacji Rockefellera. David Rockefeller został członkiem CFR w 1941 roku i np. w latach 1950 – 1970 pełnił funkcję jednego z jej wiceprezydentów. W roku 1939 zaczęła się ścisła współpraca CFR z Departamentem Stanu. Komisję Trójstronną utworzył w 1973 roku David Rockefeller jako organizację prywatną, której celem miała od początku być promocja współpracy między Ameryką Północną, Japonią i Europą. Ambicją TC jest m.in. współwyznaczanie agendy dla takich inicjatyw rządowych jak spotkania grupy G7. Klub Bilderberg powstał w roku 1954 z inicjatywy Józefa Retingera, Bernharda księcia Niderlandów, Denisa Healeya i Davida Rockefellera, początkowo dla umocnienia współpracy USA z Europą. Elita CFR, TC oraz BM to najważniejsi z najważniejszych w świecie finansów, bankowości i polityki.<sup>36</sup>

Świat po 1945 roku był światem jednobiegunowym, ze Stanami Zjednoczonymi jako globalnym hegemonem. W wyniku II wojny światowej terytorium Związku Sowieckiego powiększyło się o tę część Europy Wschodniej, która doń nie była należała przed wojną. Ponadto ZSRS otrzymał od aliantów jako kolonie państwa Europy Środkowej. Duża część Niemiec znalazła się pod zbawienną kuratelą USA, zbawienną m.in. za sprawą planu George'a Marshalla. Zaproponowana przez George'a Kennana (*nota bene* członka CFR) strategia powstrzymania oraz zimna wojna roztoczyły nad Europą Zachodnią parasol bezpieczeństwa, dodatkowo ułatwiając tej części ludów Europy demoralizację za sprawą państwowej opiekuńczości (antychrześcijaństwo oraz promocja postaw tradycyjnie uznawanych za niemoralne miały rzecz jasna swoje starsze źródło w Oświeceniu i liberalizmie). Ale też ta demoralizacja nie przeszkadzała oligarchii rządzącej Zachodem. Tak jak jej nie przeszkadzała nieporównanie wolniej postępująca i później z pełnym rozmachem rozpoczęta – bo w roku 1968 – demoralizacja narodu amerykańskiego.

Ostatni europejscy mężowie stanu, mam na myśli zwłaszcza Charlesa de Gaulle'a i Konrada Adenauera, myśleli o silnej Europie, ale brakowało im mocy sprawczej, by skutecznie sprzeciwić się amerykańskiej dominacji. Ze względów ekonomicznych Ameryka potrzebowała gospodarczo rozwiniętej Europy, potrzebowała zespolenia przestarzałej struktury małych rynków krajowych Europy w zintegrowany i wystarczająco duży rynek, który mógłby przynieść efektywność i właściwą skalę zachodnim przedsięwzięciom ekonomicznym (w istocie taki był ton argumentacji Kennana adresowanej do amerykańskiego sekretarza stanu George'a Marshalla). Integracja ekonomiczna miała zarazem odbudować europejską pewność siebie i przekonanie o zdolności do przeciwstawienia się naciskom z zewnątrz bez konieczności integracji politycznej. Tej ostatniej Ameryka nie chciała, uważając, że droga do niej znowu mogłaby wieść przez konflikt francusko-niemiecki aż do odrodzenia się nacjonalizmów i europejskiego militarysty. Tak Europę postrzegały USA.

---

<sup>36</sup> Trochę więcej na temat CFR, TC i BM patrz J. Koronacki, „W stronę novus ordo mundi”, [https://home.ipipan.waw.pl/j.koronacki/Koronacki-NovusOrdoMundi\\_110920-ost.pdf](https://home.ipipan.waw.pl/j.koronacki/Koronacki-NovusOrdoMundi_110920-ost.pdf)

Wspólnota Atlantycka miała za cel zachowanie i utrwalenie dominacji amerykańskiej oraz politycznego rozdrobnienia zachodniej Europy. Bezpośrednio po II wojnie światowej amerykańscy strategowie usprawiedliwiali swą politykę „ciemną stroną” Europy – wspomnianą już obawą przed odrodzeniem się europejskiego militarystyki i międzynarodowych konfliktów. Hegemonia nad Europą odpowiadała ich interesom i nie mieli zamiaru z niej zrezygnować. I od czasu Monneta oraz Schumana, Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali, Europejczycy chcieli się temu amerykańskiemu planowi sprzeciwić. Nawet Brytyjczycy, upokorzeni przez Eisenhowera w dobie kryzysu sueskiego w roku 1956, pomyśleli o ożywieniu idei „trzeciej siły”, istniejącej obok Rosji i USA. Kiedy Anthony Eden odwołał pod naciskiem USA angielsko-francuską inwazję na Suez i poinformował o tym telefonicznie Guy Molleta, a działo się to podczas spotkania tego ostatniego z Konradem Adenauerem, niemiecki kanclerz powiedział uspokajająco: *Cóż, nadszedł czas stworzenia Europy*. Charles de Gaulle uznał już w 1962 roku, gdy Rosjanie wyszli pokonani z kryzysu kubańskiego, że świat stał się jednobiegunowy, czyli zdominowany przez USA. I wtedy to rozpoczął się francuski program zbrojeń atomowych. Amerykanom nie udało się powstrzymać Francji, ale z powodzeniem wyrwali zęby paktowi francusko-niemieckiemu z roku 1963. Niemcy otrzymali propozycję nie do odrzucenia: albo cofną się Niemcy, albo USA wycofa swój parasol ochronny znad Niemiec. W chwili powstania NATO w roku 1949 pierwszy sekretarz generalny paktu lord Ismay, przedstawił cel organizacji w prostych słowach: *utrzymać Rosjan poza, Amerykanów wewnątrz, zaś Niemców w ryzach*.<sup>37</sup>

Amerykański politolog Christopher Lane pisał na łamach magazynu „The National Interest” w 2003 roku, iż Amerykanie nadal starali się nie tylko „trzymać Niemców w ryzach”, ale tę samą taktykę stosowali wobec Francuzów. Dlatego byli za rozszerzeniem NATO oraz Unii Europejskiej, pewni, że ich nowi członkowie pomogą USA trzymać w ryzach „starą Europę”. Jednocześnie, dodajmy koniecznie, zadbali o to, żeby nowi członkowie UE nie zjednoczyli się gospodarczo i przypadkiem nie okazali się nowym, w miarę znaczącym podmiotem polityczno-gospodarczym w Europie.

Wszakże światowy hegemon zdawał się zapominać, że nie był to rok 1963, lecz 2003, że zachodnia Europa była nieporównanie bezpieczniejsza, a koszty hegemonii coraz większe. Efekty nadmiernych ambicji imperialnych, wojen z dala od Ameryki oraz ewidentne widmo kryzysu ekonomicznego w Ameryce nie kazały na siebie zbyt długo czekać. Zaś Europa Zachodnia nadal cieszyła się amerykańskim parasolem bezpieczeństwa i używała – via swoje programy państw opiekuńczych – jak tylko się dało. I w tym samym czasie Amerykanie prowadzili swoją awanturniczą politykę na Bliskim Wschodzie. Doświadczyli faktycznej klęski w Iraku i upokarzającego finału wojny w Afganistanie, nie mówiąc o kompromitujących interwencjach w Libii i Jemenie.<sup>38</sup>

### **Bretton Woods ...**

Gdy dobiegała końca II wojna światowa, w 1944 roku na konferencji w Bretton Woods zebrali się delegaci 41 państw alianckich, by ustalić zasady nowego międzynarodowego ładu ekonomicznego – międzynarodowego systemu finansowego, w tym reguł wymiennalności walut, który gwarantowałby ekonomiczną stabilność i promował rozwój oraz nie dopuścił do zdominowania przez mocarstwa – albo supermocarstwo amerykańskie – reszty świata.

---

<sup>37</sup> W oryginale: *Keep Russians out, Americans in and Germans down*.

<sup>38</sup> Por. rozdz. 13.

Przyjęte regulacje nie były w smak bankom z Wall Street i londyńskiego City, i szybko zaczęły być sprytnie „rozcieńczane”, czyli obchodzone. Do tego Stany Zjednoczone wzmocniały swoją potęgę oraz dominację na świecie, a to kosztowało. W szczególności wymienialność dolara na złoto stawała na przeszkodzie amerykańskiej ekspansji. Pod koniec lat 1960-tych amerykańskie rezerwy złota zaczęły nie wystarczać na wypełnianie zobowiązań z Bretton Woods. W 1971 roku prezydent Nixon zawiesił wymienialność dolara na złoto. Do tej wymienialności świat już nie wrócił, zaczęła się epoka pieniądza fiducyjnego z amerykańskim dolarem jako walutą światową, co dla USA było równoznaczne z wręcz koniecznością zapewnienia mocarstwu niekwestionowanej i trwałej dominacji nad światem.

W ostatnim ćwierćwieczu XX wieku dramatycznie zmieniła się w USA i na świecie rola banków. W USA powstały nowe zasady systemu oszczędności i kredytów (*savings and loans*). Dawne wspomaganie kredytowe sektora produkcji i usług zostało zastąpione przez powstające fundusze powiernicze. Pożyczki bankowe zostały zastąpione przez obligacje emitowane przez przedsiębiorstwa i skupowane przez te fundusze. Banki zaczęły działać podobnie do owych funduszy, a zatem stały się częścią tego świata finansów, który handluje papierami wartościowymi. Zaczęły się mnożyć jak grzyby po deszczu coraz to nowe papiery wartościowe, zwłaszcza na rynku instrumentów pochodnych, co m.in. uczyniło potężnymi tzw. fundusze hedgingowe (ich celem jest minimalizowanie ryzyka transakcji finansowych przy jednoczesnym agresywnym staraniu o uzyskanie jak największych zysków). W nieco karykaturalnym skrócie – na pierwszym miejscu stanął pieniądz, który ma mnożyć pieniądz. Sektor bankowości i finansów stał się panem tego świata.

Rządzącym nie przeszkadzał wzrost podaży pieniądza oraz zatrważający wzrost zadłużenia USA i innych państw Zachodu (dług publiczny w USA, którego spłata ma obciążyć przyszłe pokolenia, wynosił 34% PKB w roku 1971 i około 100% w roku 2020; same odsetki od kredytów zaciągniętych na wojnę w Afganistanie to prawie 500 miliardów USD). W USA rządzącym nie przeszkadzało uruchomienie w latach 1970-tych procesu względnego i trwałego ubożenia szerokiego segmentu klasy średniej i klas niższych. Jak i to, że koło dwie dekady później zaczął się proces przenoszenia produkcji i miejsc pracy z USA do Chin.<sup>39</sup>

### **... i pieniądz dzisiaj**

Napoleon Bonaparte miał rację mówiąc, że pieniądz nie ma ojczyzny, ale nawet sto lat po jego śmierci zysk amerykańskiego finansisty niósł dobro jego ojczyźnie. Było, minęło. Dziś finansista może być Amerykaninem, ale nie jest już finansistą amerykańskim. Mamy globalny, niezwykle silnie usieciowiony ład ekonomiczny (teraz akurat ta sieć przeżywa i przeżywać będzie różne rekonfiguracje, zwłaszcza spowodowane uaktywnieniem się chińskiej potęgi, o czym słowo pod koniec tego rozdziału).

Badacze ze słynnej Politechniki Federalnej w Zurychu (ETH), Stefania Vitali, James Glattfelder i Stefano Battiston, opublikowali w 2011 roku doskonałą pracę zatytułowaną *The network of global corporate control*. Dowiadujemy się z niej jak skomplikowana jest sieć udziałów we własności ponadnarodowych korporacji. Dowiadujemy się, że 767 największych posiadaczy udziałów w takich korporacjach, z których produktów i usług korzystamy bez

---

<sup>39</sup> Ciekawe analizy tych różnych procesów można znaleźć m.in. w następujących opracowaniach: Peter Gowan, „The Global Gamble: Washington’s Faustian Bid for World Dominance”, 1999, chociaż to praca pisana z lewicowej perspektywy; William J. Quirk i R. Randall Bridwell, „Abandoned: The Betrayal of the American Middle Class since World War II”, 1992; Paul Craig Roberts, „How the Economy Was Lost: The War of the Warlords”, 2010.

przesady nieprzerwanie, sprawuje kontrolę nad 80% ogólnej wartości wszystkich tych korporacji. Za ledwie 147 największych i mocno między sobą powiązanych właścicieli udziałów sprawuje kontrolę nad 40% ogólnej wartości wszystkich ponadnarodowych korporacji. Największymi wśród tych największych są w ogromnej większości podmioty z sektora finansów – m.in. i przede wszystkim inwestycyjne fundusze powiernicze BlackRock, The Vanguard Group Inc., State Street Corporation, The Capital Group Companies Inc., oraz banki JP Morgan Chase & Co. (John D. Rockefeller miał duże udziały w Chase National Bank), Merrill Lynch and Co., Goldman Sachs Group Inc., Bank of New York Mellon, Bank of America Corporation, Morgan Stanley, brytyjski Barclay's, niemiecki Deutsche Bank AG, szwajcarski Credit Suisse Group.<sup>40</sup>

Czy jest do pomyślenia, by taka korporacyjna elita nie miała wpływu na rządy, więcej, nie była filarem oligarchii rządzącej światem? Marek Chlebuś<sup>41</sup> w niezwykle ciekawej pracy poświęconej analizie rządzącego światem systemu wyliczał na początku 2021 roku, że suma aktywów pozostających pod zarządem „Wielkiej Czwórki”, czyli czterech największych funduszy powierniczych (BlackRock, Vanguard, Fidelity, State Street) to prawie 22 biliony USD (dla porównania: PKB USA to niespełna 21 bln USD, natomiast PKB Polski to niespełna 0,6 bln USD).

Pisze Chlebuś:

*Wielka Czwórka to jednak raczej przedostatnie niż ostatnie piętro piramidy władzy. Wyższymi władcami byłiby ci, którzy rządzą Wielką Czwórką. Formalnie, za ich lidera uchodzi Larry Fink, zdolny finansista, który w 1988 r. założył BlackRock i do dzisiaj kieruje firmą. Ale to przecież tylko zarządca, sam mający już niewielki udział w kapitale firmy. On też komuś podlega i nawet, przynajmniej formalnie, może być odwołany.*

*Nikt by zresztą nie pozwolił tak urosnąć najzdolniejszemu nawet finansistcie, żeby sam przejmował zarządzanie nad najpotężniejszymi biznesami świata, jak chociażby banki Rezerwy Federalnej. [...] Z dużym prawdopodobieństwem, Larry Fink musi działać za przyzwoleniem wcześniejszych plutokratów, a oni sami, ci najwięksi, pewnie lokują się gdzieś nad nim albo za nim. Jest raczej arendarzem niż dziedzicem.*

*Sami dziedzice, rzeczywiści beneficjenci tego układu, nieznani społeczeństwu, pozostają całkowicie poza jego kontrolą, oceną i jakimkolwiek wpływem. Raczej też nie ma nad nimi władzy amerykańskie – i pewnie żadne inne – państwo.*

W bardzo ciekawym i ważnym artykule Marcina Malinowskiego pt. „Kto rządzi światem”, będącym omówieniem książki Hansa-Juergena Jakobsa z 2016 roku pt. „Wem gehört die Welt?” („Do kogo należy świat”), czytamy (pierwszy akapit poniższego cytatu dobrze ilustruje złożoność sieci powiązań między gigantami finansowymi):<sup>42</sup>

---

<sup>40</sup> Podana tu lista uwzględnia wyniki wspomnianej pracy badaczy z ETH z roku 2011 oraz pracy Glattfeldera i Battisona z roku 2019 pt. *The Architecture of Power: Patterns of Disruption and Stability in the Global Ownership Network*. Glattfelder i Battison odnotowali niezwykle wzrost znaczenia funduszu powierniczego BlackRock, który był konsekwencją kryzysu finansowego w latach 2007 – 2009.

<sup>41</sup> Patrz M. Chlebuś, „Lęk przyszłości”,

<https://instytutprawobywatelskich.pl/esej-lek-przyszlosci/>

<sup>42</sup> Marcin Malinowski „Kto rządzi światem”,

<https://nowyobywatel.pl/2017/09/17/kto-rzadzi-swiatem/> (Marcin Malinowski to pseudonim autora, który z racji zawodowych pozostaje anonimowy).

Oczywiście Blackrock również ma swoich głównych udziałowców, którymi są PNC Financial Services (21,1%), Norges Invest (5,7%) i Wellington Management Group (6%). Ciekawostką jest, że do Blackrock należy 5% PNC Financial Services, a więc można powiedzieć, że firmy te należą do siebie nawzajem.

Blackrock niesamowicie urósł po kryzysie 2008 roku. Uciekły do niego (i do innych firm powierniczych) pieniądze z regulowanych banków, obwinianych o spowodowanie kryzysu finansowego. Regulacja funduszy powierniczych jest niewielka i w tym sektorze upatruje się źródła kolejnego kryzysu finansowego w przyszłości. Prezes BlackRock Larry Fink zarabia 28,6 milionów dolarów rocznie, mimo (jałowych) protestów niektórych akcjonariuszy, uważających, że jest on znacznie przeplacany. BlackRock zatrudnia 13 tysięcy pracowników. Posiada około 6% udziałów w większości istotnych globalnych korporacji wszystkich branż – samochody, handel, chemia, farmaceutyki, media, rozrywka, energia, surowce i handel nimi, przemysł spożywczy, maszyny, elektrotechnika, elektronika, logistyka. Udziela pożyczek firmom, kupuje obligacje państwowe, co tworzy ogromny potencjał dla konfliktów interesów, i może wywierać skuteczną, zakulisową presję na wszystko, co stanie mu na drodze. Biorąc pod uwagę, że inne wielkie amerykańskie fundusze powiernicze też mają po kilka procent udziałów w czołowych korporacjach, firmy te mogą de facto mieć, przy rozdrobnieniu pozostałego akcjonariatu, możliwość decydowania o kierunku rozwoju większości sektorów globalnej gospodarki.

Potencjał BlackRock i spółki [Jakobs podaje dane dla „Wielkiej Piątki” – poza Wielką Czwórką uwzględnia jeszcze Capital Group – przyp. jk] w kwestii uzgadniania stanowisk i wywierania presji na kluczowe globalne korporacje i sektory jest spory, co pokazują ich zsumowane udziały w na przykład Exxon Mobile (16,7%), Johnson&Johnson (17,9%), Lockheed Martin (16,9%) czy General Electric (11,6%). BlackRock jest największym udziałowcem w co piątym amerykańskim przedsiębiorstwie notowanym na giełdzie, wliczając banki. [...]

Blackrock rokrocznie wysyła listy do prezesów głównych korporacji z zaleceniami co do strategii. W 2016 roku tych pism było 750. Zalecenia te potem aktywnie próbuje forsować na walnych zebraniach akcjonariuszy lub przez zakulisowe działania prowadzone przez trzydziestoosobowy team Corporate Governance and Responsible Investment z oddziałami w Nowym Jorku, San Francisco, Londynie, Tokio i Hong Kongu. [...] Ten fundusz zatrudnia również ważne osoby ze świata polityki, jak Friedrich Merz, były szef frakcji CDU/CSU w Niemczech. Praktyka ta jest znana w Polsce, co widać na przykładzie Gazpromu i Gerharda Schroedera, byłego premiera Niemiec. BlackRock wpływa na wybór szefów zarządów i członków rad nadzorczych korporacji oraz na powtarzalność ich kadencji.

Malinowski omawia możliwie dokładnie – na ile to możliwe w lapidarnym omówieniu – rolę odgrywaną przez fundusze różnego typu, w tym również państwowe fundusze inwestycyjne (przede wszystkim chińskie i należące do państw Zatoki Perskiej). Jak to już wynika z przytoczonych cytatów, fundusze i banki mają ogromny wpływ na strategię rozwojową wszystkich sektorów gospodarki. Malinowski zwraca też uwagę na istotną rolę rodzin, które zachowały kontrolę nad niektórymi globalnymi koncernami. Zwykle jest to duży wpływ na te sektory, w których działa dany koncern. Wyjątkową pozycję osiągnęło kilku założycieli firm – dziś gigantów – przemysłu informatycznego, którzy zapanowali nad całością globalnych usług internetowych oraz wielkimi zbiorami danych (Big Data).

### **Oligarchia albo rząd światowy i nowy ład społeczny**

Przy takim poziomie koncentracji własności i zarazem usieciowienia oraz globalizacji biznesu i finansów trudno wymagać, by i polityka amerykańskiego hegemonu nie miała charakteru ponadnarodowego, i to nawet bez ugruntowania tej polityki w jakichkolwiek ramach ideowych. I nie można mieć wątpliwości, że ta polityka musi być zgodna z przyjętą strategią świata finansów i biznesu, w żadnym razie odwrotnie. To nie rząd amerykański i nie rządy innych państw Zachodu zdecydowały o tym, że np. dziś ekonomia zostaje zorientowana na produkcję i wykorzystanie odnawialnych źródeł energii.

Potrzebny jest rząd niejako ponadnarodowy, pozostający na usługach świata finansów i biznesu, starający się zaprowadzić globalnie obowiązujący ład międzynarodowy bez oglądania się na preferencje obywateli. Taki rząd mieli Amerykanie przez lata i mają go mieć znowu. Z tego układu starał się do pewnego stopnia wyzwolić Donald Trump i ... nie jest już prezydentem.

Globalna strategia, którą od dekad proponują środowiska CFR, TC i BM, i której głównym architektem jest świat finansów, wymaga nowego spojrzenia na człowieka – ma to być obywatel świata, dobrze dopasowany trybik w wielkiej globalnej maszynie. Taki trybik może być biernym proletariuszem albo świadomym współbudowniczym nowego ładu. Rządzący oligarchowie – ci prawdziwie rządzący, panowie finansów, mający do pomocy rządy państw – w ogromnej większości nie mają w zasadzie nic przeciwko religii i rodzinie, życiu ludzi w lokalnych wspólnotach, np. parafialnych albo jeszcze mniejszych, byleby ta religia, rodzina, życie w lokalnej wspólnocie nie zagrażały budowie ładu ogólniejszego, w zamierzeniu globalnego. Tu jednak rodzi się problem nie do rozwiązania. Zostanie obywatelem świata wymaga specjalnego przygotowania – wymaga wychowania do bycia takim obywatelem, wymaga właściwej edukacji. A ta edukacja nie może kultywować niczego co lokalne, co buduje godziwe życie konkretnych osób, żyjących w konkretnym miejscu i w konkretnym czasie. Obywatel świata nie może być prawdziwym chrześcijaninem, żydem, czy muzułmaninem, w kraju swego urodzenia nie powinien widzieć ojczyzny, z którą miałby się czuć szczególnie związany. I dlatego oligarcha musi zgodzić się na takie programy szkolne oraz uniwersyteckie, które będą kształcić owych obywateli świata. Najlepiej, gdy szkolnictwo podstawowe i średnie ma centralnie ustalone i przez państwo zatwierdzone programy, i szkoły działają pod państwowym nadzorem.

Na straży takiej (anty)kultury stoi rzecz jasna świetnie do tego przysposobiony współczesny, pooświeceniowy „uniwersytet”, wiernie i również twórczo rozwijający programy wyrosłe z ideologii liberalnej i lewicowej (dlaczego słowo uniwersytet opatrzyłem cudzym słowem, wyjaśniłem w rozdziale 3). Dziś są to najczęściej programy dla człowieka nowej ery, dla postczłowieka, który ma nastać po śmierci cywilizacji Zachodu.

### **Nielatwa przyszłość – spojrzenie sprzed napaści Rosji na Ukrainę**

Wypada na koniec zasygnalizować kłopoty, jakie piętrzą się przed rządzącą dziś światową oligarchią. Politycznie, świat staje się jedno-wielobiegunowy, zaczyna się budowa regionów z regionalnymi mocarstwami, do gry włączyły się potężniejące Chiny, które w ciągu najbliższych dekad mogą okazać się potęgą ekonomiczną większą od amerykańskiej.

Pomijając wszystko inne, prawie nikt nie wierzy, że obecny ład finansowy jest do utrzymania. Światowy system finansowy może być na progu załamania, świat czeka zapewne jakiś przewrót monetarny, dziś jeszcze nie wiadomo jaki. Sytuację bieżącą skomplikowała jeszcze pandemia i jej ekonomiczne skutki, które świat będzie odczuwać przez długie lata. Jakby tego



było mało, ostatnie miesiące przyniosły napaść Rosji na Ukrainę i wojnę tamże. Zbrodnicza inwazja na Ukrainę jest jednocześnie atakiem na ład – i bez niego już chwiejący się – geopolityczny i geoeconomiczny. Wiosną 2021 roku, gdy nikt jeszcze nie przewidywał tego rosyjskiego ataku, tak pisał Chlebuś (*op. cit.*):

*Do starego truizmu, że pieniądź jest fikcją, doszedł ostatnio nowy, że z tej fikcji zdjęto dotychczasowe reguły równowagi i stała się bańką, podobnie jak giełdy oraz rynki wirtualne. I tak sobie teraz te bańki puchną synchronicznie, a że jedne służą za miarę dla drugich, to w liczbach rozmiarów tego puchnięcia nie widać. Coraz częściej pojawia się jednak refleksja, że ten dance macabre nie może trwać wiecznie, i że pieniądź będzie wkrótce unieważniony – albo administracyjnie, albo przez hiperinflację.*

[...]

*Z czasem mogłoby to prowadzić do rewolucji, ale na razie nie widać nawet załączków rewolucyjnych idei czy rewolucyjnego gniewu. Skutecznie powstrzymują je sektory edukacji, mediów i rozrywki, kontrolowane przez rządzący układ, a gdyby te miały go zawieść, to ma on jeszcze dostęp do starych rozwiązań siłowych, a od niedawna także do nowych: do cyfrowych narzędzi kontroli i przemocy, tworzących coś w rodzaju globalnego elektronicznego pastucha. Implementację i legalizację tego e-pastucha szczególnie przyspieszył kryzys antycovidowy, nadając mu status narzędzia antyepidemicznego.*

Procesy sygnalizowane przez Chlebusia od lat analizuje m.in. James Rickards i warto się w jego analizy wczytać. Choć ten znakomity specjalista potrafi być demagogiczny, to wymowa danych i faktów, na których się opiera, jest nieubłagana, wskazuje na możliwość długotrwałej depresji ekonomicznej i więcej – potwierdza diagnozę Chlebusia.<sup>43</sup>

Zacznijmy od przypomnienia, że świat doświadczył w XX wieku upadku międzynarodowego systemu walutowego trzy razy – w 1914 roku w związku z wybuchem I wojny światowej i falami hiperinflacji oraz depresji w latach 1919 - 1922, w 1939 roku na skutek II wojny światowej i w 1971 roku, gdy zlikwidowana została wymienialność dolara na złoto. W tym ostatnim przypadku doszło nieomal do upadku amerykańskiego dolara, ale ten został uratowany dzięki pomocy jakiejś USA udzieliły Niemcy, Japonia i kraje produkujące ropę. USA były hegemonem, na którym spoczywał obowiązek obrony tych krajów przez zagrożeniem sowieckim. Na początku XXI wieku sytuacja była zupełnie inna. Zniknęło zagrożenie sowieckie, USA zaczęły względnie słabnąć, zaczęło słabnąć zaufanie do dolara. W tym czasie Chiny potężnieją, chociaż nie bez zawirowań w tym procesie, największe państwa OPEC mają swoje interesy. Pierwsze dwie dekady XXI wieku pokazały, że wszystkie te kraje, także Indie i Rosja nie wykluczają zastąpienia dolara – a może przygotowują się do jego zastąpienia – inną walutą albo innymi walutami, jako ich rezerwą walutową. Rickards zaczął brać pod uwagę możliwość bezpośredniej interwencji Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Jak to już odnotowałem, sytuację skomplikowały nie dające się jeszcze zmierzyć skutki pandemii, które zwiększyły prawdopodobieństwo wchodzenia świata w globalną depresję. Sytuacja ta uległa kolejnej zmianie na skutek inwazji Rosji na Ukrainę, ale zanim się tej zmianie przyjrzymy, pozostaniemy jeszcze w świecie sprzed 24 lutego 2022 roku.

---

<sup>43</sup> Patrz James Rickards, „The Death of Money: The Coming Collapse of the International Monetary System”, 2014, „The Road to Ruin: The Global Elites' Secret Plan for the Next Financial Crisis”, 2016, „The New Great Depression: Winners and Losers in a Post-Pandemic World”, 2021, i inne prace tego autora. Wypada wszakże dodać, że Rickards pisał swoją najnowszą książkę pod wrażeniem konsekwencji, jakie przyniosła pierwsza fala pandemii i zbyt łatwo na podstawie danych z 2020 roku wyciągał wnioski na najbliższą przyszłość.

Wspomniane wcześniej najpotężniejsze fundusze powiernicze są amerykańskie (albo międzynarodowe z siedzibami w USA), ale drugą potęgą finansową są Chiny z ich wielkimi i kontrolowanymi przez państwo funduszami oraz bankami. Trzecim graczem są spore fundusze inwestycyjne państw Zatoki Perskiej (por. Malinowski, *op. cit.*). Około 33% amerykańskiego długu publicznego, który wynosił 21,6 biliona USD w grudniu 2020, było w rękach podmiotów zagranicznych – 4,1 biliona USD w rękach innych rządów (w tym 1,28 biliona w Japonii i nieco ponad bilion w Chinach) i 2,8 biliona USD w rękach inwestorów zagranicznych. Od 15 lat Chiny i od 7 lat Rosja zwiększają swoje rezerwy złota i dziś w ich bankach leży prawie 1 950 i 2 300 ton złota (USA ma 8 133 tony; są to dane z września 2021). Producenci ropy coraz chętniej sprzedają ją za inne waluty niż amerykański dolar.

Dług publiczny USA jest nadmiernie rozdęty i jest nadal rozdymany. Parę lat temu dług ten prawie przestał być skupowany przez podmioty zagraniczne, a nawet odnotowano pozbywanie się go przez te podmioty. Rozwój rynków finansowych uczynił pieniądź – jak napisał Chlebuś – fikcją, rozdymającą się bańką. Dobrą tego ilustracją jest wysokość obrotów (oraz szybkość dokonywania transakcji) na giełdach finansowych. Ale ten pieniądź to amerykański dolar, na którym opiera się obecny międzynarodowy system monetarny i którego ojczyzna jest na progu bankructwa. Czy zatem świat rzeczywiście czeka upadek dolara, czyli upadek obowiązującego systemu monetarnego i być może unieważnienie pieniądza? Jak to zasygnalizowaliśmy, świat się do tego upadku zaczął przygotowywać, ale jak w przeszłości, budowa nowego ładu nie obędzie się bez wojen, biedni i średnio zamożni na pewno zbiednieją, bogaci pozostaną bogaci, natomiast oligarchia pozostanie oligarchią.

Nie ma łatwej odpowiedzi na pytanie o przyszłe miejsce USA i Chin na mapie światowej geopolityki. Chińskie plany Jednego Pasa i Jednej Drogi (chińskiego Nowego Jedwabnego Szlaku) to jedno z tych zamierzeń, które każą wrócić do geopolityki na skalę globalną. Wszak pod pojęciem tego szlaku należy rozumieć ich całą sieć – zarówno szlaków lądowych, biegnących przez Eurazję, jak i morskich, które od Morza Wschodniochińskiego i Południowochińskiego poprzez Morze Arabskie i Kanał Sueski prowadzą do Morza Czarnego i Morza Śródziemnego. Aż do wybuchu wojny na Ukrainie chińskie prowokacje zwiększały prawdopodobieństwo otwartego konfliktu między USA a Chinami oraz Chinami a jego bliższymi oraz dalszymi sąsiadami. Tajwan zaczął się intensywnie zbroić, to samo dotyczy Japonii, która obiecuje wesprzeć USA w obronie Tajwanu, jeśli ten zostanie zaatakowany przez Chiny. I chyba do dziś nikt nie wie – poza chińskimi przywódcami – czy Chiny postarają się uniknąć wojny na pełną skalę, inaczej doprowadzając do zdominowania Tajwanu. Czy też dokonają ataku wyprzedzającego tajwańskie dozbrojenie się. Wydaje się, że chińskie prowokacje wobec Tajwanu mają przekonać Stany Zjednoczone, iż Chiny z opanowania wyspy nie zrezygnują i USA najlepiej uczynią wzmacniając własny przemysł wysokich technologii (np. produkcję mikrochipów, czyli obwodów scalonych o ultra wysokim stopniu scalenia, czy mówiąc prościej, miniaturyzacji), w przyszłości zgadzając się na oddanie Tajwanu bez walki Chinom.

Wietnam i Indonezja doskonala swoją obronę w obrębie Morza Południowochińskiego. Indie umacniają swoją granicę z Chinami oraz wysyłają okręty na Morze Południowochińskie. Australia zacieśnia współpracę wojskową z USA. Australia, Zjednoczone Królestwo i USA zawiązały nowe porozumienie wojskowe (AUKUS), które uzupełnia już istniejące porozumienie między USA, Indiami, Japonią i Australią (QUAD). Wszystkie te inicjatywy są związane z szukaniem właściwej odpowiedzi na wzrost chińskiej potęgi, planującej coraz mocniej wpływać na świat.

Warto zauważyć, że Chiny są prawdziwym wyzwaniem dla rządzącej oligarchii. Jak to zgrabnie ujął Marek Chlebuś, *No to w końcu, może by dopuścić chińskich oligarchów do stołu, dając im udziały w Wielkiej Czwórce, jaskinie złota w Szwajcarii, i jeszcze dorzucić Tajwan oraz Morze Południowochińskie, skoro im tak na tym zależy? Cóż, problem jest taki, że oni nie są oligarchami, tylko mandarynami. Tworzą inny system władzy niż ten zachodni, obecnie czysto kleptokratyczny i brnący w pułapkę Midasa. Chińczykami kieruje nie chciwość, lecz bardziej ambicja i uraza. Wszelkie dary przyjmą chętnie, ale raczej bez poczucia wdzięczności. Nie odwzajemnią też ich, bo na wzajemność nie ma miejsca w relacjach z barbarzyńcami.*

*En bloc*, zachodni politolodzy, o finansistach nie mówiąc, zdają się nie rozumieć Chin. Nie mogą pojąć, że Chinom nie chodzi o dołączenie ich do zachodniego mechanizmu rozdziału bogactwa. Nie mogą też pojąć, że doskonale obcy im jest jakiś nowy okcydentalizm. Nie chcą u siebie Zachodu, bo i dlaczego mieliby go chcieć. Dziś na przykład obserwatorzy zachodni są zaskoczeni, że Xi Jinping zdaje się do nieuniknionego z ekonomicznych i społecznych względów spowolnienia gospodarczego wzrostu Chin dodawać przeszkody o podłożu ideologicznym i wzmacniać totalitarne elementy obowiązującego ustroju. Chce w swoich rękach skupić całą władzę, promuje rozwój firm państwowych i hamuje prywatną przedsiębiorczość.

Jednym ze źródeł kłopotów, jakie USA mają dziś z Chinami, jest fakt niczym nieograniczonego wciągnięcia Chin u schyłku poprzedniego wieku w wyścig technologiczny i handel światowy. Powodowany chciwością Zachód przyspieszał ich rozwój, choć mógł był przewidzieć, że będzie to miało ogromny wpływ na stosunki międzynarodowe w przyszłości.

Już w latach 1970-tych chińskie władze postawiły na naukę i świadomie wybrały drogę od bycia na dole tzw. łańcucha wartości do opanowania całości tego łańcucha w wybranych dziedzinach produkcji dóbr. Na początku Chiny zgadzały się być taną siłą roboczą wytwarzającą produkty proste albo uczestniczącą we wstępnych tylko etapach produkcji dóbr technologicznie bardziej złożonych, etapach zwykle szczególnie zanieczyszczających środowisko. Przemysłowcy z Zachodu woleli przenieść produkcję do Chin, tym sposobem unikając podwyżki kosztów ochrony pracowników i okolicy ich zakładów przemysłowych. Ale Chińczycy na tym nie poprzestali i znaleźli sposoby, by przenieść do siebie wytwarzanie również produktów końcowych.

Chińczycy mają na przykład złoża tzw. metali ziem rzadkich, znaczące złoża litu, nie mają kobaltu, ale opanowali rynek dostaw tego metalu (głównie z Demokratycznej Republiki Konga, skąd wydobywa się – zanieczyszczając środowisko – około 60% tego pierwiastka). Są to wszystko pierwiastki bez których mowy być nie może o „zielonej rewolucji”, czyli przejściu na odnawialne źródła energii czy samochody elektryczne, jak też o rozwoju przemysłu komputerowego czy telefonów komórkowych. I oto w 2018 roku Chiny zostały największym producentem urządzeń fotowoltaicznych. Wśród 10 producentów samochodów elektrycznych o największej wartości rynkowej – TESLA jest na miejscu pierwszym – trzech to producenci chińscy. To głównie Chińczycy produkują nowoczesne baterie oraz magnesy używające wspomniane metale. Bez tych baterii i magnesów (jest to kwestia ich miniaturyzacji przy zachowaniu siły działania) nie byłoby nowoczesnych telefonów komórkowych, samochodów elektrycznych, amerykańskich samolotów F-35, F-16, wcześniej

B-1, czy różnych także amerykańskich pocisków antybalistycznych.<sup>44</sup> Dziś Chińczycy są w czołówce tych, którzy potrzebne tu technologie produkcji rozwijają. W ostatnich latach Chiny mają rokrocznie najwięcej patentów (światowych) – około 500 000. I dziś Zachód wziął się za gonienie Chin w tych i innych obszarach produkcji.

Dzięki Niemcom nie udało się Chinom zmonopolizować produkcji tych urządzeń, np. obrabiarek, które wykorzystują inny ważny dziś metal – wolfram. Co ważniejsze, państwa najbardziej rozwinięte – zwłaszcza Stany Zjednoczone – cały czas zachowują przewagę technologiczną w wielu obszarach produkcji. Na przykład, Chiny nie byłyby największym producentem urządzeń fotowoltaicznych, gdyby nie importowały wystarczająco czystego krzemu do produkcji ogniw słonecznych. Ich udział w światowej produkcji takiego krzemu jest niemały, ponieważ sięga 1/3, ale to dla chińskich potrzeb za mało. I Chińczycy ani nie potrafią jeszcze wyprodukować krzemu ultra czystego, wymaganego do produkcji półprzewodników najnowszej generacji, ani szczególnie wyrafinowanych mikrochipów. Innymi słowy, jednym z filarów skądinąd niesłychanie dynamicznego chińskiego rozwoju ekonomicznego jest globalizacja – globalny charakter łańcuchów dostaw i stąd koprodukcji.<sup>45</sup>

Spoglądając na geopolityczny i geoeconomiczny ład pierwszych dwóch dekad tego wieku, nie sposób pominąć kwestię bilansu energetycznego mocarstw zachodnich oraz Chin. Oto rzut oka na – jak to się dziś nazywa – miks energetyczny wybranych państw Eurazji i USA:

Kraj	Węgiel	Ropa	Gaz	Atom	Woda	OZE
Chiny	57,7	19,7	7,8	2,2	8	4,6
Rosja	12,2	22	53,7	6,3	5,8	0
Niemcy	17,7	35,9	24,5	5,1	1,4	15,4
Francja	2,8	33	16,4	37,3	5,5	5,0
USA	12,2	39,7	32,7	8,1	2,6	4,7

Powyzsza tabelka podaje dane odnoszące się konsumpcji energii w roku 2019 w podziale procentowym uwzględniającym jej różne źródła (tabela zaczerpnięta z portalu *Our World in Data*, oparta na raporcie koncernu BP, „BP Statistical Review of World Energy”).

Wypada w tym miejscu nadmienić, że Chiny są co do wielkości zużycia ropy naftowej drugim państwem na świecie po USA (kraje te zużywały odpowiednio około 14 i 17 milionów baryłek dziennie w roku 2020), i że około 11% swojego zapotrzebowania na ten surowiec importują Chiny z Rosji. Gdy chodzi o gaz, obecnie około 5% zapotrzebowania chińskiego płynie z Rosji, ale 4 lutego 2022 roku Chińczycy podpisali porozumienie z Rosją, na mocy którego udział gazu rosyjskiego w chińskiej konsumpcji wzrośnie w ciągu dziesięciolecia do około 8% (do 48 miliardów metrów sześciennych rocznie). Porozumienie zakłada współpracę na polu rozwijania gospodarki niskoemisyjnej. Warto te szczegółowe

<sup>44</sup> Gdy o gospodarkę wymienionymi metalami chodzi, patrz np. Guillaume'a Pitrona "Wojna o metale rzadkie", oryginał 2018, po polsku 2019, po angielsku 2020.

<sup>45</sup> Patrz Peter Zeihan, „The End of the World Is Just the Beginning. Mapping the Collapse of Globalization”, HarperCollins 2022, część (Section) V.

informacje mieć na względzie – są dobrą ilustracją przemyślanej strategii Chin w Eurazji, w tym ostrożnym, ale geopolitycznie istotnym układaniu stosunków chińsko-rosyjskich.

### **Nielatwa przyszłość – po napaści Rosji na Ukrainę**

Pierwsze dekady obecnego wieku są dekadami geopolitycznego przełomu. Wspomnieliśmy już o rywalizacji między Chinami i USA. Z dala od nas tlą się konflikty regionalne, zmieniać się będą płynne alianse i powstawać konflikty między państwami aspirującymi do kontrolowania danego regionu – Bliskiego Wschodu, Azji Południowej, Afryki. Od początku tego wieku widać było po części wspólne starania Niemiec i Rosji o wpływy w państwach Międzymorza. Niemcy dążyły do takiego porozumienia z Rosją, które zmieni polityczny kształt Europy, między innymi włączając Ukrainę, a może i kraje bałtyckie – o Białorusi nie wspominając – w strefę buforową Rosji i wspólnie wasalizując Polskę. Rosja chciała i chce mieć wpływy na Bliskim Wschodzie. Obydwa te kraje stawiały na wyjście USA z Europy. Dwudziestego czwartego lutego 2022 Rosja napadła na Ukrainę, mając złudną nadzieję na błyskawiczne zwycięstwo. Gdyby Rosji udało się w wyniku blitzkriegu ustanowić na Ukrainie rząd sobie podporządkowany, Niemcy starałyby się – jak gdyby nigdy nic się nie stało – kontynuować współpracę z Rosją. Ale żadnego blitzkriegu nie było, Ukraina stawiała zacięty opór i tragiczna wojna trwa ukazując światu współczesne oblicze cywilizacji turańskiej w jej moskiewskim wydaniu (by użyć klasyfikacji prof. Feliksa Konecznego). Przewidywaniem losów tej wojny za naszą miedzą nie będziemy się zajmować.

Na pewno miał rację Robert Kaplan, reprezentant tzw. realizmu ofensywnego w polityce, gdy wieścił powrót do myślenia o Eurazji, o „Wyspie Świata”, czyli Eurazji i Afryce, i o całym świecie jako jednej, wielkiej geopolitycznej całości.<sup>46</sup> Oligarchia finansowa, która gra dziś pierwsze skrzypce albo i dyryguje oligarchią światową, będzie musiała oddać część władzy politykom. Cóż bowiem z tego, że władza pieniądza jest skupiona w niewielu podmiotach, pieniądz jest umowny i dzięki temu władza nad nim wydaje się nieomal nieograniczona, sieć przepływów finansowych ciągle jeszcze niezawodna, gdy przecież łańcuchami dostaw płyną fizyczne towary, a nie wirtualny pieniądz. A takie łańcuchy mogą się porwać na skutek takich czy innych okoliczności. I także polityk może mocą swoich decyzji porwać owe łańcuchy – co prawda, zapewne w porozumieniu z oligarchami.

Wydaje się, iż – między innymi za sprawą nieudanego blitzkriegu Rosji na Ukrainę – czas przyspieszył i ekonomiczna globalizacja dobiega kresu. Donald Trump wypowiedział Chinom wojnę handlową i zaczęły pękać łańcuchy dostaw. Równoległe przyszła pandemia covid-19, wymienione łańcuchy pękły, nadszedł głęboki kryzys gospodarczy oraz inflacja. Unia Europejska powitała trzecią dekadę XXI wieku głębokim kryzysem, z euro o nader niepewnej przyszłości. USA powitały tę dekadę głębokim kryzysem społecznym i instytucjonalnym, o którym piszę w rozdziałach 11 i 12, nad którym przeto tu nie będę się zatrzymywał.

Również Chiny pogrążyły się w kryzysie. Mają ogromny dług wewnętrzny i poważny kryzys finansowy. Koniec globalizacji oraz porwane łańcuchy dostaw będą dla nich zagrożeniem największym, ponieważ dramatycznie zmniejszą eksport surowców oraz dóbr wytwarzanych przez Chińczyków. Grożą im niepokoje społeczne. Ale też należy sądzić, że – jakkolwiek

---

<sup>46</sup> Patrz Robert D. Kaplan, „The Return of Marco Polo’s World and the U.S. Military Response”, <http://stories.cnas.org/the-return-of-marco-polos-world-and-the-u-s-military-response>

wolniej – potęga Chin będzie nadal rosła. Xi Jinping najpewniej pozostanie u władzy, postawi na samowystarczalność gospodarczą państwa, jednocześnie zwiększając chińskie wpływy w Azji i wybranych innych regionach świata.

Jak to już podkreślaliśmy, inwazja na Irak w marcu 2003 roku otworzyła okres wyjątkowo awanturniczej polityki międzynarodowej USA. Ten okres mamy już chyba za sobą. Gdyby Rosjanom udał się blitzkrieg mimo amerykańskiej cichej pomocy dla Ukrainy (co najmniej od roku 2014), Amerykanie zgodziliby się na utworzenie z Ukrainy strefy buforowej dla Rosji oraz tej Rosji dalszą niczym niezakłóconą współpracę z Niemcami. Amerykańska pomoc dla Ukrainy rosła i rośnie proporcjonalnie do sukcesów militarnych armii ukraińskiej oraz fatalnych błędów armii najeźdźczej. USA wróciły do lorda Hastingsa Lionela Ismaya hasła założycielskiego NATO: *Keep Russians out, Americans in and Germans down* („utrzymać Rosjan poza, Amerykanów wewnątrz, zaś Niemców w ryzach”) w sposób elastyczny, dostosowując stopień osłabienia Rosji do realiów z pola walki. Dopiero wczesną jesienią 2022 na tyle zaostrzyły stanowisko, że nie wykluczają przyczynienia się do całkowitej klęski Rosji. Grozi to wojną nawet z użyciem broni jądrowej, jej wylaniem się poza Ukrainę, ale daleko od USA. Dalszy bieg wojny jest wielką niewiadomą, tym bardziej niepokojącą, że ponoszone porażki mogą uczynić Putina nieobliczalnym. Putin zrozumiał chyba, że Rosja jest strukturalnie słaba i będzie słabła, z ciągle kurczącą się liczbą ludności.

Amerykański kryzys wewnętrzny, od dekad rosnący na świecie opór przeciw sprawowaniu przez Amerykę roli policjanta światowego – z której to roli, paradoksalnie, prawie cały świat korzystał, jako że ów policjant gwarantował pokój i funkcjonowanie gospodarki na skalę globalną – sprawiają, że USA muszą dokonać rewizji ładu światowego. Będąc potęgą militarną, można rzec, większą niż reszta świata razem wzięta, właśnie do tego przystąpiły – na wschodniej flance Europy, ale także będąc bardzo aktywnymi w strefie Pacyfiku (w tej chwili zawierając tam nowe porozumienia obronne i gospodarcze).

Rzadko się o tym myśli, ale kluczem do amerykańskiego sukcesu będzie właśnie koniec ery globalizacji. Stany Zjednoczone są najlepiej przygotowane na przejście w nową erę, czyli – mówiąc najkrócej – erę gospodarek regionalnych. A dokładniej, nie najlepiej, lecz – jak niewielki byłby to stopień przygotowania – jako jedyne państwo na świecie. Będzie to przejście bolesne i trudne dla USA, nie wiadomo jak będzie przebiegać, ale inni będą się mieli dużo albo dramatycznie gorzej. Amerykanie mają kraj ogromny, pełen cennych surowców, kraj o dobrym klimacie i rozwiniętym rolnictwie, mają dobrą sieć dróg wodnych, bazę przemysłową i techniczną. Dla przykładu – oddali Chinom produkcję nowoczesnych magnezów neodymowych, ale przecież mają złoża neodymu i z powodzeniem mogą rozwinąć produkcję takich magnezów. I najważniejsze – Amerykanie mają populację, której, inaczej niż wielu innym, nie grozi wymarcie. Wspólnie z Kanadą i Meksykiem, może przede wszystkim Meksykiem, USA stworzą – i po części już mają – spójny i potężny region gospodarczy. Chyba najlepiej opisał to, dając szczegółowe i dogłębne studium porównawcze z resztą świata, Peter Zeihan we wspomnianej już książce z czerwca 2022 roku.<sup>47</sup>

Zatrzymajmy się przez chwilę na wspomnianym wymieraniu populacji. Z tym że zamiast tę kwestię szerzej opisywać, pozwolę sobie zasugerować PT Czytelnikowi spojrzenie na

---

<sup>47</sup> Niektóre przewidywania Zeihana są nadmiernie katagoryczne, np. oczekiwany przez niego nieomal upadek Chin, ale opis kondycji różnych regionów i państw oparty jest na doskonałym i imponująco szerokim materiale „dowodowym”, i przeto jest godny dokładnego wczytania się oraz najczęściej jest nader przekonujący.

wykresy współczynnika dzietności w różnych krajach na przestrzeni ostatnich, powiedzmy, pięciu dekad. I dodam tylko tyle – Niemcy wymierają, Chińczycy mają się niewiele lepiej. To prawda, że także amerykańscy millenialsi – urodzeni w ostatnim ćwierćwieczu XX wieku – prawie nie mają dzieci, tak samo jak np. millenialsi z UE, ale Amerykanie dużo dłużej, bo jeszcze na przełomie XX i XXI wieku, mieli współczynnik dzietności przynajmniej zwykle lekko przekraczający 2. Współczynnik ten w Unii Europejskiej jako jednej całości spadł poniżej poziomu 2 już w roku 1978, by w 2020 wynieść 1,5 (W USA 1,6). Jest inną sprawą, że przewiduje się, iż biali Amerykanie będą w USA stanowić mniej niż 50% populacji od około roku 2050 (Latynosów będzie tylko dwa razy mniej niż białych). A zatem będą to inne Stany Zjednoczone, już nie „zachodnie”, między innymi z Teksasem i Kalifornią bardziej meksykańskimi niż amerykańskimi.

Jak to już odnotowałem, Amerykanie rozpoczęli porządkowanie swoich powiązań ze światem zewnętrznym – w Europie i na Dalekim Wschodzie. Mają na to wystarczający potencjał militarny i sprawczość gospodarczą. Obecna europejska flanka wschodnia, może nawet jeszcze przesunięta na wschód, ale raczej nie, pozostanie twardą i dobrze bronioną granicą obszaru euroatlantyckiego. Obszar ten zachowa jedność i spójność, ale w ograniczonym stopniu, zależnym od woli głównych graczy po tamtej i naszej stronie oceanu. Przez lata jeszcze Europa cieszyć się będzie amerykańskim parasolem obronnym pod flagą NATO, z czasem przejmując na siebie obowiązek obrony. Amerykanie, zajęci swoim kryzysem wewnętrznym, z czasem opuszczą Europę. Niewykluczone, że Unia Europejska w jej dzisiejszym kształcie przestanie istnieć. Niewykluczone, że powstaną lokalnie silniejsze związki między państwami danego podregionu europejskiego – podyktowane logiką rodzących się gospodarek lokalnych. Niemieckie być albo nie być będzie wymagało dominacji gospodarczej Niemiec przede wszystkim nad naszą częścią Europy.

Wojna na Ukrainie – poprzedzona pandemią covid-19 i stąd wynikłymi zawirowaniami geoeconomicznymi, przyjętymi przez kraje rozwinięte i rozwijające się politykami monetarnymi – sprzyja poprawie pozycji USA i dolara, a dokładniej wyjątkowemu umocnieniu się dolara. Waluta ta jest dziś, na jesieni 2022, jak się to nazywa, bezpieczną przystanią (ang. *safe haven*). Prowadzona przez Rosję wojna na Ukrainie oraz jej konsekwencje utrudnią Chinom rozbudowę lądowych szlaków Jednego Pasa i jednej Drogi (*Belt and Road Initiative*).

Wspominając o przecięciu łańcuchów dostaw powtórzmy na koniec, jak bardzo zależą one od bezpieczeństwa tych szlaków. Zwłaszcza szlaki morskie – a zatem morską część Jednego Pasa i Jednej Drogi – wymagają ich bezwzględnego bezpieczeństwa, a to ze względu na koszty i w ogóle opłacalność ubezpieczenia kontenerowców przewożących towary. A tego bezpieczeństwa Chiny swojemu szlakowi nie zapewnią jeszcze przez długi czas. I wszystko to wzmacnia przeświadczenie o końcu ery globalizacji, do której przywykliśmy w ostatnich dekadach. Jest inną sprawą, że nie wiadomo, jak będzie wyglądał świat nowej ery i jakie konflikty będą towarzyszyć jego powstawaniu.

### **PS o wpływie domu Morganów na prezydentów**

Jeszcze przed nastaniem ery postępowej z Morganami był związany prezydent Grover Cleveland (kadencje 1885 – 1889 i 1893 - 1897). John Pierpont Morgan zorganizował wsparcie finansistów dla Williama McKinleya (kadencja 1897 – 1901). Największy z prezydentów ery postępowej, Theodore Roosevelt (1901 – 1909), owocnie współpracował – choć ich cele wydawały się stać na antypodach – z samym J. P. Morganem. Ci dwaj tytani – jeden wielkiej polityki, drugi finansów – mieli wiele wspólnego. Pochodzili z tej samej

warstwy społecznej, łączył ich wiktoriański moralizm, ambicja przewodzenia krajowi oraz poczucie misji – chcieli zaprowadzenia w kraju ładu i dobrobytu. Postępowy prezydent, w zasadzie przeciwny trustom, w praktyce nie przeszkadzał wielkiemu finansistom rozbudowywać jego trusty – dla dobrobytu wszystkich i fortuny finansisty (za prezydentury Theodore’a Roosevelta przywrócona została do życia antytrustowa ustawa Shermana, ale została głównie skierowana przeciw Rockefellera Standard Oil Company i liniom kolejowym Edwarda Henry’ego Harrimana – konkurenta J. P. Morgana). Woodrow Wilson (1913 – 1921) został prezydentem tylko dlatego, że Morganowie postanowili uniemożliwić Williamowi Howardowi Taftowi (1909 – 1913) – który zerwał z Theodorem Rooseveltem i stał się człowiekiem Rockefellera – ponowny wybór na prezydenta w wyborach w 1912 roku.



## 8. Szaleństwo czy metoda, czyli o zachodnich programach kontroli urodzeń<sup>48</sup>

Jest to spojrzenie bardzo nietypowe – za punkt wyjścia bierze konkret zdarzeń jednego tylko rodzaju, zaledwie ich wybiórcze kalendarium sięgające pierwszej połowy XIX wieku, by na tym tle spróbować ocenić pewne elementy polityki społecznej Zjednoczonego Królestwa, wspomnieć o moralnym upadku Zachodu oraz zrozumieć pewien element amerykańskiej polityki zagranicznej w drugiej połowie wieku dwudziestego.

### **Szaleństwo ...**

Rok 1834 – Poprawka do ustawy o ubogich albo krócej nowa ustawa o ubogich (*Poor Law Amendment Act* albo *New Poor Law*), która znosiła obowiązywanie ustawy o ubogich z 1601 roku, była zorientowana na minimalizację kosztów pomocy społecznej. Ustawa dała prawo do korzystania w Anglii i Walii (a potem w Szkocji) z państwowej pomocy dla ubogich prawie wyłącznie osobom zamieszkałym i pracującym w tzw. domach pracy. Pobyt i praca w tych domach miały być na tyle dojmujące, by zgodziły się w nich żyć jedynie osoby wyjątkowo bezradne, biedne i doświadczone przez los. Prawo dopuszczało rozdzielanie małżeństw mieszkających w domach pracy. Dalekosiężny cel był oczywisty – miał zredukować do minimum licznosc populacji osób „społecznie nieprzystosowanych” oraz biedoty (jak to dalej wyjaśnimy, był to cel wynikły z diagnoz przedstawionych przez Thomasa Malthusa, można zatem rzec, że cel w ścisłym sensie maltuzjański). Kto nie potrafił utrzymać siebie i swojej rodziny, a nie zgadzał się na warunki państwowej pomocy, mógł np. wyemigrować z kraju.

Rok 1846 – Głód w Irlandii, któremu Zjednoczone Królestwo mogło zaradzić, ale tego nie zrobiło, i który pochłonął ponad milion ofiar (zagłodzonych lub zmarłych w wyniku niedożywienia i chorób).

Lata 1876-1879 – głód w wielu częściach Indii, skutkiem nieskorzystania przez Imperium z możliwości zaradzenia mu, pochłonął między 6 a 10 milionami osób (dzienna dawka kalorii w „obozach pomocy”, do których kierowano rodziny chłopskie uciekające przed głodem do miast, wynosiła 1630 kalorii; dla porównania, w Buchenwaldzie w latach 1944-45 dzienna dawka wynosiła 1750 kalorii); podobny głód w latach 1896-1902 przyniósł 19 milionów ofiar.

Okolo roku 1950 (okres amerykańskiej okupacji Japonii) – pod naporem urzędników USA rząd Japonii przyjmuje program kontroli urodzeń, jak sam głosi ze względu na przeludnienie Japonii oraz konieczność zredukowania liczby urodzeń. Okolo roku 1955 jest w Japonii 30% do 50% więcej aborcji niż narodzin żywych dzieci.

Początek lat 1950-tych – prywatne organizacje amerykańskie zaczynają rozwijać programy kontroli urodzeń także poza USA; w połowie lat 1960-tych w programy te włącza się państwo, by objąć nimi Trzeci Świat (Afrykę i Azję). Najpierw powstaje Conservation

---

<sup>48</sup> Pierwotna wersja tego rozdziału ukazała się na stronach portalu „Teologii Politycznej” 15 maja 2018 r. Tamże można znaleźć odesłania do internetowych źródeł danych tu przytaczanych; patrz też Robert Zubrin, „Merchants of Despair”, 2012.

Foundation Henry'ego Fairfielda Osborna, w 1952 przekształcona przez niego, Fredericka Osborna oraz Johna D. Rockefellera III w *Population Council*; finansowanie pochodzi m.in. z Fundacji Rockefellera oraz Fundacji *Old Dominion* (po połączeniu z *Avalon Foundation* przemianowanej na Fundację Mellona). *Population Council* współpracuje ze stworzoną przez Margaret Sanger organizacją Planowane Rodzicielstwo, czyli *Planned Parenthood Federation of America*. Całe to środowisko miało dużą część wspólną z amerykańskim ruchem eugenicznym jeszcze z przełomu lat 1920-tych i 1930-tych. Ojciec Johna D. Rockefellera III współzakładał ten ruch w USA m.in. z Margaret Sanger oraz Frederickiem Osbornem, który był także członkiem Brytyjskiego Towarzystwa Eugenicznego. Frederick Osborn był w latach 1946 – 1952 prezydentem współzakładanego przez niego Amerykańskiego Towarzystwa Eugenicznego (*American Eugenics Society*, dalej AES). *Nota bene*, w latach 1950-tych i 1960-tych prominentnym członkiem AES był dr Otmarr Friesch von Ferscher, chociaż był Niemcem i do śmierci w 1969 profesował w Niemczech – w 1935 został dyrektorem Instytutu Biologii Dziedziczenia i Higieny Rasowej na Uniwersytecie we Frankfurcie nad Menem, zaś w czasie II wojny światowej kierował swoich młodszych kolegów, w tym Josefa Mengele, do pracy badawczej w Auschwitz. W latach 1927-1939 instytut Ferschera był współfinansowany przez Fundację Rockefellera.

Połowa lat 1960-tych – ruszają wielkie programy kontroli urodzeń, które pochłoną miliardy dolarów, polegające głównie na sterylizacji kobiet albo umieszczaniu wkładek domacicznych (IUD), koordynowane lub finansowane przez: *U.S. Agency for International Development* (USAID), *U.N. Fund for Population Activities* (UNFPA), Bank Światowy, organizacje pozarządowe (NGO), *International Planned Parenthood Federation* (IPPF) oraz *Population Council*. W pierwszych dekadach działania, programy te nie tylko stały gwałtem na osobach, ale także były realizowane w sposób urągający wszelkim zasadom higieny (zwłaszcza w Afryce). Dziś programy te mają bardziej „cywilizowany” charakter, np. mocny akcent jest położony na „edukację seksualną” młodzieży – w odniesieniu do Afryki można czytać o takich planach na przyszłość: „Londyński szczyt nt. planowania rodziny [z roku 2012 – przyp. jk] postawił sobie za cel udostępnienie do 2020 roku nowoczesnych środków antykoncepcyjnych dla kolejnych 120 milionów kobiet z 69 najbiedniejszych krajów świata. Szczyt chce wyeliminować dyskryminację lub naciski, które dotyczą dziewczęta poszukujące takich środków”.<sup>49</sup>

Trudniej znaleźć informację, że zastosowana w Afryce Subsaharyjskiej metoda „kontroli urodzeń”, w tym przypadku antykoncepcji, stała się głównym winowajcą potwornej epidemii zarażeń wirusem HIV na przełomie wieków XX i XXI. Głównie stosowano tam zastrzyki antykoncepcyjne Depo-Provera, najczęściej brudnym sprzętem (bez sterylizacji igieł i strzykawek; przy tym, zastrzyki muszą być powtarzane co 3 miesiące, tym sposobem zwiększając szansę zarażenia się wirusem). Podczas gdy w innych częściach globu kobiety są wyraźną mniejszością wśród osób zarażonych wirusem HIV, w Afryce Subsaharyjskiej zarażonych jest więcej kobiet niż mężczyzn (badania pokazały, że przyczyną nie jest rzekoma rozwiązłość tamtejszej płci pięknej).

Rok 1966 – Indiom grozi głód. W styczniu premier Indira Ghandi prosi prezydenta Lyndona Johnsona o udzielenie przez USA pomocy żywnościowej Indiom (m.in. 20 milionów ton zboża). Warunkiem udzielenia pomocy staje się zgoda na uruchomienie przez Indie wielkiego programu sterylizacji i antykoncepcji (na mniejszą skalę kontrola urodzeń miała w Indiach

---

<sup>49</sup> Patrz [https://en.wikipedia.org/wiki/Birth\\_control\\_in\\_Africa](https://en.wikipedia.org/wiki/Birth_control_in_Africa)

miejsce od 1951 roku). Premier Ghandi ustępuje w marcu; każdy stan otrzymuje wymagane liczby przeprowadzanych sterylizacji i umieszczanych wkładek domacicznych. W pierwszym roku masowych sterylizacji wykonano ich 887 000 (łącznie wazektomii i tubektomii), w następnym już 1,8 miliona; w roku 1972-1973 osiągnięto poziom ok. 3 milionów sterylizacji rocznie. Do sterylizacji zachęcano płacąc sterylizowanej lub sterylizowanemu niewielką sumę za zgodę na zabieg.

Rok 1968 – wielki rzecznik kontroli urodzeń w Trzecim Świecie, Robert McNamara rezygnuje z posady sekretarza obrony USA i zostaje prezesem Banku Światowego. Od tej chwili pomoc Banku Światowego dla krajów rozwijających się zostaje ściśle uzależniona od zgody ich rządów na wprowadzenie w tych krajach programów kontroli urodzeń – warunkiem udzielenia pomocy staje się wykonanie narzuconych przez ekspertów Banku liczb sterylizacji, wprowadzonych wkładek domacicznych itd.

Rok 1975 i później – na początku lat 1970-tych Indie na powrót osiągnęły samowystarczalność na polu produkcji żywności. Krach na rynku ropy (1973) zaprowadził ekonomię Indii na skraj bankructwa. Bank Światowy wymusił na Indiach wprowadzenie praktycznie przymusowej sterylizacji – całe wsie były wypędzane z domów, domy burzone, a ich mieszkańcy kierowani do obozów przymusowej sterylizacji; kto się nie wysterylizował, nie mógł zbudować sobie domu, czy otrzymać licencji na prowadzenie rykszy. W 1976 roku wysterylizowano 8 milionów osób. B.N. Saxena z *Indian Council of Medical Research* oszacował, że od początku wprowadzenia programów kontroli urodzeń do roku 1996 zapobieżono w Indiach urodzeniu się około 168 milionów dzieci.

Jak wynika z powyższego, programy kontroli urodzeń, zwane też planowaniem rodziny, zawsze obejmujące antykoncepcję i aborcję, najczęściej także sterylizację, w krajach Trzeciego Świata nierzadko przymusowe, zaczęły być stosowane na masową skalę w latach 1970-tych, z udziałem lub pod dyktando agend ONZ, rządu amerykańskiego, Banku Światowego oraz organizacji i fundacji prywatnych.

W 2017 roku zawitała do Zjednoczonego Królestwa – w cywilizowanej formie – polityka dwójki dzieci na rodzinę. Znacznie wcześniej była przyjmowana w krajach rozwijających się, w tym w wielu stanach Indii. Zbrodniczą i wręcz nieludzką formę przyjęła w Chinach – w latach 1979-2014 w formie zaostrej, bo zezwalającej rodzinie na posiadanie tylko jednego dziecka. Kolejne dziecko było przemocą – wszystko jedno w którym miesiącu ciąży – usuwane z łona matki.

W roku 1983 chiński szef tego przemysłu śmierci, generał major Qian Xinzhong, został uhonorowany przyznaną wówczas po raz pierwszy przez agendę ONZ o nazwie *United Nations Population Fund* (UNFPA) nagrodą o nazwie *United Nations Population Award* (taką samą nagrodę odebrała w tym samym roku Indira Ghandi). W owym roku w Chinach poddano przymusowej sterylizacji 16 milionów kobiet, 4 miliony mężczyzn, zamordowano 14 milionów nienarodzonych dzieci oraz 18 milionom kobiet włożono wkładki IUD.

W roku 1991 sukcesów na polu „planowania rodziny i kontroli wzrostu populacji” gratulowała władzom chińskim dyrektor UNFPA, Nafis Sadik. Zgodnie z jej obietnicą, programy podobne do chińskiego trafiły do innych krajów, m.in. Wietnamu. Można przypuszczać, że chiński program dotknął do 1991 roku około 300 milionów osób.

Lata 1980-2016, kilka liczb dotyczących aborcji – Znane szacunki liczby aborcji na świecie każą ocenić ich ogólną liczbę przez te lata na przynajmniej 1,5 miliarda zabitych nienarodzonych dzieci. W samych Stanach Zjednoczonych, od dopuszczenia aborcji praktycznie na życzenie, czyli od roku 1973, zabito ponad 60 milionów nienarodzonych dzieci. W ciągu pięciolecia 1990-1994 w krajach rozwiniętych dokonano 11,8 mln aborcji, zaś w pięcioleciu 2010-2014, wyraźnie mniej – 6,6 mln. W tych samych pięcioleciach w krajach rozwijających się dokonano, odpowiednio, 38,4 mln aborcji i później istotnie więcej – 49,3 mln. Wybitny myśliciel o. James V. Schall SJ podsumował kilka lat temu ten stan rzeczy w taki sposób: zgoła rozsądną i wiele mówiącą o naszej moralnej kondycji odpowiedzią na pytanie „dlaczego żyjesz” jest stwierdzenie „ponieważ nie zostałem zabity przed narodzeniem”.

### ... czy metoda?

Zachodnie przyzwolenie, jeśli nie zachęta, do zabijania nienarodzonych dzieci, przywołane zdarzenia z najnowszej historii Zachodu i świata od niego zależnego wymagają pochylenia się nad źródłami takiej właśnie polityki zachodnich mocarstw. Odpowiedzi wcale nie są proste, w różnych przypadkach źródła owej polityki bywają częściowo przynajmniej różne i ich moralna ocena też nie jest taka sama.

Nie wymaga dyskusji fundamentalne zło aborcji i doskonale znane są źródła moralnej degeneracji Zachodu, która sprawiła, że na prawie całym Zachodzie młody człowiek może na pytanie „dlaczego żyjesz” odpowiedzieć: żyję, „ponieważ nie zostałem zabity przed narodzeniem”; nie został zabity na wojnie człowieka epoki pochrześcijańskiej z innym, jeszcze nienarodzonym człowiekiem, postrzeganym jako niepotrzebne zakłócenie życia matki lub ojca, albo jako dziecko być może niespełniające ich wymagań dotyczących jego zdrowia.

Przełom wieku XVIII i XIX przynosi Anglii rewolucyjną zmianę polityki społecznej wobec biedoty. Zdaniem wielu, dotychczasowy konserwatywny, torysowski paternalizm zostaje uznany za zdecydowanie wadliwy. Zbyt łatwo można otrzymać zasiłek i zbyt łatwo można na nim pozostać, kreując kolejne pokolenia osób trwale nie podejmujących pracy.

Filozof Jeremy Bentham (1748 – 1832) uważał, że niezbędne jest istnienie państwowego systemu pomocy społecznej, by uniknąć buntów i politycznej destabilizacji państwa. Jednocześnie miał to być system obejmujący tylko najbardziej potrzebujących, skoszarowanych w „domach pracy” i zobowiązanych do pracy w wyznaczonym zakładzie. Pomoc miała ledwie wystarczać na życie i wyżywienie – stawa może być bogatsza niż tylko ziemniaki, ale napitkiem może być tylko woda. Radykalny w swoich poglądach, widział też sposób na uczynienie dzieci ekonomicznym dobrem, obniżającym koszt świadczenia pomocy społecznej. Był mianowicie za obowiązkiem pracy nieletnich w tych samych zakładach, w których pracują rodzice. Przywiązanie dziecka do miejsca pracy miało nastąpić automatycznie, z chwilą jego narodzin. Bentham był zatem przeciwny nakładaniu jakichkolwiek ograniczeń na prawo do zawierania małżeństw przez mieszkańców domów pracy.

Utylitaryzm Benthama był w istocie radykalny, ale wcale nie tak bardzo, jak to się dziś może wydawać. W owym czasie Anglia była krajem rolniczym, potęgą handlową i finansową. Specyfikę przemysłu rozumieli inżynierowie wynalazcy, zresztą początkowo pogardzani bardziej niż Stanisław Wokulski z „Lalki” Bolesława Prusa, poza nimi sami przemysłowcy i nikt inny. Jak to przypomniał Paul Johnson w „Historii Anglików”, patriarcha rodu Rothschildów powiedział kiedyś, że najłatwiej stracić pieniądze przez kobiety, hazard i

inżynierów. Świat finansów nie był zainteresowany wspomaganie rozwoju przemysłu. Poza bezpośrednio zaangażowanymi nikt nie miał pojęcia o trudach pracy w fabryce, o skali wyzysku pracujących, jak też i o tym – ekonomistów nie wyłączając – że niższe płace implikują mniejszy popyt i przeto kulenie gospodarki, na przykład, gdy z tych czy innych przyczyn ulegał zmniejszeniu eksport towarów wyprodukowanych w Anglii. Przez pierwsze dekady rewolucji przemysłowej, gdy jej dźwignią był przemysł bawełniany, płace były utrzymywane na bardzo niskim poziomie, zarówno za sprawą zatrudniania głównie kobiet i dzieci, jak i niezrozumienia praw ekonomii przez samych przemysłowców oraz ... ekonomistów. Przemysłowcy byli przekonani, że podwyższone płace jedynie rozleniwia robotników, ekonomiści w ogóle nie zastanawiali się nad tym, iż zbyt niskie zarobki przynoszą brak popytu wewnętrznego. Gdy więc np. spadał eksport, trzeba było zamknąć fabryki. Właściciel czekał na powrót koniunktury, robotnicy szli na bruk i głodowali. Rzecz jasna, niskie zarobki ani nie sprzyjały poszukiwaniu i wprowadzaniu innowacji technologicznych, ani poprawianiu sposobów organizacji produkcji. Państwo okazało się niezdolne do zaplanowania i zorganizowania możliwie spójnego i przemyślanego rozwoju przemysłowego, który nie tylko przeciwdziałałby nędzy i bezrobociu, ale też wprowadzał ład w to co i gdzie warto produkować. Anglicy mieli dobrze zorganizowane rolnictwo, ale nie umieli wprowadzić polityki przemysłowej. Jak to opisał Paul Johnson, a my nie mamy tu miejsca, by powtarzać jego analizę, państwo i władze lokalne okazały się zupełnie bezradne wobec nowych wyzwań, przed jakimi stały. Działania państwa były doraźne, jak choćby próby minimalizacji kosztów pomocy najuboższym.

Ekonomista, pastor Thomas Malthus (1766 – 1834), patrzył na pomoc społeczną podobnie do Benthama z jedną fundamentalnie ważną różnicą. Malthus uważał, że ilość żywności rośnie w postępie arytmetycznym (liniowo), zaś liczebność populacji – jeśli jakoś nie jest okiełznana – rośnie nieporównanie szybciej, bo w postępie geometrycznym (wykładniczo). Innymi słowy, skutkiem przeludnienia, nieuniknione są okresy głodu całej populacji i śmierć głodowa wielu. I jakkolwiek w owym czasie przyrost ludności na Wyspie był rzeczywiście mniej więcej wykładniczy, to model Malthusa był zbyt uproszczony, by był poprawny. Był po prostu fałszywy. Tym niemniej, przez długie dekady model ten traktowano jako absolutnie słuszny. A to – między innymi – pozwoliło Anglikom patrzeć na głód w Irlandii w latach 1845 – 1849 jak na nieunikniony, wynikły z „prawa Malthusa”, dopust Boży. Zbyt szybko się Irlandczycy rozmnożyli i tak wpadli w okres głodu. Nie było ważne, że głód był wynikiem zarazy, jaka dotknęła uprawy ziemniaków, a prawie wyłącznie nimi się Irlandczycy odżywiali. I nie było ważne, że nie było ich stać na zastąpienie ziemniaków zbożem, wyrobami mlecznymi, czy mięsem, które także w owych latach głodu eksportowali.

W odniesieniu do pomocy społecznej w Anglii, Malthus, jako człowiek religijny i moralny, zalecał odpowiedzialne rodzicielstwo, w szczególności niezawieranie małżeństwa, jeśli nie ma się środków na utrzymanie dzieci. Posiadanie dzieci przez zbyt na to ubogie małżeństwa uważał za grzech. Jednocześnie nie widział możliwości ograniczenia czyjegokolwiek prawa do zawarcia małżeństwa. I jakkolwiek grzechem była antykoncepcja, to niechętnie na nią przystawał w przypadku wolnych związków. Jako człowiek surowy, Malthus zalecał karanie rodzin, którym mimo braku środków do życia rodzą się dzieci, np. przez odmowę zasiłku dla takich dzieci. Jako człowiek sprawiedliwy, zalecał też nagradzanie biednych, którzy powstrzymywali się przed posiadaniem potomstwa, np. przez niezawieranie małżeństwa zbyt wcześnie.

Podsumowując, gdy mowa o reformie prawa o ubogich z 1834 r., to przecież była ona wynikiem namysłu nad tym, jak ograniczyć rosnące koszty pomocy najbiedniejszym w

państwie, które okazało się bezradne wobec wyzwań stwarzanych przez rewolucję przemysłową. Zaś sama idea zorganizowanej pomocy ubogim miała w Zjednoczonym Królestwie wielowiekową już historię! Z kolei angielska reakcja na głód w Irlandii była prostą konsekwencją maltuzjanizmu, który tym łatwiej panował, że i sama Anglia miała swoje problemy z głodem wśród jej biedoty.

Przechodząc do XX-wiecznych programów „kontroli urodzeń” i pomijając zbrodnie antykoncepcyjnego biznesu dokonywane z prostej chciwości oraz będące skutkiem traktowania czarnoskórych jak podludzi, trzeba sobie zadać następujące pytanie. Czy amerykańskie programy kontroli urodzeń w Trzecim Świecie nie były cichą wojną z narodami o obcych nam (i po części według zachodnich standardów niehumanitarnych) kulturach, których to narodów liczebność rosła w zastraszającym tempie, grożąc Zachodowi zalewem imigrantami, niepokojami społecznymi i może nawet potężnym załamaniem ekonomicznym? Zachodowi, którego ośrodki opiniotwórcze akurat w owym czasie tworzyły dla świata – obojętne, ucziwie, czy nie – ponure, maltuzjańskie wizje głodu skutkiem przeludnienia oraz wyczerpywania się zasobów naturalnych Ziemi.

Ale jeśli wojna, to przecież prowadzona przeciw ludności cywilnej i do tego wojna prewencyjna. Nie może być to wojna sprawiedliwa według Cycerona, św. Augustyna z Hippony, św. Tomasza z Akwinu, czy Pawła Włodkowica. Z tym, że kogo z możliwych tego świata obchodzi dziś, czego nauczali tamci myśliciele? W najlepszym razie potrafią powołać się na angielski utilitaryzm, czy późniejszy amerykański (postępowy, zwany liberalnym) pragmatyzm. Za każdym razem skierowany przeciw prawom boskim i ludzkim, i bez żadnego innego celu niż zachowanie panowania nad światem. W drugiej połowie XX wieku wojna Ameryki o zachowanie roli *imperium mundi* przyjęła kilka form i nazwała jedną z nich kontrolą urodzeń.

Święty Augustyn miał rację, gdy pisał o nieskończonej przepaści oddzielającej państwo Boże od ziemskiego, tak jak miał rację św. Tomasz wskazując, iż zadaniem człowieka jest starać się tę przepaść zasypywać środkami politycznymi, pamiętając jednocześnie, iż to zasypywanie nie jest możliwe. Pamiętamy również, że świat zgodził się z Niccolò Machiavellim, iż polityka rozgrywa się w świecie amoralnym. Machiavelli radził się z tym pogodzić, byle działając w obronie republiki, a nie dla własnego zysku. I pisał, co potem tak ujął Carl von Clausewitz: *Wojna jest niczym innym, jak dalszym ciągiem polityki przy użyciu innych środków.*

Niewykluczone, że 50 lat temu Robert McNamara uważał się za makiawelistę i przeraziłby się widząc dzisiejszy Zachód (McNamara zmarł w 2009 roku w wieku 93 lat). Być może prowadził swoją brudną wojnę w imię ratowania zachodniej „republiki”. Ale gdzie widział tę republikę owe 50 lat temu, czy widział ją w USA, które w 1973 roku zalegalizowały masowe zabijanie nienarodzonych dzieci? Może więc chodziło tylko o zyski możliwych tego świata?

## **Podglądanie USA**

## 9.

### Amerykański republikanizm i amerykańska demokracja<sup>50</sup>

#### Okres republikański

Imigranci nie przyjeżdżali za ocean, by budować demokrację, tym mniej liberalizm. Pierwsi – purytanie, prezbiterianie – i później kwakrzy chcieli pozbyć się resztek rzekomego papizmu wśród anglikanów, powrotu do chrześcijaństwa pierwszych wieków, gdy tymczasem ożywiali ducha dawnych schizm. Także imigrantom anglikańskim (kościół episkopalny w Ameryce) nie w głowie były ustrojowe eksperymenty. Żywy był wśród nich duch arystokratyczny (jak nie byłby świeży, jeśli nie nowobogacki, ale też w elicie często stoicki). Powstałe kolonie charakteryzowały różne obyczajowości, różne modele gospodarki i wspólnotowego życia. Łączył je swoisty paternalizm ustrojowy (m.in. elitę polityczną tworzyły rodziny, nie regularne wybory na stanowiska publiczne). Późniejsi imigranci, głównie ci spoza Królestwa, ratowali się przed głodem, chcieli życia we wspólnotach przednowożytnych, ale w wolności tych wspólnot. Niezwykłym fenomenem był rok debaty ratyfikacyjnej, która ogarnęła szokująco duży segment społeczeństwa - obywateli, którzy jakby przyznali sobie prawo przynależenia do ziemiaństwa (*landed gentry*). To cały czas był okres republikański, gdzie punktem wyjścia jest dobro ogółu – inaczej niż w demokracji, w której punktem wyjścia jest dobro jednostki – oraz władza wykonywana przez reprezentację wyłonioną przez obywateli z odpowiednim cenzusem na podstawie szczególnych zasług i cnót najlepszych obywateli z tej warstwy.

Oczywiście literatura obfituje w porównania i przeciwstawianie sobie rewolucji amerykańskiej i francuskiej. Najczęściej jednak autorzy pomijają różnicę fundamentalną, tę mianowicie, że rewolucja amerykańska była nie tyle rewolucją, co działaniem na rzecz zapobieżenia rewolucji. Albo inaczej, była rewolucją w sensie ścisłym (jak w innym kontekście pisała o pojęciu rewolucji Chantal Delsol; por. rozdz. 6), czyli była działaniem na rzecz powrotu do wcześniej ustalonego i utrwalonego ładu. Była mianowicie buntem przeciw królowi i parlamentowi, którzy według kolonistów dokonali zamachu na przywileje nadane im przez prawo i tradycję, przez starą konstytucję angielską.

Nawet pobieżne spojrzenie na republikanizm amerykański wymaga przynajmniej rzucenia okiem Konwencję Konstytucyjną z 1787 roku. Ojcowie Założyciele w ogromnej większości odrzucali myśl o utworzeniu konstytucyjnej monarchii. Spierali się o zakres władzy federalnej – czy Ameryka ma być konfederacją stanów; czy raczej federacją państw suwerennych ale z rządem federalnym z władczymi choć ograniczonymi i jasno wyartykułowanymi kompetencjami wobec władz stanów; czy wreszcie państwem o silnej i scentralizowanej władzy. Nie było tylko sporu o jedno – ustrój Stanów Zjednoczonych miał być republikański, jakkolwiek w tym przypadku jasne było to tylko, że Stany Zjednoczone nie mają mieć ani monarchii, ani demokracji. Ojcowie Założyciele byli często doskonale wykształceni, znali pisma mistrzów starożytnych, Locke’a, wicehrabiego Bollingbroke’a, Hume’a, sir Williama Blackstone’a, Monteskiusza, i z tych źródeł czerpali debatując nad właściwym dla Ameryki

---

<sup>50</sup> Pierwotna wersja tego rozdziału ukazała się na stronach portalu „Teologii Politycznej” 12 listopada 2021. Fragmenty dotyczące okresu debaty konstytucyjnej oraz ustroju politycznego wczesnej republiki zapożyczyłem z mojego artykułu pt. „Wybory prezydenckie w USA”, *Arcana* 122 (2/2015) oraz rozdz. 21 zbioru pt. „Amerykański konserwatyzm na progu XXI wieku”.



kształtem republiki.<sup>51</sup> Doskonale rozumieli, jak trudno jest zapewnić niewielkiej republice trwałą pomyślność, a co dopiero jak ukształtować dobrą i stabilną republikańską władzę na obszarze tak wielkim jak obszar ówczesnej Ameryki. I dopracowali się swojej własnej wersji systemu równowagi i wzajemnej kontroli władzy ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej (*checks and balances*).

Opracowanie przez Ojców Założycieli Konstytucji i jej przyjęcie przez stany – a pokazują to aż nadto jasno debaty w czasie Konwencji Konstytucyjnej i potem obejmującej wszystkie stany debaty ratyfikacyjnej – były nieomal cudem. Patrioci, którzy ogłosili niezależność Stanów Zjednoczonych od korony brytyjskiej w roku 1776 i którzy w dobie Konwencji stali się federalistami, wiedzieli, że chcą władzy, która będzie stać na straży życia, wolności i własności obywateli. Nieomal wszyscy uznawali, że najlepiej można taki cel osiągnąć przyjmując ustrój republikański. Jaka treść miała się kryć za hasłem republikanizmu jasne już nie było. Biegli w historii starożytnej Grecji i Rzymu, Anglii do czasów im współczesnych, nie znajdowali ustroju, który chcieliby powielić. Szukając właściwej definicji dla pojęcia republiki, zdesperowany Madison pisał w *Federaliście*, że za republiki uznawano Holandię, Wenecję i Polskę, ale za każdym razem nietrafnie, jakkolwiek z różnych przyczyn (nie miał racji, ale to inna sprawa). Zgodni byli wszyscy tylko co do jednego – że wspomniany cel należy osiągnąć wprowadzając ustrój, w którym wielu, choć oczywiście dalece nie wszyscy, będą wybierać niewielu, najlepszych i najmądrzejszych z nich, by ci najlepsi i najmądrzejsi mogli rządzić dla dobra ogółu. Pozostawało pytanie, jak tę ideę ucieleśnić w instytucjach politycznych.

Co więcej, chociaż w stanach panował sprzeciw wobec monarchii, niejeden nie widział lepszego rozwiązania niż właśnie monarchia, tyle że w przeciwieństwie do absolutnej, ograniczona. Wiele lat po śmierci delegata na Konwencję Nathaniela Gorhama, James Monroe zdradził, że w roku 1786 Gorham, wówczas prezydent Kongresu Kontynentalnego, wysłał do Henryka Pruskiego pytanie, czy zgodziłby się objąć władzę monarszą nad Ameryką, gdyby wolne instytucje amerykańskie nie zdołały zapewnić krajowi niepodległości. W czasie Konwencji, Nicholas Gilman, delegat z New Hampshire, pisał do brata, że wielu delegatów jest za monarchią. W zapiskach George'a Masona można znaleźć wzmiankę, że w prywatnej rozmowie gubernator Morris stwierdzał, iż Ameryka będzie musiała stać się monarchią wcześniej lub później, przy czym im wcześniej, tym lepiej. John Adams mówił nieraz o republice monarchistycznej lub monarchii republikańskiej. Inny delegat twierdził, że widział listę ponad 20 monarchistów wśród delegatów na Konwencję. I także James Madison, zniechęcony nadużywaniem demokratycznych procedur przez wiele stanów – sprzecznym z ładem republikańskim – uznawał, że do zapobieżenia nadmiarowi demokracji przydałaby się silna centralna władza wykonawcza, a taką może dać tylko monarchia (jeśli odrzucić tyranie).

Najbardziej klarowne stanowisko zajął na Konwencji Alexander Hamilton. Podkreślił swoje umiłowanie wolności i gotowość poniesienia dla jej obrony ofiary z życia, jednocześnie wyrażając poważną wątpliwość, czy republikańska forma rządów jest adekwatna dla tej obrony. Wyrzucił swój podziw dla brytyjskiej formy rządów i zarazem wątpliwość, czy jakkolwiek inna forma rządów będzie dla Ameryki dobra. Dodał wszelako, że będąc świadomym sprzeciwu ogółu Amerykanów wobec monarchii jest za budową ustroju na tyle stabilnego i trwałego, na ile jest to możliwe w ramach ładu republikańskiego. Proponował, by kadencja prezydenta i członków jednej z izb Kongresu była dożywotnia, zaś kadencja

---

<sup>51</sup> *Nota bene*, gdy w swoich przemówieniach cytowali takich autorów, unikali przywoływania nazwiska cytowanego autorytetu, by nie popełnić nietaktu wobec słuchaczy.

członków drugiej izby była trzyletnia. Delegaci nie przyjęli żadnej z tych propozycji. Można uznać, iż ostatecznie uchwalona Konstytucja zawierała pewien szątkowy element monarchii elekcyjnej w instytucji prezydenta. I na pewno ustaliła arystokratyczny charakter Senatu (obalony siedemnastą poprawką z roku 1913) oraz demokratyczny Izby Reprezentantów.

Zwyciężyło stanowisko większości i przede wszystkim Waszyngtona, który od lat opowiadał się za republiką bardzo mocno. Nie zmienia to faktu, że już na początku roku 1787 Waszyngton przyznawał, że kiedyś wybór monarchii może dla Ameryki okazać się koniecznością. Ale w dobie Konwencji wybór taki zburzyłby według niego pokój w kraju do samych fundamentów.

Aleksander Hamilton, najtęższy umysł wśród Ojców Założycieli, był zwolennikiem Ameryki jako państwa skonsolidowanego, a nie *stricte* federalnego, państwa rozwiniętego i samowystarczalnego, jak ocenia niektórzy, zmierzającego ku imperium. Realizacja jego planów wymagała szerokiej interpretacji ostatecznie uchwalonej Konstytucji i tym sposobem zwiększenia władzy federalnej kosztem ograniczenia kompetencji władz stanowych (w Konstytucji kompetencje władzy federalnej były nieliczne i *explicite* wymienione, z tym, że Kongres Stanów Zjednoczonych mógł stanowić prawa wprowadzić nie wymienione w Konstytucji, ale konieczne dla zrealizowania praw wymienionych, i Hamilton próbował nadużywać tej tzw. klauzuli kompetencji implikowanych). Był autorem nowoczesnej polityki fiskalnej, wzorowanej na brytyjskiej i, w przypadku Ameryki, mającej na celu nie tylko poradzenie sobie z ogromnym długiem publicznym młodego państwa federalnego, ale i przyspieszenie ekonomicznego rozwoju państwa. Był Hamilton zwolennikiem pewnych form państwowego interwencjonizmu, np. ochrony rodzimego przemysłu poprzez odpowiednią do tego politykę celną, co uderzało w zależne od importu rolnicze Południe, lub finansowania budowy dróg i kanałów, a to oznaczało podejmowanie budzących kontrowersje inicjatyw podatkowych.

Opozycję wobec Hamiltona uosabiał w rządzie Waszyngtona inny wybitny Ojciec Założyciel, przedstawiciel amerykańskiego Południa, Tomasz Jefferson (co prawda, po roku 1800, a więc po objęciu urzędu prezydenta USA, Jefferson przejął poglądy prokapitalistyczne). Polityczni przeciwnicy Hamiltona i innych „nacionalistów” – zarówno niedawni zwolennicy utworzenia federacji stanów, a wśród nich Jefferson, jak i tym bardziej antyfederaliści, którzy sprzeciwiali się powstaniu państwa federalnego – byli zagorzałymi przeciwnikami koncentracji władzy federalnej. Uważali, że nieuniknioną konsekwencją silnej władzy federalnej będzie powstanie scentralizowanego i w istocie tyrańskiego państwa Lewiatana. Byli zwolennikami suwerenności dzielonej między władzę federalną z jednej oraz władze stanowe i obywateli stanów z drugiej strony, z przewagą kompetencji po stronie władz i obywateli stanów. Byli republikanami, chcącymi zamieszkiwać małe republiki i mającymi możliwie duży bezpośredni wpływ na sprawy swych małych ojczyzn. Podkreślali i chcieli zachować kulturalną oraz ustrojową odmiennosc stanów.<sup>52</sup>

---

<sup>52</sup> Warto wspomnieć, że np. w wyborach delegatów na stanowe konwencje ratyfikacyjne Konstytucji Stanów Zjednoczonych brało udział około 4% wszystkich mieszkańców USA, a zatem obywatele, do tego korzystający ze swoich praw politycznych, nie stanowili licznej populacji. Prawa głosu nie mieli niewolnicy (około 700 000 dusz na 4 miliony wszystkich mieszkańców), kobiety i dzieci. Także około połowa mężczyzn nie mogła głosować, bowiem nie spełniała wymagań majątkowych. Wielu innych nie głosowało, ponieważ mieszkało zbyt daleko od punktów wyborczych.

Od początku zatem w Stanach Zjednoczonych żyły dwie różne i zwalczające się wizje republikanizmu. Na północ od słynnej linii, wyrysowanej na mapie Ameryki przez Masona i Dixona w połowie wieku XVIII, królował konserwatyzm Aleksandra Hamiltona i innych tamtejszych federalistów, podczas gdy stany południowe i zachodnie zachowały swój charakter rolniczy. I tak oto powstał konflikt interesów, podział Stanów Zjednoczonych na strefę komercyjną i strefę rolniczą. To ten konflikt był później zasadniczą przyczyną wojny między stanami (zwykle nazywanej wojną domową) i, w pewnej mierze, po dziś dzień określa amerykańską politykę.

### **W stronę demokracji**

Wybitni Ojcowie Założyciele byli świadomi niebezpieczeństw, jakie płyną z istnienia trwałych choć nieformalnych frakcji, czy po prostu zorganizowanych partii politycznych. Wiedzieli z doświadczenia amerykańskiego i historii, że – jak pisał Madison – celem frakcji jest działanie dla dobra jej własnego interesu, własnej ideologii, czy własnej wspólnoty bez oglądania się na dobro ogółu. Szukali środków, możliwych do zaimplementowania w ramach republikańskiego ładu Ameryki, które przeciwdziałałyby powstawaniu trwałych frakcji politycznych, jakkolwiek jednocześnie dobrze rozumieli diagnozy Hume'a piszącego o nieuchronności i przyczynach ich tworzenia się. Ich wysiłki okazały się daremne.

Już w roku 1791 sam Madison rozpoczął wraz z Jeffersonem, wówczas sekretarzem stanu w rządzie Waszyngtona, organizowanie „Partii Republikańskiej”, jakkolwiek uważał, że partia nie będzie długo istnieć i nawet przez pewien czas sprzeciwiał się opinii, iż stworzył polityczną partię. Chciał tylko, by jego partia – tak jak wcześniej nieformalna frakcja „antyadministracyjna”, której przewodził – skutecznie przeciwstawiła się polityce finansowej Hamiltona, w owym czasie sekretarza skarbu w rządzie Waszyngtona. Zakładał, że po spełnieniu zadania partia się rozwiąże. Zaś o potrzebie zorganizowania partii został według znakomitego historyka Forresta McDonalda przekonany przez Jeffersona, który był pewny, że Hamiltona pomysł utworzenia Pierwszego Banku Stanów Zjednoczonych zmierza w istocie do skorumpowania Ameryki, jej osłabienia i przemienienia w zależną od Wielkiej Brytanii monarchię.<sup>53</sup>

„Partia Republikańska”, później nazwana Partią Demokratyczno-Republikańską, okazała się bytem stosunkowo trwałym i kontrolowała Kongres oraz miała swoich prezydentów przez pierwsze ćwierćwiecze XIX wieku.

Niektórzy historycy uważają, że w momencie tworzenia partii przez Jeffersona i Madisona istniała już Partia Federalistyczna pod przywództwem Hamiltona, chociaż ten zupełnie nie widział w działaniach swoich i swoich stronników niczego innego niż służba krajowi jako całości. Ich działania nie miały zresztą charakteru działalności partyjnej, nie byli związani żadnym układem wewnątrzgrupowej lojalności. Tak samo widział swoje i Hamiltona działanie Waszyngton – pracowali jako władza wykonawcza dla kraju nie kierując się

---

<sup>53</sup> Pogląd Jeffersona był fałszywy, a miał się wziąć z niezrozumienia przez niego przyczyn Hamiltona pochwały brytyjskiego rządu razem z jego defektami, w tym elementami przekupstwa. Wszystko działo się przy okazji obiadu u Waszyngtona i rozmowy, w której John Adams wyraził pogląd, iż brytyjski ład polityczny byłby najlepiej pomyślanym na świecie, gdyby oczyścić go z korupcji oraz Izba Gmin miała bardziej demokratyczny skład. Odpowiedź Hamiltona była echem realistycznych analiz Hume'a – jego diagnozy o nieuchronności korupcji i przeto potrzebie posiadania ładu politycznego, w który korupcja jest wbudowana, ale jednocześnie rozsądnie ograniczona i tak skanalizowana, by nie psuć całości organizmu państwowego.

interesem jakiegokolwiek grupy społecznej. Jest inną sprawą, iż w latach 90-tych XVIII wieku istnienie Partii Federalistycznej stało się niezaprzeczalnym faktem.

I jedno jest pewne – już choćby różne interesy stanów czyniły, że Ameryka była skazana na system partyjny. Tak przecież było od początku – wizja Hamiltona odpowiadała jednym stanom, wizja Jeffersona, a potem Jeffersona i Madisona, innym. W latach 20-tych XIX wieku utrwalił się system dwupartyjny, z tym że co parę dziesiątków lat jedne partie wiodły, a inne powstawały. W tym samym okresie, a więc niesłychanie szybko, wybory prezydenta państwa, które miało zostać najpotężniejszym mocarstwem świata, stały się cyniczną manipulacją na wielką skalę.

W 1828 Andrew Jackson stworzył (albo co najmniej rozbuchał do niesłychanych wcześniej rozmiarów) tzw. system łupów – inaczej patronaż, czyli albo obdarowanie stanowiskami w administracji wolontariuszy pracujących na rzecz kandydata po jego zwycięskim wyborze, albo obietnica i podpisywanie z nimi intratnych kontraktów po tymże wyborze. Za prezydentury Jacksona nabrała też impetu demokratyzacja ustroju Ameryki. Między innymi zwiększyła się liczba stanów, w których czynne prawo wyborcze do Kongresu przysługiwało wszystkim białym mężczyznom, a nie tylko tym z nich – w New Jersey także kobietom – którzy mogli pochwalić się posiadaniem jakiejś własności, o różnej w różnych stanach wartości (proces takiego rozszerzenia prawa wyborczego został w USA zakończony w roku 1856).

Marsz ku demokracji miał też ważniejsze źródło. Sytuacja ekonomiczna po wojnie z Brytyjczykami zrodziła ducha biznesowego. Ogromny dług publiczny, przeprowadzona monetyzacja (czyli uczynienie pieniądzem) tego długu, niepewność ekonomiczna kazały obywatelom myśleć w kategoriach biznesowych. Walka o zabezpieczenie bytu zaczęła być realizowana przez ... staranie o wzbogacenie się, by zapewnić sobie możliwie bezpieczny byt w nawet niedalekiej przyszłości.

Także rolnik i hodowca bywała stają się biznesmenami. Sytuacja społeczna zmienia się w niezwykłym tempie. Rozpoczyna się migracja z farmy do miasta, rozwój gospodarczy wciąga coraz liczniejsze rzesze. Dawny ustrojowy paternalizm, a z nim republikanizm w dawnym stylu tracą rację bytu. Każdy staje się posiadaczem, choćby swojego warsztatu pracy, każda warstwa społeczna, grupa zawodowa domaga się praw politycznych dla obrony własnego, partykularnego interesu.

Liczność populacji rośnie z roku na rok: nie licząc ludności rdzennej wynosi 4 miliony w roku 1790, w roku 1800 to już 5,3 miliona osób, 10 lat później to 7,24 miliona, w roku 1820 to 9,64 miliona osób. Rośnie powierzchnia kolonii i następnie stanów: początkowo obszar kolonii sięga od Atlantyku po grzbiet Appalachów; w 1764 Korona zabrania osadnictwa na zachód od grzbietu Appalachów po wschodni brzeg Mississipi, ale to jednak trwa (dalej na zachód rozciąga się historyczna Luizjana, będąca własnością najpierw Hiszpanii i potem Francji, która na północy sięgała obecnej granicy USA i na południu obecnej Luizjany, z grubsza obejmując zachodnie dorzecze Mississipi); w 1783 cały obszar 13 stanów po wschodni brzeg Mississipi zostaje przez Koronę oddany Stanom Zjednoczonym; w 1803 USA powiększają swój obszar w wyniku wykupienia od Francji historycznej Luizjany; w 1819 Hiszpania dokonuje na rzecz USA cesji Florydy, w połowie XIX wieku USA panują już także nad Teksasem i na zachodzie aż po Pacyfik. W tak dynamicznie rozwijającym się kraju nie sposób zachować republikański ład. Miał rację wybitny polityk amerykańskiego Południa

John Randolph z Roanoke, który po zakupie historycznej Luizjany orzekł rychły koniec republiki.

I tak to myśl Ojców Założycieli została nieomal unieważniona jeszcze za ich życia przez naród wolnych obywateli. Gdyby nie religia (jej głównie purytańskie źródła, potem tzw. Wielkie Przebudzenia) i inne specyficzne cechy amerykańskiego społeczeństwa, o których pisał de Tocqueville, Ameryka utonąłaby w chaosie kulturalnym i moralnym już w XIX wieku (*nota bene* purytanizm przeszedł szybko złe przemiany – powstały kościoły liberalne, unitarianizm i z czasem millenaryzm, do czego wrócę w następnym rozdziale). Tocqueville miał rację - Amerykanie wierzyli tylko w niedziele, poza tym żyli bezbożnie, a jednak to ta wiara utrzymywała możliwie zdrowy ład społeczny.

Demokracja nie miała chrześcijańskiego charakteru, była ideą na ruchomych piaskach, jak już w połowie XIX wieku pisał o tym wyczerpująco i z bólem Orestes Brownson, według kard. Johna Newmana największy amerykański myśliciel XIX wieku. Zarazem była jak powietrze, którym społeczeństwo oddychało już dekady wcześniej – społeczeństwo amerykańskie było społeczeństwem obywatelskim od zarania, tyle że nie indywidualistycznym a rodzinnym, lokalnym. Burzliwie się rozwijającym z wysoką przestępczością i religijnymi hamulcami na nią nakładanymi, w którym utrzymywał się naturalny i możliwie zdrowy ład społeczny. Do czasu.

Amerykańska droga do liberalnej demokracji była inna niż Europy, ale prowadziła w tę właśnie stronę. Wcześniej rozkwitł wspomniany już protestancki millenaryzm. Później, jak już wspominałem, wiek pozłacany (c. 1870 – 1900) przyniósł bezprecedensowe związanie wielkiego biznesu i świata finansów ze światem polityki. Z kolei era postępową (c. 1890 – 1920) stworzyła doskonałe warunki do przyspieszenia państwowej centralizacji i etatyzacji, dążenia do państwowej regulacji na polu ekonomicznym, takich jednak, by nie zagrozić wielkiemu biznesowi. Postępowi ideologowie zostawili za sobą protestantyzm, ale zachowali millenaryzm i od zarania XX wieku do perfekcji rozwinęli inżynierię społeczną za swoją awangardę mając lewicowych uniwersyteckich guru. Tak zaczęło być tworzone liberalne państwo opiekuńczo-wojenne (*welfare-warfare state*).

I jeszcze zapytajmy kim są dziś konserwatyści, dziedzice myśli większości Ojców Założycieli? Chcą chrześcijańskiego ładu. Chcą republiki Ojców Założycieli. Chcą też wolnej inicjatywy na rynku gospodarczym (nie napisałem wolnego rynku, ponieważ to mógł być rynek protekcyjnie chroniony). Chcą minimum rządu, stanów (państw!) sfederowanych, a nie państwa unitarnego. Ale ujmując rzecz w karykaturalnym skrócie: chrześcijański ład tylko w niedziele albo i rzadziej, coraz rzadziej; republiki nie ma od, powiedzmy, lat 1820-tych; pochwała praw rynku i minimum rządu, ale przecież rozwój ekonomiczny to coraz większy biznes, współpraca biznesu z klasą polityczną i w końcu – na deser – w XX wieku państwo opiekuńczo-wojenne, imperialne. A więc kim są? Tymi, którzy żyją przeszłością i dziś chcą (a może od początku chcieli) łączyć ogień z wodą. Do czego wrócę w rozdziale 12.

### **PS o najważniejszych spośród tych źródeł, na których się opierałem:**

Monografie Russella Kirka (m.in. „The Roots of American Order”), Gordona S. Wooda (m.in. „The Radicalism of the American Revolution”) i Forresta McDonalda (m.in. „Novus Ordo Seclorum”), opis debaty ratyfikacyjnej pióra Pauline Maier („Ratification: The People Debate the Constitution, 1787 – 1788”), tom „The Federalist” oraz eseje federalistów i antyfederalistów.

## 10.

### W poszukiwaniu amerykańskiej elity społecznej<sup>54</sup>

#### Amerykańska nowa klasa wyższa

Osiemdziesiąt lat temu, w 1941 roku, amerykański uczeń wybitnego włoskiego socjologa Wilfryda Pareta, James Burnham, pisał o rewolucji menedżerskiej. W USA i na całym rozwiniętym świecie miał zapanować nowy ustrój – menedżerski liberalizm. I miała powstać zupełnie nowa klasa wyższa, stanowiąca swego rodzaju elitę państwa. Pięćdziesiąt lat później najchętniej określano tę nową klasę terminem „merytokracja”. Jej członkowie mogli pochwalić się wysokim ilorazem inteligencji i elitarnym wyższym wykształceniem.

Znakomity amerykański badacz Charles Murray<sup>55</sup> uznaje dziś za merytokratyczną klasę wyższą te 5% pracujących osób z wyższej klasy średniej wraz z ich rodzinami, którym powodzi się najlepiej. Członkowie wyższej klasy średniej to osoby zajmujące stanowiska kierownicze, albo będące lekarzami, prawnikami, inżynierami, naukowcami spoza uczelni lub należącymi do grona uczelnianych profesorów, wreszcie pracownikami prasy, radia i telewizji tworzącymi treści przekazywane przez te media. Wśród nich, członkowie merytokratycznej klasy wyższej to warstwa licząca w USA ponad 1,4 miliona osób. Jeśli uwzględnić, że 69% tych osób jest żonatych lub zamężnych i dołączyć współmałżonków do rzeczony warstwy wyższej, otrzymujemy populację liczącą około 2,4 miliona osób (jeśli nie zaznaczam, że jest inaczej, podawane dane dotyczą 2010 roku).

Cała wyższa klasa średnia zachowuje tradycyjny kod moralny. Gdy chodzi o małżeństwa, wśród osób w wieku 30 do 49 lat 94% osób żyło w związku małżeńskim w roku 1960 i 90% w roku 2010. Rozwodów prawie nie było w roku 1960, kiedy to ich liczba zaczęła rosnać, by zbliżyć się do 5% w latach 1980-tych i na tym poziomie zatrzymać. Dzieci uczą się w dobrych szkołach, zaś ich rodzice często aktywnie współpracują ze szkołą. Tylko w 3% gospodarstw domowych dzieci są wychowywane przez osoby rozwiedzione lub takie, które nigdy nie były w związku małżeńskim.

Gdy chodzi o religijność, ta zaczęła spadać w USA w latach 1970-tych, podobnie w prawie wszystkich warstwach społecznych. W roku 1972 tylko 4% białych Amerykanów w wieku 30 do 49 lat odpowiadało, że nie wyznaje żadnej religii, w roku 1980 już 10%, zaś w roku 2010 aż 21%. Gdy dodać do nich tych, którzy pojawiają się w kościele nie częściej niż raz w roku, dla wyższej klasy średniej otrzymamy w roku 2010 liczbę prawie dwukrotnie większą, bo 41%. Z tym, że odrzucenie religii (wyznania) nie oznacza ateizmu. W USA procent zadeklarowanych ateistów jest praktycznie niezmienny i wynosi 4%.

Niestety dobre prowadzenie się nawet poważnej części narodu to za mało. Każdy naród potrzebuje elity, która potrafi promieniować wzorcami przez nią uosabianymi na cały naród i tym sposobem sprawować misję przewodzenia mu na polu kultury. Bez takiej elity naród ulega degeneracji. I oto amerykańska węższa nowa klasa wyższa, która powinna stanowić taką elitę, jest doskonale odcięta od reszty Ameryki. Żyje w gettach ze swoimi szkołami, kościołami, klubami towarzyskim, tylko tam tworząc żywe, ale zamknięte dla innych

<sup>54</sup> Pierwotna wersja tego rozdziału ukazała się w „Kurierze Wnet” nr 48, czerwiec 2018, ora na stronach portalu WNET.fm 30 kwietnia 2018 r.

<sup>55</sup> Patrz tego autora: „Coming Apart: The State of White America”, 2012, oraz „By the People: Rebuilding Liberty Without Permission”, 2015.

wspólnoty. Zachowuje się schizofrenicznie – zamiast sprzeciwić się wulgaryzacji języka, obyczajów i sztuki, im sprzyja. Mówi językiem współczesnego liberalizmu i na zewnątrz popiera moralny nihilizm. Jest niezdolnie politycznie poprawna, ulega lewicowemu terrorowi i popiera najbardziej absurdalne idee współczesnych lewaków.

### **... i niższa**

Średnia klasa Amerykanów została zostawiona sama sobie w kraju, którego elity nie reprezentują własnego narodu i odrzuciły misję przewodzenia mu. Co jeszcze gorsze, biali z warstwy robotniczej, pozbawieni przewodników, częściowo ulegli moralnej degeneracji. Powstała także nowa biała klasa niższa.

Postępowa inżynieria społeczna dawno temu zrobiła ze zbyt wielu czarnych Amerykanów nieszczęśliwych bez rodzin i godności, żyjących z państwowego zasiłku. Podobna klęska dotyka dziś także białych robotników. W tej robotniczej warstwie, w grupie osób w wieku 30 do 49 lat, 84% osób żyło w związku małżeńskim w roku 1960, ale tylko 48% w roku 2010. Procent rozwodów wzrósł w tej grupie z 4% w roku 1960 do 33% w roku 2010. Aż 22% dzieci są wychowywane przez osoby rozwiedzione, żyjące w separacji lub przez matki, które nigdy nie miały męża. Wśród białych matek, które nie ukończyły szkoły średniej, procent dzieci nieślubnych sięgnął 60%. W roku 2010 procent dzieci żyjących w pełnej biologicznej rodzinie, gdy matka osiągnęła 40. rok życia, spadł do 35% (w wyższej klasie średniej jest to 85%). W warstwie białych robotników aż 60% populacji albo nie wyznaje żadnej religii, albo nie pojawia się w kościele częściej niż raz w roku.

Jeśli za nową klasę niższą uznać za Charlesem Murrayem tę część mężczyzn z populacji robotników, która nie potrafi lub nie chce zarobić na utrzymanie dwuosobowego gospodarstwa domowego powyżej tzw. progu ubóstwa, to okaże się, że takich białych mężczyzn w wieku 30 do 49 lat było w populacji robotniczej 8% w roku 1967 i odtąd procent ten stale rósł, by w roku 2007 osiągnąć 27%. Kilkadziesiąt lat temu biali Amerykanie nie zarabiający na utrzymanie dwuosobowej rodziny nie stanowili klasy, która mogłaby wyznaczać obyczaje i sposób życia warstwy pracowników fizycznych. Żyli na marginesie, bez własnej winy, albo skutkiem własnego wyboru. Dziś zbudowali nową klasę niższą współwyznaczającą cywilizacyjny wzorzec dla niemałego segmentu amerykańskiego społeczeństwa.

### **Wielki biznes, bank centralny, era postępowa i ... religijna utopia**

Amerykańskie społeczeństwo znalazło się w stanie rozkładu. Czy nowa klasa wyższa dostrzeże swoją klęskę i z czasem włączy się w ratowanie narodu, którego jest członkiem? Czy opamięta się widząc, że ostatnim okresem społecznej konsolidacji i spójności było pierwsze dziesięciolecie po II wojnie światowej? Odpowiedź na pytanie o szanse społecznego odrodzenia – z koniecznym tego elementem w postaci zdrowej społecznej elity – wymaga rozpoznania źródeł kryzysu.

Jak to już szkicowałem i trochę tylko upraszczając, historia USA to od początku spór federalistów z Północy, nade wszystko Alexandra Hamiltona – zwolenników silnej władzy centralnej i wspieranego przez państwo rozwoju przemysłowego – z federalistami i tym bardziej antyfederalistami z rolniczego Południa – prowadzonymi przez Thomasa Jeffersona zwolennikami suwerenności luźno skonfederowanych stanów. Polityka tych pierwszych od początku istnienia Stanów Zjednoczonych cieszyła się poparciem ludzi biznesu oraz bankierów ze stanów północno-wschodnich. Ziemianie z Południa byli przeciwni centralizacji władzy, w tym centralnie sterowanej polityce fiskalnej państwa, wielkim programom

infrastrukturalnym oraz protekcjonizmowi, który wspierał produkcję przemysłową kosztem produkcji rolnej.

Gdy w 1829 roku prezydentem został Andrew Jackson, kandydat powstałej rok wcześniej na Południu Partii Demokratycznej, władza znalazła się w rękach zwolenników leseferyzmu, czyli polityki wolnorynkowej wolnej od interwencjonizmu państwowego, oraz „twardego” pieniądza, mającego pokrycie w złocie. W roku 1836 jacksonowscy Demokraci zamknęli Bank Centralny (dokładniej, Kongres nie zgodził się na jego dalsze trwanie).

Nowa Partia Republikańska, powstała w 1854 roku, wraz z objęciem władzy przez Abrahama Lincolna rozpoczęła realizację zupełnie innego programu ekonomicznego – nacjonalistycznego i protekcjonistycznego, z czasem subsydiującego wielkie programy infrastrukturalne (np. koleje transkontynentalne). Odeszła od standardu złota, wprowadziła papierowy pieniądź (tzw. *greenbacks*) i po dwóch latach trwania wojny z Południem zaczęła finansować tę wojnę długiem publicznym.

Ostatnie dekady XIX wieku przyniosły tzw. wiek połączony (c. 1870 – 1900) i w jego ramach dynamiczny rozwój wielkiego biznesu, kontynuowany podczas tzw. ery postępowej (c. 1890 – 1920). Jednym z fundamentów owego rozwoju było korupcyjne i wówczas bezprecedensowe związanie tegoż biznesu i coraz potężniejszych banków z klasą polityczną. Okres ten oznaczał także postępującą kartelizację – wzrost potęgi korporacji i trustów. Natomiast stale rosnąca administracja federalna stała się czwartą gałęzią władzy (o jej obecnej wszechwładzy świadczą np. takie liczby: rząd to 15 ministerstw, ale społeczeństwo jest ponadto kontrolowane przez około 70 agencji federalnych; zbiór federalnych regulacji liczył w 2012 roku 174 545 stron, i to nie uwzględniając wielu tysięcy stron prawa podatkowego, ustaw Kongresu oraz wykonawczych zarządzeń Prezydenta).

W takiej Ameryce nie było dość miejsca dla politycznej myśli amerykańskiego Południa, jankeskich konserwatystów z Północy, czy szerzej, przeciwników uczynienia z Ameryki *imperium mundi* z silną władzą federalną (centralną). W swojej mowie pożegnalnej w roku 1961 prezydent Dwight Eisenhower przestrzegał naród przed obdarowaniem kompleksu wojskowo-przemysłowego zbyt dużym wpływem na rząd. Na darmo. Kompleks wojskowo-przemysłowy, bank centralny i ponadnarodowe korporacje uczyniły z Ameryki światowego hegemon, nie licząc się z narodem i niewiele sobie robiąc z zadłużania Ameryki na niebotyczną skalę. Dziś hegemon stara się za wszelką cenę zachować kontrolę nad całym światem i oczywiście utrzymać pozycję dolara jako waluty światowej.

Zwracałem już wcześniej uwagę, iż wraz z nastaniem postępowej ery, w USA zdomowała się postępową inżynieria społeczna. W sferze kultury i obyczajów inżynieria ta nabrała rozmachu dopiero na przełomie lat 60-tych i 70-tych XX wieku. Natomiast wśród elit uniwersyteckich i prasowych zapanowała niezwykle szybko, za swoich pionierów mając wspomnianych już Herberta Croly’ego i Johna Deweya. Obydwaj wywarli ogromny wpływ na amerykańską myśl (Croly) i praktykę (Dewey) postępowego liberalizmu. Pierwszy z nich wychodził od analiz Auguste’a Comte’a, w tym jego religii ludzkości (z czego przyszłość już nie skorzystała), oraz podziwu dla bismarckiego państwowego socjalizmu. Drugi był twórcą szczególnie rozumianego pragmatyzmu, w istocie bliskiego neo-marksistowskiej teorii krytycznej. Obydwaj zgadzali się, że myśl nowoczesna nie miała odtąd służyć zrozumieniu świata i człowieka, lecz ich zmianie.



Ale jak w ogóle mógł się etatystyczny progresywizm zadomowić w USA, prędzej czy później? Otóż mógł, albo i nieomal musiał na protestanckiej Północy. Historycy religii przypominają, że purytanie, którzy dotarli do brzegów Nowej Anglii w latach 30-tych i 40-tych XVII wieku, umykali z angielskiej ojczyzny przekonani, iż dzieło reformacji zapoczątkowane przez Lutera, kościół anglikański i nawet przez Kalwina nie zostało dokończzone. Uważali, że zbyt wiele było w nim wciąż elementów katolickich. Purytanie przywieźli ze sobą tzw. postmillenaryzm, według którego Ameryka stawała się dzięki danemu im Bożemu powołaniu narzędziem stałej poprawy świata aż do ziszczenia się Królestwa Bożego na ziemi, jego tysiącletniego trwania i na koniec powtórnego przyjścia Chrystusa oraz Sądu Ostatecznego (inaczej niż w młodszym o dwa wieki tzw. premillenaryzmie, wedle którego to powtórne przyjście Chrystusa na ziemię rozpocznie tysiącletnie trwanie Królestwa Bożego pod Jego panowaniem i po tym millenium nastąpi Sąd Ostateczny; post- i pre-millenaryzm opatruje się oczywiście wspólną nazwą millenaryzmu).

Według purytanów zacząć należało od wyrugowania resztek „papizmu”, likwidując na przykład katolickie święta, cały kalendarz liturgiczny i unieważniając ortodoksyjną sakramentologię. Wyeliminowawszy rok liturgiczny, purytanie usunęli szkielet, który pozwalał nabożeństwu być skupionym na Zwiastowaniu, Narodzinach, życiu i śmierci oraz Zmartwychwstaniu Chrystusa. Zamiast modlitewnego skupienia się na zbawczej mocy Bożej miłości, na Wcieleniu, Ukrzyżowaniu i Zmartwychwstaniu, pozostawało uznanie, że zbawienie człowieka przychodzi przez nawrócenie się jego umysłu i serca, zaś po nawróceniu pozostaje moralne doskonalenie się wedle wskazówek przynoszonych przez surowych kaznodziei oraz stałą lekturę Pisma Świętego. Tymczasem bez uznania za centralny punkt życia chrześcijanina kontemplacji Wcielenia, Ukrzyżowania i Zmartwychwstania chrześcijaństwo gubi swój fundament.

Purytanie, nie chcąc tego, zasiali tym sposobem w Ameryce ziarna tzw. ewangelikalizmu, który przyszedł w latach 1730-tych i uznawał za najważniejsze, jeśli nie jedynie ważne, jednorazowe doświadczenie nawrócenia oraz późniejsze cnotliwe życie wierzącego. Zasiali też ziarna unitarianizmu, który odrzuca dogmat o Trójcy Świętej (twierdzi, że Bóg jest jedną osobą) i który na przełomie XVIII i XIX wieku przyjęły kościoły nazwane później liberalnymi (unitarianizm przyjęła też część wspólnot purytańskich).

Ewangelikalizm gładko wpisał się w historię doktryn protestanckich w Ameryce i z końcem XIX wieku większość amerykańskich protestantów była ewangelikalistami. Przy tym, skoro po nawróceniu pozostawało już tylko moralne doskonalenie się, to musiało mieć ono nie tylko wymiar indywidualny, ale także społeczny. Z właściwą prawdziwym chrześcijanom wrażliwością dostrzegali ewangelikaliści grzechy społeczne obecne w Ameryce – np. fakt niewolnictwa. Ale chcąc je zwalczyć, proponowali programy utopijne, wyrastające mentalnie z millenaryzmu, czyli wyrastające z naiwnej wiary w możliwość wyeliminowania wszelkiego zła na tym świecie oraz zapanowania na ziemi Królestwa Bożego. I tak maszerowali przez cały wiek XIX i połowę XX od jednej kampanii społecznej do drugiej. Od radykalnego abolicjonizmu, którego wprowadzenie zniszczyłoby do cna tkankę społeczną Ameryki, poprzez prohibicjonizm do prezydenta Woodrowa Wilsona idei „wojny, która skończy wszystkie wojny” (jakkolwiek nie są to słowa samego Wilsona, to trafnie oddają jego myśl). Odrzucenie katolickiego szacunku dla Tradycji i mądrości wieków postawiło koalicję ewangelikalistów i millenarystów po stronie „społecznego postępu”.

Dokładnie tego potrzebowali zwolennicy postępowej inżynierii społecznej, skądinąd najczęściej religijnie obojętni albo religii wrody. Wystarczało im, że oto chrześcijańska

Ameryka zastępuje wiarę w transcendentne rozwiązanie konfliktów ziemskich poza czasem nieustającym wysiłkiem na rzecz ich rozwiązania w czasie – w ciągu naszej ludzkiej historii. Rzecz w tym, że takiego wysiłku może się podjąć jedynie państwo o władzy nad społeczeństwem nieomal nieograniczonej – najlepiej od przedszkola i szkoły, poprzez całe życie aż po śmierć. I tak oto już u zarania XX wieku wąskie antychrześcijańskie kręgi opiniotwórcze i nieprównanie szersze kiedyś autentycznie chrześcijańskie kręgi społeczne połączył jeden program – program etatystycznego progresywizmu. Który to program odpowiadał także możliwym światu polityki, finansów i biznesu.

Warto jeszcze wspomnieć, że najlepiej wykształceni amerykańscy rzecznicy postępu bardzo przydali się wielkim ze świata biznesu i finansów. Naród nie miał zaufania do bogaczy, bogactwo drażniło, Wall Street była zniechęcona. Naród nie chciał ani trustów, ani Banku Centralnego. Niezbędne było więc powstanie ośrodków opiniotwórczych, które społeczeństwo uzna za godne zaufania, a ich argumenty za nowym ładem ekonomicznym i społecznym za przekonujące. Tymczasem w końcu XIX wieku uczelnie amerykańskie nie nadawały jeszcze doktoratów. Najzdolniejsi jechali zatem po doktoraty do etatystycznych (socjalistycznych) Niemiec. I przywieziona przez nich fascynacja niemieckim ustrojem doskonale odpowiadała potrzebom chwili.

Ceną postępowego eksperymentu okazała się duchowa dezorientacja i w rezultacie śmierć elit oraz rozkład społeczeństwa. Ameryka znalazła się w głębokim kryzysie społecznym, ale to nie znaczy, że się zeń nie podniesie. W dwóch kolejnych rozdziałach rozwinię kilka wątków dotyczących obecnego kryzysu. O szansach na wyjście z niego – nie mówiąc o sposobach na to wyjście – za wcześnie mówić.

Jedno jest pewne. Jeśli jest jeszcze na to czas, Ameryka nade wszystko potrzebuje rechrystianizacji. Zwłaszcza klasy wyższej, by ta mogła stać się elitą narodu, który dziś tej elity nie ma. Szansa w tym, że klasa ta jeszcze nie oślepiła i przeto może dostrzeże swoją klęskę. Zaś będąc dziś w istocie społecznością pochrześcijańską – a dokładniej poprotestancką – jest wolna od millenarystycznych utopii. Jeśli zatem obudzi się, jej rechrystianizacja będzie prawdziwa i przyniesie dobre owoce. Jeśli ...

## 11. Społeczeństwo amerykańskie AD 2020<sup>56</sup>

Pisałem ten rozdział w październiku 2020 roku, kilkanaście dni przed wyborami prezydenta USA, przypadającymi na dzień 3 listopada. Bez względu na ich wynik było jasne, że w Ameryce trwać będzie głęboki kryzys społeczny. Poza oczywistymi unacześnieniami, nie chcę zawartości rozdziału uaktualniać, a jest dziś 2 lutego AD 2022, ponieważ byłby to zabieg chybiony. Pandemia covid-19, wynikające z niej zakłócenia w życiu społecznym, przerwane albo nadwyreżone łańcuchy dostaw, jakby tego było mało, armia rosyjska u granic Ukrainy, dodają niestety dziegciu do ognia, ale w żaden sposób nie zmieniają zasadniczego obrazu.

Jak to dogłębnie w swojej najnowszej książce opisał wybitny i dobrze w Polsce znany politolog George Friedman („The Storm Before the Calm: America’s Discord, the Coming Crisis of the 2020’s, and the Triumph Beyond”, 2020) w Ameryce trwać będzie w tym dziesięcioleciu równoczesny kryzys instytucjonalny oraz społeczno-ekonomiczny. Następuje koniec pewnego okresu (można też rzec, cyklu) w życiu Ameryki, ale to jeszcze nie prezydent wybrany w roku 2020 wyznaczy początek nowego. Równie przekonująco pisze o tym kryzysie np. Yuval Levin, ważny i słusznie cieszący się dobrą sławą badacz społeczny („A Time to Build: From a Family and Community to Congress and the Campus, How Recommitting to Our Institutions Can Revive the American Dream”, 2020, oraz “The Fractured Republic: Renewing American Social Contract in the Age of Individualism”, 2016). To, jak pobiegnie pokonywanie owego kryzysu – a może jaka będzie Ameryka przyszłości – będzie od wyniku tegorocznych wyborów zależec bardzo mocno, ale w perspektywie przyszłych dziesięcioleci niczego nie zmieni.

Prawdziwy problem nie leży w tym, kto będzie prezydentem w kadencji 2021 – 2025, ale w tym, że Ameryka w obecnym kształcie trwać już nie może i nie chce. Ta i przyszła dekada przyniesie Ameryce dogłębną reformę jej instytucji politycznych oraz mechanizmów społeczno-ekonomicznych. Na kształt tej reformy ogromny wpływ będzie rzecz jasna miała sytuacja geopolityczna oraz ekonomiczna na świecie – co jasno wynika choćby z rozdziału 7 – ale jej głębokość będzie od tych zewnętrznych czynników niejako niezależna. Ta konieczność głębokiej reformy jest sprawą wewnętrzną Ameryki i to jasno wynika np. ze wspomnianych pism George’a Friedmana, Yuvala Levina i Charlesa Murraya.

Około dekadę temu często przeze mnie przywoływany Peter Augustine Lawler, tak pisał:

*Libertarianie narzekają, że z winy naszego postępowego prezydenta [Baracka Obamy – przyp. jk] wartości różnych wskaźników mierzących poziom obywatelskiej wolności w Ameryce szybują w dół. Amerykanie, mówią libertarianie, stają się coraz bardziej zawistni i coraz chętniej rezygnują z osobistej odpowiedzialności na rzecz bezpieczeństwa oferowanego im przez ich rząd. Charles Murray boleje nad upadkiem etyki pracy wśród przeciętnych Amerykanów. Inni są w swoich ocenach jeszcze bardziej dosadni i piszą o tym upadku nie tylko wśród względnie biedniejszych obywateli, ale nawet wśród tych, którzy żyją w coraz większym luksusie. Nasze rodziny coraz częściej dotyka patologia i samotne matki muszą zwracać się do państwa o to, co powinny rodzinom zapewniać odpowiedzialni ojcowie.*

---

<sup>56</sup> Pierwotna wersja tego rozdziału ukazała się na stronach portalu „Teologii Politycznej” 2 listopada 2020 r.

*Niektórzy powiadają, iż jesteśmy bardziej niż kiedykolwiek na drodze do zniewolenia, tej o której pisali Hayek i Tocqueville.*

*To prawda, że swobody obywatelskie ulegają wedle pewnych obiektywnych miar erozji. Ale to nieprawda, że członkowie klasy średniej – osoby, które prowadzą małe biznesy, są wykwalifikowanymi pracownikami fizycznymi albo są kierownikami średniego szczebla – czują się ekonomicznie bardziej bezpiecznie.*

Tytułem rozwinięcia tej diagnozy, pozwolę sobie podać kilkanaście liczb, nawet jeśli odnoszących się do pozornie zupełnie nieprzystających do siebie zjawisk, to jednak wiele wyjaśniających. Od roku 1984 do 2016 produkt krajowy brutto per capita rósł w sposób względnie stały, by do roku 2016 wzrosnąć realnie o ok. 55% (w latach 1993 – 2016 wzrost ten wyniósł ok. 35%; „realnie”, tzn. według wartości dolara z 2016 r.). Mediana realnych przychodów gospodarstwa domowego (o średniej liczności gospodarstwa wynoszącej 2,8 osoby) wzrosła w tych samych latach o ok. 20% (w latach 1993 – 2016 o ok. 15%, z tym że do roku 2014 wzrost ten wyniósł tylko 5%, później nastąpiło wyraźne przyspieszenie wzrostu trwające aż do wybuchu pandemii). Czyli mediana przychodów gospodarstwa domowego rosła znacznie wolniej niż PKB per capita. A przecież mediana mówi nam – pomijając gospodarstwa, w których przychody są jej równe – że w połowie gospodarstw przychody są niższe i w połowie wyższe od jej wartości. Mówi zatem dużo o tym, jakie są przychody przeciętnych gospodarstw, ale nie jakie są rozpiętości tych przychodów. Tymczasem w owym 2016 roku mediana rocznych przychodów gospodarstw zamieszkałych przez osoby bez pełnego średniego wykształcenia wynosiła ok. 30 000 dolarów, ze średnim wykształceniem ok. 40 000, z wyższym ok. 80 000, a z doktoratem ok. 135 000 dolarów. Przychody gospodarstw domowych osób z niższych warstw prawie w ogóle nie rosły w ciągu ostatniego trzydziestolecia, warstw wyższych rosły tym szybciej, im wyższe było wykształcenie domowników. Utrzymaniu niskich zarobków niższych warstw na pewno sprzyjał napływ ubogich imigrantów, zwłaszcza z Meksyku (w końcu 2020 roku oceniało się, że liczba legalnych i nielegalnych imigrantów wynosi przynajmniej 10 – 11 milionów; za prezydenta Bidena ich liczba wzrosła o około 1,7 miliona osób). Warto jeszcze odnotować, że roczne przychody 5% najbardziej majątnych gospodarstw domowych sięgnęły w 2016 r. co najmniej 214 000 dolarów, a w 2018 r. co najmniej 248 000 dolarów i był to 42-procentowy wzrost w porównaniu z rokiem 1988 (mediana dla wszystkich pracujących wynosiła w 2016 r. prawie 60 000\$ i w 2018 r. ok. 63 000\$).

W drugiej połowie XX wieku zaczęła się w Ameryce swego rodzaju deindustrializacja, która przede wszystkim dotknęła zakłady przemysłu stalowego i węglowego, ale także innych zakłady produkcyjne. Nieomal zrujnowała gospodarkę środkowego zachodu i Nowej Anglii. W latach 1980-tych przyspieszenia zaczęła nabierać praktyka tzw. outsourcingu. Wielkie korporacje przenosiły coraz więcej prac za ocean, do Azji. Amerykanie – od warstwy pracowników fizycznych po część obywateli z klasy średniej tracili pracę w swoich zawodach. Duża część klasy średniej i warstwy niższe zostały skazane na stagnację albo raczej względne zubożenie – razem z traconymi stanowiskami pracy zniknęły też płace z nimi związane. Wielki biznes wyrzucił duży segment społeczeństwa amerykańskiego poza obszar zdrowego rozwoju przemysłowego, od przemysłu stalowego po elektroniczny i informatyczny. Państwo nie było zainteresowane obroną interesów tych grup zawodowych.

Jak pisałem w poprzednim rozdziale, dramatycznie zmieniła się sytuacja społeczna białych robotników.

Gdy spojrzymy na całe społeczeństwo i zapytamy o jego poglądy na kwestie dotyczące moralności i obyczajów, to np. dowiemy się, że 68% Amerykanów sprzeciwiało się homoseksualnym tzw. małżeństwom w roku 1966, ale na krótko przed zalegalizowaniem tych „małżeństw” przez Sąd Najwyższy w roku 2015 – do czego jeszcze wrócimy – okazało się, iż tym razem aż 60% obywateli popiera ich legalizację. Dziś trwa walka o „prawa transseksualistów” i różne inne tego typu „prawa”, które mniej albo bardziej otwarcie promuje demokratyczny prezydent i demokratyczna wiceprezydent USA.

Gdy natomiast spojrzeć na stosunek amerykańskiego społeczeństwa do zabijania nienarodzonych dzieci, to dowiemy się, że obecnie – a dane te są stosunkowo niezmiennie przez ostatnie lata – zdaniem tego społeczeństwa aborcja powinna być dopuszczalna bez żadnych ograniczeń w pierwszym trymestrze ciąży według 60% badanych, w drugim według 28% badanych i później według 13%. W odpowiedzi na pytanie o dopuszczalność aborcji abstrahując od czasu życia nienarodzonego dziecka 29% respondentów opowiada się za legalnością aborcji bez ograniczeń, 35% przy niewielu ograniczeniach, 14% przy wielu i 20% jest bezwarunkowo przeciwnych aborcji (2% badanych nie mają zdania). W ostatnich latach zabijanych jest ponad 18% nienarodzonych dzieci – mniej więcej taki jest procent aborcji w większości stanów, wyjątkowo jest ich dużo w District of Columbia (w 2017 r. 37%), stanach New Jersey (32%) i New York (31%), szczególnie mało w stanach Idaho (5%), South Dakota (4%) i Wyoming (2%). W 2016 r. za 86% aborcji odpowiadały niezamężne matki; wśród zamężnych matek 4% ciąż zakończyły się aborcją, natomiast wśród niezamężnych aż 28%.

Dane dotyczące sprzeciwu wobec nieograniczonych możliwości zabijania nienarodzonych dzieci ilustrują ciekawe zjawisko. Prawie  $\frac{3}{4}$  amerykańskiego społeczeństwa jest przeciw nieograniczonemu prawu do aborcji w drugim trymestrze ciąży. A jednak prezydentem USA mógł przez dwie kadencje być Barack Obama, człowiek konsekwentnie popierający okrucieństwo zabijania dzieci w trzecim trymestrze ciąży nawet wtedy, gdy ciąża nie zagraża życiu matki. Ten sam Barack Obama był przeciwny prawnemu nakazowi podtrzymania życia dziecka, które przyszło na świat żywe na skutek źle przeprowadzonej aborcji. Dziś natomiast prezydentem jest były wiceprezydent w rządzie Obamy, reprezentujący to samo stanowisko co jego szef w latach 2008 – 2016. Skąd ta demokratyczna schizofrenia, z ciągle jeszcze w miarę moralnym społeczeństwem i jego lewicowymi prezydentami? Bez wątplenia bardzo upraszczając, ale nie bez sensu można stwierdzić, iż ta wynika z rachunku oddanych i nieoddanych głosów – skoro w kraju głosuje około 60% do tego uprawnionych, praktycznie połowa z nich na jednego kandydata i połowa na drugiego, to wystarcza, żeby 30% społeczeństwa zagłosowało na kandydata lewicy, by ten mógł zostać wybrany.

Przez dekady na straży postępowych przemian stał w Ameryce Sąd Najwyższy, który w 1992 roku potwierdził prawo do aborcji, gdy płód osiągnął zdolność do życia poza organizmem matki, o ile ciąża zagraża jej życiu lub zdrowiu. Oto zdanie z uzasadnienia wyroku:

*W sercu wolności leży prawo osoby do zdefiniowania własnych pojęć istnienia, znaczenia, świata oraz tajemnicy ludzkiego życia.*

To zdanie z pochrześcijańskiej już epoki. Z kolei, w 2000 roku Sąd Najwyższy USA orzekł rzekomą niekonstytucyjność ustaw stanowych pozwalających na późną aborcję jedynie wtedy, gdy zagrożone jest życie matki. Wybitny amerykański komentator katolicki śp. Joseph

Sobran<sup>57</sup> przestrzegał wówczas, iż był to ostatni moment na postawienie w stan oskarżenia (*impeachment*) sędziów SN, jeśli chce się np. uniknąć legalizacji tzw. małżeństw homoseksualnych. Do czego doszło w roku 2015 i co inny, młodszej generacji komentator Rod Dreher trafnie nazwał chrześcijańskim Waterloo. O swego rodzaju wszechwładzy SN USA wspomniemy jeszcze w rozdziale 14.

### **Państwo Lewiatan**

Ustanowiony w odpowiedzi na Wielki Kryzys z lat 1929 – 1933 przez prezydenta Franklina Delano Roosevelta tzw. Nowy Ład (*New Deal*), mimo ingerencji w gospodarkę i społeczeństwo na nieznaną wcześniej skalę nie rozwiązał ekonomicznych kłopotów Ameryki. Potrzebna była do tego niezwykła mobilizacja narodu w okresie II wojny światowej – na przykład, ponieważ mężczyźni znaleźli się na wojnie, kobiety stanowiły wówczas aż 37% siły roboczej (65% w przemyśle lotniczym) – oraz odpowiednie pokierowanie przez państwo całą machiną wojenno-przemysłową. Po wojnie państwo kierowało procesem przestawienia produkcji na pokojową oraz pomożeniem byłym żołnierzom we włączeniu się w dzieło rozwoju ich ojczyzny. Dla przykładu, państwo stworzyło bankom możliwość udzielania weteranom tanich pożyczek mieszkaniowych, co znakomicie przyczyniło się do rozwoju (jednorodzinne) budownictwa mieszkaniowego. Co najmniej przez pierwsze dziesięciolecie po II w. św. Ameryka doświadczała bardzo szybkiego rozwoju ekonomicznego, była gospodarczą potęgą bez konkurencji z zewnątrz. Rozwój zaczął zwalniać wraz z pojawieniem się zaoceanicznej konkurencji.

Państwo, które dawno temu zdecydowało się koordynować rozwój gospodarczy kraju, oddało codzienną władzę cywilnej służbie ekspertów – technokratów, prawników, ekonomistów, urzędników – tworząc kolejne rządowe agencje odpowiadające za ten rozwój. Potrzebowało również coraz większej liczby regulacji prawnych, i tym samym coraz więcej instytucji kontrolujących stosowanie się do owych regulacji.

Ale to była droga w jedną stronę, prowadząca do obecnego kryzysu instytucjonalnego i społecznego. Instytucje kontrolne się mnożyły, podobnie było i jest z regulacjami prawnymi. W 1936 roku było 9 różnych rządowych agencji i komisji. Liczba agencji zaczęła gwałtownie rosnąć w latach 60. i 70. XX wieku. W roku 1990 historyk Forrest McDonald doliczył się 25 rządowych agencji, w 2013 roku Charles Murray 70. Ten drugi zwrócił uwagę, że chcąc właściwie ocenić rozrost administracji, należy jeszcze dodać 15 ministerstw (w przykładowym znalazł 49 biur podległych trzem wiceministrom lub bezpośrednio ministrowi). Z kolei zbiór różnych federalnych regulacji liczył 174 545 stron w 2012 roku (nie uwzględniając prawa podatkowego grubości więcej niż czterech Biblii). Do obowiązujących regulacji należy oczywiście dołączyć jeszcze ustawy Kongresu i wykonawcze zarządzenia prezydenta (a na przykład ustawa dotycząca wprowadzonego za prezydenta Obamy ubezpieczenia zdrowotnego liczy sobie 1024 strony). Obywatel gubi się w mrowiu przepisów, np. dotyczących wspomnianego ubezpieczenia zdrowotnego. Drobny przedsiębiorca traci zbyt wiele pieniędzy na dbanie o to, by nie pogwałcić tych czy innych przepisów.

Racjonalne w danym okresie sposoby ingerencji państwa w gospodarkę nie tylko nie były w odpowiednim momencie likwidowane, ale przedzierzgały się w chore działania o charakterze

---

<sup>57</sup> Zmarły w 2010 r. Joseph Sobran został na żądanie neokonserwatywnego lobby proizraelskiego na początku lat 1990-tych usunięty pod zarzutem rzekomego antysemityzmu z wszystkich mediów poza tradycyjnie konserwatywnymi (zwanymi paleokonserwatywnymi).

ideologicznym. Na przykład dobrze pomyślany program kredytów dla weteranów II w. św. zamienił się dekady później w źle pomyślany program kredytów mieszkaniowych dla osób najczęściej niezdolnych do jego spłacenia. Tak doszło do potężnego kryzysu finansowego w roku 2008. I jak zawsze w sytuacji kryzysu ekonomicznego czy finansowego, jego konsekwencje boleśnie dotknęły zwłaszcza klasę średnią, która także poniosła gros kosztów wyjścia z niego. Przykładów tego rodzaju można by podać więcej.

Co w dłuższej perspektywie jeszcze gorsze, państwo przestało być sterowne. Wiele rządowych agend odpowiada za to samo, jedna nie wie, co czyni druga, żadna nie widzi całości, która zwykle wykracza daleko poza ten jej wąski fragment, za który dana agenda odpowiada. Na samej górze tych agend jest prezydent i jest Kongres. I tu także nie jest lepiej. Prezydent z łatwością przejmując część kompetencji Kongresu, którego rola coraz bardziej ogranicza się do międzypartyjnych sporów, o podłożu raczej ideologicznym niż merytorycznym, nie mających nic wspólnego ze wspólnym wypracowywaniem ustaw służących dobru całego społeczeństwa. Prezydent odpowiada za politykę międzynarodową, ale administracja potrafiła – np. za prezydentury Donalda Trumpa – bojkotować jego decyzje i realizować politykę nie w pełni zgodną z prezydencką wolą.

Duża część społeczeństwa rozumie, że amerykański rząd – wszystkie jego gałęzie – nie reprezentuje jej interesów. Część ta wie, że rząd lekceważy i gwałci amerykańską tradycję społeczną i amerykańskie dziedzictwo, w tym dziedzictwo samorządności, wie też, że rządzenie nabrało charakteru społecznej inżynierii. Wie wreszcie, że taka sytuacja nie przeszkadza klasie, która na tym korzysta albo przynajmniej znalazła sobie wygodne miejsce w takim państwie, jakie dziś stanowi Ameryka. Jest to merytokracja – zamieszkała głównie na wschodnim (właściwie północno-wschodnim) i zachodnim wybrzeżu klasa ludzi z wyższym wykształceniem, najczęściej zdobytym na elitarnych uczelniach, klasa ludzi o wysokiej pozycji w swoim zawodzie. Tych dwóch wymienionych części narodu nic nie łączy. Może poza tym, że jedna i druga przeżywają swoje wewnętrzne społeczne kryzysy. W tej w ogromnej większości, która jest gorzej wykształcona, złe owoce może wydawać skądinąd uzasadniona frustracja i – jak widać – rośnie w niej odsetek osób upadających moralnie. Tej najlepiej (co nie znaczy dobrze) wykształconej powinna doskwierać świadomość, że nie ma w niej tej etycznej i duchowej pewności, nie ma etosu, który miałby się i byłby godny promieniowania na resztę narodu. Ci z pierwszej grupy, którzy wzięli udział w wyborach prezydenckich, zagłosowali na Trumpa, ci z drugiej na Bidena.

### **Dwa kraje**

Powtórzmy, w ciągu ostatnich dekad społeczeństwo amerykańskie uległo rozpadowi na jakby dwa kraje – pierwszy, obejmujący dorzecze Missisipi z Teksasem i częścią Południa na wschód od Teksasu, oraz drugi, obejmujący pozostałe stany USA. Pierwszy zamieszkały w większości przez nieuleczalny ciemnogród (według słów Hillary Clinton i w oryginale, *irredeemable deplorables*) i drugi, którego większość – merytokracja wykształcona na najlepszych uczelniach i jej akolici – nie odwołuje się już do Tradycji. Co gorsze, w obydwu tych „krajach” zbyt duża część amerykańskiego społeczeństwa straciła poczucie bezpieczeństwa – stabilnego i godnego życia w kiedyś własnym, a dziś według niej właściwie obcym państwie. I wszędzie, ale zwłaszcza tam, gdzie deindustrializacja zebrała największe żniwo – na środkowym zachodzie USA – widoczny segment biedniejszej części społeczeństwa dotknęła moralna degeneracja.

Jednocześnie jest prawdą, że rodzina, religia, partykularna kultura i lokalna autonomia ciągle opierają się zewnętrznemu nadzorowi i kontroli państwa oraz panujących „elit”. Starają się

trwać, wierne zasadom, które nimi zawsze rządziły. Ale przegrywają i więdną, ponieważ nie odpowiadają potrzebom systemu racjonalnego rozdawnictwa wolności i dobrobytu, zinstytucjonalizowanego na nowych zasadach przez liberalną demokrację. Ostać się mogą na tyle tylko, na ile mogą być przekształcone w towary konsumpcyjne lub przybory ułatwiające życie – na przykład religia jako narzędzie wspomagające przygotowanie do dorosłego życia i później zdyscyplinowane trwanie w liberalnym świecie. Jak pisał ważny i mądry krytyk liberalizmu James Kalb („The Tyranny of Liberalism”, 2008), styl życia zwykłych obywateli *został zburzony przez komercjalizm oraz zorganizowanie codziennego życia na sposób przemysłowy*<sup>58</sup> *przez państwo opiekuńcze oraz polityczną poprawność. Wymienione czynniki miały unieważnić tradycyjne wartości i tradycyjnie czynione rozróżnienia, tradycyjne instytucje i sposoby funkcjonowania we wspólnocie.*

*W efekcie zwykli ludzie zostają pozbawieni własnych i skutecznych instytucji odpowiadających potrzebom ich codziennego życia i degradują się coraz bardziej, by w końcu osiągnąć poziom biernego proletariatu. Życie rodzinne [coraz częściej – przyp. jk] ulega rozpadowi, religia staje się papką, osiedle coraz mniej przypomina prawdziwe osiedle ludzi stanowiących pewną wspólnotę, elektroniczna rozrywka propaguje zachowania coraz bardziej grubiańskie. Rozluźnieniu ulegają związki między ludźmi w miejscu pracy, ponieważ globalizacja zwiększa niepewność zatrudnienia, zaś wielokulturowość osłabia dawną wzajemną lojalność oraz zrozumienie między pracownikami.*

James Kalb odnotowuje bezradność człowieka wobec sytuacji, w jakiej się znalazł. Sam ów człowiek nie potrafi dobrze wyartykułować swoich żali. Rzecz w tym, że te żale nie dają się wyrazić w języku liberalnej racjonalności, i stąd są niejako z definicji irracjonalne. Tyrania liberalizmu jest łagodna – nie wrywa się człowiekowi języka, a tylko unieważnia lub skazuje na kpinę wszystko, co do dominującego liberalnego kanonu nie należy. Wszystko to co wykracza poza język i paradygmaty liberalizmu jest uznawane za wyraz braku tolerancji, nieracjonalną mowę nienawiści.

W swojej istocie – co już podkreślałem – problem zmiany języka, którym się posługuje wspólnota, sięga samych podstaw jej zdolności komunikacji. Przez narzucenie obywatelom (anty)kultury liberalnej demokracji współczesny język jest językiem amoralnym, językiem opisu a nie etycznej oceny, językiem, z którego wyrugowane zostały kategorie cnoty i grzechu, w którym człowiek nie ma możliwości wyrażenia swoich głęboko ludzkich tęsknot.

Zjawisko wykorzenia, o którym już tyle napisałem, dotyka nie tylko swoich protagonistów, lecz atakuje i niszczy całe społeczeństwo.

### **PS o dwóch, a może więcej krajach**

Dziewięć lat temu na łamach dwumiesięcznika *Arcana* streszczałem nową myśl państwową dla USA – a to znaczy myśl o nowej federacji, a może powstaniu wielu federacji i także państw niesfederowanych, w miejsce obecnego imperium – którą konsekwentnie i wówczas już od lat prezentował konserwatysta i filozof Donald Livingston.<sup>59</sup> O wręcz konieczności podziału obecnych Stanów Zjednoczonych pisał w swojej autobiografii z 1994 roku pt.

---

<sup>58</sup> Czym innym niż takim właśnie sposobem życia jest oddanie dziecka do przedszkola, nieomal całodzienna szkoła, codzienny posiłek w jakimś MacDonaldzie, lokalne sklepy zastąpione przez sieci hipermarketów oraz zniewolenie przez Internet?

<sup>59</sup> Por. wydana pod jego redakcją książka pt. *Rethinking the American Union for the Twenty-First Century*, 2012.



*Around the Cragged Hill* nie kto inny lecz wielki amerykański dyplomata, główny architekt zimnej wojny, George Kennan. Autorzy podzielający ten pogląd wskazywali na nieunikniony i trwały kryzys społeczny i ekonomiczny USA skutkiem osiągnięcia przez państwo centralizacji na skalę nie do utrzymania i niehumanitarnej. Sukcesy ekonomiczne krajów małych traktowali jako przykłady napawające optymizmem, oraz dowodzili, że podział USA może odbyć się zgodnie z amerykańskim prawem, a nie tylko leży w dobrze pojętym interesie społeczeństwa. Zastanawiali się nad właściwymi rozmiarami prawdziwych republik czerpiąc z historii nie tylko starożytnej Grecji ale przede wszystkim chrześcijańskiego Średniowiecza. Analizowali poglądy Ojców Założycieli, źródła tych poglądów oraz przyjmowane w XVIII wieku i później rozwiązania ustrojowe. Zwracali wreszcie uwagę, że dające się pomyśleć federacje utworzone z obecnych Stanów Zjednoczonych pozostałyby porównywalne pod względem ekonomicznym z innymi światowymi potęgami. Warto się tej myśli przyglądać z uwagą również dzisiaj, chociaż ostatnia dekada – co pokazuje też ta książeczka – przyniosła nie tylko pogłębienie kryzysu społecznego i instytucjonalnego w Ameryce, ale także nowe komplikacje o charakterze geopolitycznym i ekonomicznym.

## 12. Konserwatyści w Ameryce Bidena<sup>60</sup>

Co myśleć o kraju, w którym połowa głosujących – czyli 1/3 populacji obywateli uprawnionych do głosowania – jest za oddaniem najwyższych urzędów w państwie bezwstydnym zwolennikom zabijania nienarodzonych dzieci i pomyłonym mecenasom transgenderyzmu? Co myśleć o kraju, w którym cała prawicowa elita polityczna, ekspercka i medialna powtarza do znudzenia hasła ograniczonego rządu i wolnej przedsiębiorczości, wspólnie z lewicą dbając by hasła te przypadkiem nie wychynęły z trumien, gdzie pierwsze zostało złożone prawie sto lat temu a drugie nieco później? W którym prawicowa elita tym różni się od lewicowej, że wszystkie lewackie szaleństwa obyczajowe zgadza się wprowadzać wolniej niż chciałaby tego lewica? Kto w takim kraju pamięta jeszcze znaczenie słowa konserwatyzm?

Poświęcony konserwatyzmowi artykuł Bruce’a Frohnena, opublikowany w wydanej w 2006 roku przez renomowane wydawnictwo ISI Books *Encyklopedii amerykańskiego konserwatyzmu*, tak się zaczyna:

*Konserwatyzm jest tą filozofią [społeczną – przyp. jk], która stara się wspierać i ubogacać społeczeństwa charakteryzujące się szacunkiem dla odziedziczonych instytucji, wierzeń i praktyk, w których osoby doskonalą swój dobry charakter współpracując między sobą w takich pierwotnych i lokalnych związkach jak rodziny, kościoły i inne wspólnoty zorientowane na mnożenie wspólnego dobra na Bożą chwałę.*

Dalej czytamy, że konserwatyzm sprzeciwia się liberalnemu indywidualizmowi i nie jest przywiązany do jakiejś konkretnej formy rządów, byleby te wspierały wolność każdego w ramach potwierdzonego przez tradycję ładu społecznego, w zgodzie z Konstytucją. W artykule znajdujemy też takie stwierdzenia:

*Konserwatyści wierzą, że istnieje naturalny ład świata. Jego fundamentem jest prawo naturalne, które pozwala rodzajowi ludzkiemu wywieść ogólne reguły, jak ludzie mają kształtować swoje życie zarówno jako jednostki, jak i wspólnie z innymi.*

[...]

*Wizja konserwatywna jest mocno związana z tradycją chrześcijańskiego humanizmu, wedle którego każdy z nas ma prawo i obowiązek służenia Bogu poprzez realizowanie naszych powołań w codziennej wspólnocie z innymi.*

Poprzedni rozdział mówił o dojmującym kryzysie społecznym i instytucjonalnym Stanów Zjednoczonych. Społeczeństwo podzieliło się na dwie rozłączne i nie mające sobie nic do powiedzenia części, obydwie żyjące w ramach instytucjonalnych, które nie mogą już trwać. Ujmując problem w karykaturalnym skrócie, gdyby nie ten społeczny rozpad i kryzys instytucjonalny, nie byłoby ani Prezydenta Donalda Trumpa, ani Prezydenta Joe Bidena. Zaś ujmując rzecz inaczej, nie byłoby żadnego z tych prezydentów, gdyby wyżej przez Bruce’a

---

<sup>60</sup> Pierwotna wersja niniejszego rozdziału ukazała się na stronach portalu „Teologii Politycznej” 15 lutego 2021 r.

Frohna opisany amerykański konserwatyzm nie został dawno temu usunięty z politycznej sceny oraz nie umarł w umysłach i sercach zbyt wielu Amerykanów.

Hasłem, które wyniosło Donalda Trumpa do prezydentury i które mogło mu przynieść drugą kadencję przewodzenia amerykańskiemu imperium, było *Make America Great Again* („uczynimy Amerykę na powrót wspaniałą”, w domyśle, „dla nas, Amerykanów”). Ale jeśli spojrzeć głębiej, hasłem, które wyniosło Donalda Trumpa do prezydentury było inne, logicznie z nim związane i jaśniejsze w swej treści, które zresztą często powtarzał na spotkaniach z wyborcami – *the American Dream is dead* („Amerykańskie marzenie umarło”). Umarło marzenie, które powodowało dawnymi pokoleniami, szukającymi w Ameryce właściwego jej i niepowtarzalnego „amerykańskiego stylu życia” – godziwego życia w wolności, równości i możliwości zasłużonego społecznego awansu. To marzenie umierało razem z rosnącym poczuciem wyobcowania we własnym kraju, utratą pracy lub poczucia materialnego bezpieczeństwa, rozkładem lokalnych wspólnot i stąd się biorącym moralnym upadkiem zbyt szerokiego segmentu społeczeństwa. A że marzenia łatwo nie umierają, chodzi tu o proces, który trwał całe pokolenia.

Andrew Lytle, ważny reprezentant amerykańskiego Południa, tak pisał już w 1930 roku:

*[...] dążenie do szczęścia zostało zastąpione kręceniem się w kółko, pozbawionym nawet tej logiki, jaką kieruje się pies goniąc własny ogon.*

*Jest to sprawa konfliktu między ludźmi a nienaturalnym pokłosem geniuszu inwencji. Jest to wojna na śmierć i życie między techniką a zwykłym ludzkim funkcjonowaniem. Prawa do takiego funkcjonowania są naturalnymi prawami człowieka, ale dziś, w XX a nie XVIII wieku, są to prawa zagrożone po raz pierwszy w historii.*

*[...] jesteśmy świadkami spektaklu zaiste tragicznego: widzimy ludzi oszalałych pod wpływem własnej inwencji, zastępujących samych siebie nieożywionymi przedmiotami. Ostatecznie jest to moralne i duchowe samobójstwo, po którym nastąpi destrukcja fizyczna.*

Andrew Lytle i inni Południowcy byli przeciwni przemianom gospodarczym wymuszonym przez wielki pieniądź oraz wielki biznes. W soczewce ich krytycznych analiz skupiały się również przemiany społeczne i kulturalne. (W anglosaskim świecie podobnie do nich pisali wówczas angielscy dystrybucjoniści, wielki Gilbert Keith Chesterton i jego przyjaciel Hilaire Belloc.) Przemiany, które jak przystało na konserwatystów krytykowali, nie były skutkiem „wolnego wyboru” lub „sił rynkowych”, lecz świadomej polityki ekonomicznej, na przykład faworyzującej „agrobiznes” i urbanizację (później, w latach 50. XX wieku, słynne przesłanie Ministerstwa Rolnictwa brzmiało *get big or get out*, czyli „rośnij albo znikaj”).

Nowy Ład Franklina D. Roosevelta, a zatem pierwsza jaskółka państwa opiekuńczego, potem II wojna światowa nie były dobrym czasem dla konserwatyizmu. Po 1945 roku nastąpiła zimna wojna i przemysł wojenny musiał być rozwijany, tym sposobem co najmniej utrudniając powrót do zapisanych w Konstytucji idei ograniczonego rządu i federalizmu. Konserwatyści – z zasady niechętni interwencji wojskowej poza granicami swojej ojczyzny – od początku zimnej wojny zgadzali się, iż powstrzymanie komunistycznej inwazji na świecie jest koniecznością. Spory wewnątrz tego środowiska dotyczyły pytania, jak długo ma Ameryka wysyłać swoich żołnierzy na wojny na drugim końcu świata. Natomiast zdaniem senatora Barry’ego Goldwatera to już prezydent Eisenhower – niezależnie od dylematów związanych z prowadzeniem zimnej wojny – skapitulował przed naciskami Demokratów i zgodził się

kontynuować budowę państwa opiekuńczego, według konserwatystów rozwiązania ustrojowego nie do przyjęcia. Goldwater zwrócił już w roku 1960 uwagę na to, że istotą różnic dzielących Republikanów i Demokratów przestają być różnice programowe, a staje się to jedynie, że Republikanie będą wprowadzać w życie takie same programy socjalne, ale według nich lepiej i taniej. Wybitny Murray Rothbard przydał w 1967 roku swojej ojczyźnie miano państwa opiekuńczo-wojennego (*welfare-warfare state*).

I już wówczas kanadyjski myśliciel George Grant wyrzucał największym amerykańskim konserwatystom – nie wyłączając ich mentora Russella Kirka – naiwne niedostrzeżenie zmowy łączącej korporacyjny kapitalizm i wszechobecne państwo opiekuńcze. Jak pisał Grant, szefowie wielkich korporacji popierali w wyborach prezydenckich w 1964 roku Demokratę Lyndona Johnsona z jego wielkim programem państwowej opiekuńczości, zaś wołanie Goldwatera – jego republikańskiego konkurenta do prezydentury – o rządy ograniczone traktowali jak głos z zaświatów. Był to wszak głos nie odpowiadający korporacyjnemu interesowi – pewności rozwoju dawanej przez unitarne państwo opiekuńczo-wojenne.

W owym czasie nie było trudno mieć społeczeństwo państwowo-opiekuńczymi hasłami obiecując dostatek i dobrostan wszystkim, z państwem w roli sprawiedliwego gwaranta tychże. Pisał Grant:

*Amerykańskie wybory w 1964 dowiodły, że USA nie są społeczeństwem konserwatywnym. Stanowią imperium zapowiadające wiek postępu.*

W przekupionym społeczeństwie konserwatyzm nie mógł być w łasce. Wszelako, podobnie jak kłamstwo, przekupstwo ma krótkie nogi. Lata 1970-te przyniosły ekonomiczne kryzysy i nadeszła era prezydenta, na którego konserwatyści mogli liczyć – era prezydentury Ronalda Reagana. Niestety, na przekór zgoła rozsądnym oczekiwaniom lata 1980-te przyniosły proces głębokiego i trwałego przededefiniowania amerykańskiego konserwatyizmu.

Wierni swoim poglądom konserwatyści tamtej doby – później nazwani starą prawicą albo paleokonserwatystami (plus obecna w tym gronie garstka tzw. paleolibertarian) – zostali usunięci ze wszystkich wielkonakładowych czasopism opiniotwórczych oraz liczących się w politycznym świecie *think-tanków*. Na ich miejsce przyszli neokonserwatyści oraz ci z kręgów konserwatywnych, którzy za swoje przyjęli neokonserwatywne *credo* (jak np. tzw. chrześcijańska prawica).

Najkrócej mówiąc, neokonserwatywne *credo* to pochwała liberalnej demokracji z misją jej szerzenia na całym świecie, a zatem również pozostanie u władzy oligarchii finansowo-korporacyjnej. Zwłaszcza w dekadzie poprzedzającej inwazję na Irak w 2003 roku i do końca prezydentury George'a W. Busha misja szerzenia demokracji na Bliskim Wschodzie przebiegała zgodnie z preferencjami premiera Izraela Benjamina Netanjahu.

### **Szanse na przyszłość?**

Szczęśliwie, ani paleokonserwatyści nie byli nigdy jedynym środowiskiem ideowym (z politycznymi ambicjami) na prawicy, ani też nie trzeba było być paleokonserwatystą, by reprezentować orientację przynajmniej w miarę bliską konserwatyzmowi. Takie wpływowo i niezwiązane z neokonserwatystami środowiska istniały i istnieją, jak np. polityczni realisci, i także powstają środowiska nowe, niekiedy jeszcze szukające sobie miejsca na amerykańskiej scenie, jak *crunchy conservatives* Roda Drehera czy alternatywna prawica (*alt-right*).

Nonsensem byłoby zapomnieć o najpotężniejszych *think-tankach* na prawicy, takich jak American Enterprise Institute, Heritage Foundation czy Hoover Institution obrażając się na nie za to, że przyjęły w swoje szeregi neokonserwatystów, dysponują korporacyjnymi pieniędzmi albo przyznają stypendia dalekim od konserwatyzmu byłym politykom wysokiego szczebla. Czy tego chcemy, czy nie, mieć polityczne wpływy, proponować państwu polityczną strategię, to tyle co być zapleczem rządzącej oligarchii. I nie wyklucza to automatycznie możliwości działania dla dobra obywateli.

Wszyscy myślący badacze i analitycy z tych środowisk dobrze rozumieją głębię amerykańskiego kryzysu społecznego, i wszyscy widzą konieczność odbudowy lokalnych wspólnot – rodzinnych, kościelnych, osiedlowych, przyszkolnych, także związkowych (jeśli przypomnieć sobie, że związki zawodowe nie tylko zajmowały się – najczęściej pozornie – ekonomicznym dobrem pracowników, ale również stanowiły dla nich naturalne wspólnoty). Analizują sposoby oddania części państwa obywatelom, ekonomicznie rozsądne sposoby ułatwienia dostępu na studia oraz sposoby poprawy sytuacji na rynku pracy. Ośrodki analityczne pracują nad zaproponowaniem sposobów udrożnienia kanałów awansu ekonomicznego grup najuboższych oraz niższej klasy średniej. Na przykład podmioty lokalne – publiczne i prywatne – mogą współpracować na rzecz obniżenia kosztów ubezpieczenia zdrowotnego, kosztów studiów wyższych i dla najuboższych kosztów wychowania dzieci. Ważne jest, że chodzi tu o podmioty lokalne – chodzi o to, żeby działać nie gwałcąc zasady pomocniczości. Pracują też takie ośrodki nad propozycjami reformy amerykańskiego rządu federalnego.

Wszystkie te środowiska dbają, by ich tezy mieściły się w ramach tej myśli, której przydaje się dziś miano konserwatyzmu „odpowiedzialnego” – by były dalekie od nurtu uznawanego za skrajny, a taki rzekomo reprezentują wyklęci po wsze czasy paleokonserwatysty, np. oponując przeciw amerykańskiemu interwencjonizmowi na całym świecie. Ale nie ma to istotnego wpływu na wartość prowadzonych analiz, gdy o wewnętrzne problemy kraju chodzi.

Co niesłychanie ważne, może najważniejsze, do głosów doświadczonych badaczy dołączają młodzi, tworząc nowe i zasilając istniejące *think-tanki*. Oni wszyscy są dzisiejszymi konserwatystami, na polu tu opisanym myślącymi i działającymi niezależnie od tego, kto akurat zamieszkuje w Białym Domu i jaką politykę prowadzi.

Dziś można również pokładać jakąś nadzieję w rodzących się oddolnych i lokalnych ruchach odbudowy wspólnot społecznych, i przynajmniej w nich ożywieniu narodowej tradycji oraz wspólnego dziedzictwa. Chodzi o ożywienie takich lokalnych wspólnot, które przywrócą obywatelowi podmiotowość i odnowią jego poczucie odpowiedzialności za siebie i innych. To oczywiście zadanie na pokolenia, na razie wykonalne dla małych i na pewno nielicznych wspólnot.

Przed Ameryką długa i bardzo trudna droga do społecznej normalności albo krótsza do ostatecznej społecznej i kulturalnej klęski. Jeśli Ameryka będzie chciała tej klęski uniknąć, będzie musiała zająć się sama sobą, redukując swoje zaangażowanie na całym świecie.

### 13. Niechlubny koniec IV wojny światowej<sup>61</sup>

Ameryka dokonała inwazji na Afganistan 7 października 2001 roku i odsunęła od władzy Talibów, którą ci odzyskali po 19 latach i 10 miesiącach – 15 sierpnia 2021 roku weszli do Kabulu.

Prezydent Joe Biden był w czasie inwazji sił USA i NATO na Afganistan przewodniczącym Senackiej Komisji ds. Relacji Zagranicznych. Był tej inwazji gorącym zwolennikiem, uważał, że celem USA powinno być zlikwidowanie stacjonujących w Afganistanie przywódców Al-Kaidy, przede wszystkim samego Osamy Bin Ladena, i tym sposobem zadanie może śmiertelnego ciosu Al-Kaidzie, oraz odsunięcie od władzy talibów i doprowadzenie do wyłonienia się w Afganistanie nowego rządu. Był zwolennikiem inwazji lądowej, nie tylko bombardowań z powietrza, wystarczająco silnej, by osiągnąć wymienione cele. Opowiadał się za wspomoczeniem nowej władzy w odbudowie kraju i proponował wydanie na ten cel przez USA 1 miliarda dolarów.

Po swojej pierwszej podróży do Afganistanu stwierdzał w Senacie, iż *nie ma co mówić o uczynieniu z Kandaharu Paryża*, innymi słowy opowiadając się za programem tyleż twardym co realistycznym. Po pokonaniu talibów i wyłonieniu się nowego rządu należało Afganistan możliwie szybko zostawić samemu sobie przez jakiś jeszcze czas wspomagając jego odbudowę. W kwietniu 2021 r. przypomniał to wszystko jego ówczesny doradca, Jonasz Blank, na łamach magazynu *The Atlantic*. Blank jest zdania, że taki program mógł być z powodzeniem zrealizowany w ciągu paru lat, po czym nastąpiłoby wyjście Amerykanów z Afganistanu z tarczą w garści i poczuciem dobrze spełnionej misji, ale pod warunkiem skupienia się amerykańskich strategów na wypełnieniu tego tylko programu i mając do dyspozycji wystarczające siły zbrojne. Blank i inni komentatorzy przypominają, jak to w czasie swojej wizyty w Afganistanie w roku 2009 wiceprezydent Biden przerwał nagle spotkanie z prezydentem Hamidem Karzajem i opuścił salę, w której wspólnie spożywali obiad. Wychodził przekonany – i informację tę przekazał po powrocie prezydentowi Obamie – że sytuacja w Afganistanie jest zła i w najbliższym czasie ulegnie dalszemu pogorszeniu. Nie wykluczał wtedy możliwości poprawy tej sytuacji w dalszej perspektywie, ale było już tylko gorzej. Prawie wszyscy są dziś zgodni, że do wyjścia sił zbrojnych USA musiało wreszcie dojść, jakkolwiek operacja ta ujawniła potężny kryzys trawiący amerykańskie ośrodki władzy wojskowej, wywiadowczej i cywilnej.

Wspomniany artykuł Blanka w *The Atlantic* tak się zaczyna:

*Grzechem pierwotnym wojny w Iraku było pójście na wojnę z Irakiem. I to pójście na wojnę z Irakiem było grzechem pierwotnym wojny w Afganistanie.*

Dawny doradca Joe Bidena ma rację, gdy pisze, że na przełomie poprzedniego i tego wieku republikańska administracja państwowa, sam prezydent George W. Bush i jego otoczenie byli bardziej zainteresowani wejściem do Iraku niż do Afganistanu. I dlatego, pisze, afgańska operacja była prowadzona nie najlepiej od początku, zaś od inwazji na Irak stała się zadaniem o drugorzędnym znaczeniu. Co osiągnięto między październikiem 2001 r. i marcem 2003 r., a

---

<sup>61</sup> Pierwotna wersja niniejszego rozdziału ukazała się na stronach portalu „Teologii Politycznej” 6 września 2021 r.

mimo wszystko nie było to mało i można było liczyć na ostateczny sukces, zaczęło być szybko tracone.

Przełom XX i XXI wieku upływał pod znakiem budowania przez amerykański establishment polityczny, w którym rząd dusz sprawowali neokonserwatyści, „życzliwej hegemonii” USA nad światem. Ich celem pierwszym była przebudowa Bliskiego Wschodu, zresztą mająca być przeprowadzona środkami wojennymi. Najbardziej wpływowi z neokonserwatystów, Norman Podhoretz, mówił w kontekście tej przebudowy o IV wojnie światowej (trzecią miała być – taką nomenklaturę stosował inny ważny neokonserwatysta, Eliot Cohen – zimna wojna zakończona rozpadem Związku Sowieckiego).

Podhoretz miał na myśli tylko Bliski Wschód, ale przecież za wschodnią granicą Iranu, w Afganistanie, wojna toczyła się w chwili inwazji na Irak już półtora roku. Na te dwie wojny, ponieważ prowadzone były w głównej mierze przez armię tego samego najeźdźcy, wolno patrzeć wspólnie, tym bardziej, że miało chodzić o to samo – o wojnę z terroryzmem i tą złowrogą wersją islamu, która zagraża łaadowi światowemu.

Dzień po tragedii w World Trade Center, a więc jeszcze przed inwazją na Afganistan, inny wpływowi neokonserwatysta William Bennett powiedział w programie sieci CNN, że Kongres musi ogłosić wojnę przeciw wojownicemu islamowi i użyć do tego potężnej amerykańskiej siły militarnej. Bennett wymienił jako cel ataku na Bliskim Wschodzie Liban, Libię, Syrię, Irak oraz Iran. W ogóle nie wymienił Afganistanu, mimo że ten stanowił sanktuarium terrorystów Osamy Bin Ladena. (W roku 2007 były sekretarz generalny NATO gen. Wesley Clark ujawnił, że Sekretarz Departamentu Obrony USA przedstawił w 2001 r. memorandum, w którym planował zaatakowanie i wymianę rządów w wymienionych krajach Bliskiego Wschodu oraz w Somalii i Sudanie w ciągu 5 lat.)

Dwudziestego września 2001 r. czterdziestu najbardziej wpływowych neokonserwatystów wystosowało do Białego Domu list otwarty, instruujący prezydenta Busha jak ma wyglądać wojna z terroryzmem. List miał formę ultimatum. Aby zachować poparcie sygnatariuszy, oświadczono, prezydent musi wszcząć akcję przeciw Hezbollahowi, a także przeciw Syrii i Iranowi, jeśli te nie rozluźnią swoich związków z Hezbollahem, oraz musi obalić Saddama Husseina. Zaniechanie ataku przeciw Irakowi, ostrzegli Busha, *będzie wczesnym i być może decydującym poddaniem się w wojnie przeciw terroryzmowi.*

Opowiedzenie się neokonserwatystów za zbrojną przebudową Bliskiego Wschodu nie wzięło się znikąd. Miesiąc przed inwazją na Irak jeden z redaktorów *Washington Post*, Robert Kaiser, zacytował wysokiego rangą urzędnika administracji USA, który miał mu powiedzieć: *dziś tu rządzą poplecznicy Likudu.* Jako członków proizraelskiej sieci w administracji Kaiser wymienił Richarda Perle’a (w owym czasie doradcę prezydenta George’a W. Busha i szefa Rady Polityki Obronnej), Paula Wolfowitza i Douglasa Feitha (wiceministrów w Departamencie Obrony), Davida Wurmsera z Departamentu Obrony i Elliota Abramsa z Rady Bezpieczeństwa Narodowego (Abrams jest zięciem wspomnianego już Normana Podhoretza).

W roku 1996 Perle, Feith i Wurmser napisali dla premiera Netanyahu tekst pt. *Czyste zerwanie: Nowa strategia zabezpieczenia terytorium kraju.* Chodziło o zerwanie z duchem i literą porozumienia z Oslo (które były od początku równie chętnie gwałcone przez Autonomię Palestyńską Arafata). Konserwatywny komentator Patrick Buchanan przypominał w artykule z marca 2003 r., iż *wedle strategii Perle’a, Feitha i Wurmsera,*

wrogiem Izraela pozostaje Syria, ale droga do Damaszku wiedzie przez Bagdad. Przypominał też: *W roku 1992 przeciek sprawił, że do opinii publicznej dotarł ciekawy dokument z biura Paula Wolfowitza w Pentagonie. Memorial Wolfowitza wzywał do amerykańskiej stałej wojskowej obecności na sześciu kontynentach, by „odstraszyć potencjalnych konkurentów od podjęcia prób odegrania bardziej znaczącej roli globalnej lub lokalnej”.* Plan Wolfowitza został odrzucony za prezydentury George’a H. W. Busha, ale wrócono doń po ataku terrorystycznym z 11 września 2001 r.

Co pchnęło USA do rozpoczęcia budowy *Pax Americana* – „łagodnego” amerykańskiego panowania nad światem – poprzez kompletną przebudowę Bliskiego Wschodu w myśl interesów Izraela, tak jak te były pojmowane przez rządzący tam wówczas Likud? Co pchnęło w tę stronę prezydenta Busha juniora? Mimo że musiało być jasne, iż zaangażowanie wojskowe na Bliskim Wschodzie utrudni działania w Afganistanie? Mówiło się o wielu przyczynach, poczynając od planu zapanowania przez Amerykę nad większością złóż ropy naftowej oraz chęci powstrzymania nadchodzącej cichej inwazji islamu na wymierający Zachód. Zwracano uwagę, że Bush junior był reprezentantem tego utopijnego nurtu myśli protestanckiej, którego marzeniem jest zaprowadzenie raju na ziemi (jeszcze na przełomie wieków utożsamianego z liberalną demokracją). Jak już o tym wspominałem, pod koniec XX wieku myśl konserwatywną udało się neokonserwatyście zupełnie wyeliminować z rynku myśli politycznej. Polityczni realisci, również przeciwni utopii amerykańskiej „łagodnej hegemonii”, byli ignorowani. Koniecznie trzeba jeszcze wspomnieć, że proizraelska polityka amerykańskiej administracji miała mocne poparcie wśród rzesz republikańskich wyborców, *nota bene*, mające swoje arcyciekawe religijne źródło w chrześcijańskim syjonizmie wyrastającym z ewangelikalizmu i protestanckiego fundamentalizmu. Tym mianowicie, co łączy ewangelikalistów, którzy nie są religijnymi fundamentalistami, oraz protestanckich fundamentalistów jest dosłowne odczytywanie słów Pisma Świętego. Kiedy Biblia mówi o zapanowaniu Izraela na ziemi, katolik rozumie przez Izrael cały lud Boży, zaś wspomniani protestanci uważają, że mowa jest wyłącznie o Izraelczykach, i stąd ich obowiązkiem jest sprzyjanie izraelskiemu państwu. Chrześcijański syjonizm stracił na znaczeniu dzisiaj, ale jeszcze dwie dekady temu był dobrze widoczny w Ameryce.

Pierwszą przyczyną upokarzającej przegranej USA w Afganistanie było poddanie się przez polityczny establishment iluzji amerykańskiej wszechmocy, której przede wszystkim ulegli neokonserwatywni „poplecznicy Likudu”, iluzji podsycanej ideologią „demokratycznej krucjaty” oraz tragiczną w skutkach nieznamonością kultur innych ludów. Za tą przyczyną idzie cały legion innych, ale ich opisanie pozostawiam lepszym ode mnie komentatorom. Pozostawiam im także opisanie tej lekcji, jaka płynie dla polskiej polityki obronnej z rozsypania się w mgnieniu oka armii afgańskiej – niezdolnej do samodzielnego działania, ponieważ informacja bieżąca o teatrze działań wojennych i analiza wyprzedzająca dotycząca tego teatru pochodziły od Amerykanów.

Powtórzmy natomiast, że jakkolwiek do wyjścia sił zbrojnych USA z Afganistanu musiało wreszcie dojść, to operacja ta ujawniła potężny kryzys trawiący amerykańskie ośrodki władzy wojskowej, wywiadowczej i cywilnej. Osłabiła i tak już mocno nadszarpnięte zaufanie do Ameryki państw z nią sprzymierzonych. Rok 2021 i początek roku 2022 to okres niepewności i kłopotów administracji amerykańskiej w prowadzeniu polityki zagranicznej mocarstwa (zwłaszcza samego prezydenta Bidena). I tym samym zachęta dla Niemiec i Rosji, by osłabić pozycję USA w Europie.



## **Zapiski o Polsce**

**O polskim kryzysie społecznym, zapisek z listopada 2017  
(z dopiskiem z sierpnia 2020)**

**Obłęd udzielony**

19 października 2017 r. doszło do aktu samospalenia przed Pałacem Kultury i Nauki w Warszawie. Kilka dni potem mogliśmy na ekranach telewizorów obejrzyć garstkę osób oddających hołd nieszczęsnemu samobójcy. Jedna z osób, która brała udział w owym hołdzie, mówiła mi o jej „przerażeniu Polską”.

Obserwuję to, co dzieje się w Polsce, zwłaszcza w jej wykształconej warstwie z ogromnym smutkiem. Nie potrafię na to patrzeć inaczej, jak na owoc świadomej manipulacji ze strony niewielu złych ludzi, obłęd garsteczki oraz obłęd udzielony całej rzeszy (tu posługuję się nieco przenośnie terminem z dziedziny psychiatrii, kiedyś już użytym przez znanego psychiatrę w tygodniku „Do Rzeczy” Lisickiego; Wikipedia wyjaśnia, iż jest to stan, w którym osoba blisko związana z chorym zaczyna traktować bezkrytycznie paranoiczne myśli chorego).

Na razie pomijając tragedię i śmierć jednego biednego człowieka zapytajmy, dlaczego tak zgubiliśmy poczucie proporcji i zaufanie do siebie, do tego co widzimy, czego doświadczamy i czego nie doświadczamy? Za iloma rogami ulic w Warszawie dybią na nas narodowo socjalistyczne bojówki? Albo bojówki żądnych krwi antysemitów spod innych bander? Które do tego cieszą się cichym poparciem PiS i jego rządu. Kto z nas, naszych bliskich lub dalekich został uprowadzony w środku nocy przez siepaczy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, mimo że żadnej w nim nie było winy? Czy ktoś, kto nie gwałcił porządku publicznego, został aresztowany albo wyrzucony z państwowej posady za udział w marszu KOD? Czy zaaresztowane zostały kawiorowe socjalistki za wrzaski w czasie, gdy prezydent Donald Trump czcił w Warszawie pamięć bohaterów Powstania Warszawskiego?

A przecież niektórzy z nas opowiadają i rozpisują się o strachu, jaki w nich wzbudza obecna władza państwowa. Trudno to pojąć.

Zgoła rozsądnie wszyscy dostrzegamy nawet nie tyle arogancję władzy, co bezceremonialne wykorzystywanie wygranej w demokratycznych wyborach. To może nas frustrować albo cieszyć, albo pozostawiać obojętnymi. Ale reagować na tę bezceremonialność tak, jak się obecnie reaguje, to naprawdę obłęd udzielony. Obłęd albo nieuczciwość. Przecież PO (PO-PSL) zachowywało się dokładnie tak samo! I wtedy reakcja była z naszej, społecznej strony, w miarę zdrowa – jedni się cieszyli z rządów PO, inni czuli frustrację, jeszcze inni patrzyli obojętnie, ponieważ wiedzieli, iż takie są prawa demokracji. Przypomnę, że było o co mieć żal do PO i nie sposób było nie widzieć społecznej bezradności wobec jej posunięć – żal o zamiatanie pod dywan konkretnych afer, widoczne gołym okiem aferalne stosunki w polskiej gospodarce i biznesie, lekceważenie społecznych akcji zbierania podpisów pod projektami ustaw, i nade wszystko butę w Sejmie (każdy dzień w Sejmie pokazywał, że tam nie przechodzi nic, ale to nic, czego PO nie chce; ja sam byłem parę razy na posiedzeniach różnych komisji sejmowych i to, co widziałem oraz czego sam doświadczyłem w odpowiedzi na moje pytania, było widowiskiem żenującym, choć dla mnie zupełnie zrozumiałym – koalicja PO-PSL miała większość głosów i przeto posiedzenia były niewiele znaczącym rytuałem).

W drugiej połowie listopada "Rzeczpospolita" podała wynik ankiety, w której jedno z pytań brzmiało: czy zgadzasz się, że Marsz Niepodległości w Warszawie 11 listopada był wyrazem patriotyzmu z ekscesami antysemitycznymi, antymuzułmańskimi, rasistowskimi tylko na marginesie tego wydarzenia? Ponad 43% ankietowanych odpowiedziało TAK i ponad 43% odpowiedziało NIE. Zakładam, że ankieta była przeprowadzona na reprezentatywnej próbie losowej. Zabrakło niestety pytania równie ważnego: na jakiej podstawie opierasz swoją odpowiedź - czy na podstawie swojej obecności na tym marszu, czy na przekazie medialnym i jeśli tak, to czym, a jeśli na innym źródle, to jakim?

Dlaczego piszę "zabrakło"? Niektórzy z moich młodych znajomych uczestniczą w Marszach Niepodległości rokrocznie (ja czuję się na długie marsze zbyt stary). Uczestniczą, ponieważ są patriotami – i najczęściej katolickimi konserwatywnymi liberałami – zaś 11 listopada od „zawsze” był dla nich świętem, przy okazji którego ten patriotyzm warto we wspólnocie zmanifestować. Brzydzą się antysemityzmem i, szerzej, rasizmem. W tym roku nieopodal manifestacji znalazła się moja żona, która zobaczyła wielu ludzi, bardzo często całe rodziny idące na Marsz – sama była z małymi wnukami tylko na defiladzie wojskowej. Ja obejrzałem relacje we wszystkich kanałach informacyjnych. Obejrzałem także opublikowaną w Internecie relację z całego marszu, powstałą dzięki kamerze umieszczonej w jednym miejscu (bodaj na początku Mostu Poniatowskiego). I nie mam wątpliwości, że np. przewodniczący PO Grzegorz Schetyna śmiertelnie obraził 60 000 minus nie więcej niż 1 000 uczestników Marszu. Obraził Polaków z Polski tolerancyjnej, mądrze otwartej na przybyszów, z Bogu dzięki dość żywą jeszcze kulturą katolicką. I jestem zatem pewien, że większość owych 43%, które prawie zgodziły się z przewodniczącym PO, oparły swój osąd na niechętnych PiS (manipulatorskich) mediach.

A gdy chodzi o nieszczęsnego samobójcę. To siewcy chorej nienawiści zawrócili mu w głowie i skłonili do jego zupełnie absurdałnego czynu (tak jak ileś lat temu ci sami źli ludzie zawrócili w głowie zabójcy działacza PiS). Katechizm Kościoła (n. 2280 do n. 2283) wyjaśnia, dlaczego nie wolno nam targać się na swoje życie, dlaczego niekiedy ten grzech przeciw ludzkiej naturze jest lżejszy i dlaczego Kościół ma się modlić za samobójcę. Ale uczcić jego pamięć mogli tylko ludzie skażeni obłędem udzielonym. Należy się cieszyć, że ów obłęd nie pchnął ich samych do zbiorowego samobójstwa.

Nie pojmuję, dlaczego wielu z nas nic nie mówi żaloszny poziom tzw. totalnej opozycji. Dlaczego nie dostrzegają, że samo pojęcie "totalna opozycja" oznacza sprzeciw wobec państwa, a zatem z istoty swej jest to opozycja antypaństwowa. I tak właśnie się opozycja zachowuje. A ludzie jej wierzą! Znajomi pytani o tę kwestię odpowiadają, że są totalną opozycją wobec obecnie rządzących. I wytaczają przeciw rządzącym armaty najczęściej ładowane pociskami dezinformacji i manipulacji dostarczonymi im przez liderów opozycji oraz stronicze media. Naprawdę niełatwo to pojąć.

### **Monteskiuszowski trójpodział władzy**

Na przykładzie związanym z usytuowaniem władzy sądowniczej w państwie. Początkom rządów PiS towarzyszył spór o Trybunał Konstytucyjny, najpierw spowodowany niewątpliwie nagannymi działaniami prezesa Rzeplińskiego i większości sędziów Trybunału Konstytucyjnego pod koniec rządów PO-PSL, a potem brutalną zmianą składu Trybunału za rządów PiS.

Totalna opozycja podniosła alarm, iż urzędująca władza gwałci Konstytucję, w szczególności uderzając w niezawisłość sędziów i, szerzej, obalając monteskiuszowski trójpodział władzy z

niezależnym sądownictwem jako jedną z jego gałęzi. Zgodny chór opozycji występującej w obronie rzekomo monteskiuszowskiego trójpodziału – w tym prezesa Trybunału Konstytucyjnego w latach 2006 – 2008 – musiał zaszokować każdego, kto kiedyś zaglądał do dzieła Monteskiusza „O duchu praw”. Monteskiuszowski trójpodział władzy nie czynił władzy sądowniczej jednym z członów władzy politycznej. Była to władza tożsama z wymiarem sprawiedliwości i jako taka nie mająca charakteru władzy politycznej. Była rozumiana jako część władzy wykonawczej, niezależna w pełnieniu swojej sędziowskiej roli od którejkolwiek z władz politycznych – władzy ustawodawczej oraz „właściwej” władzy wykonawczej.

W owej dobie nikomu nie mogło przyjść do głowy, by sędziowie mogli kontrolować władzę ustawodawczą, np. orzekać o konstytucyjności albo nie ogłaszanych ustaw. Nie mogło to jeszcze przyjść do głowy Ojcom Założycielom USA, ale już w roku 1803 zaszła swoista rewolucja. W tym to roku prezes Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych John Marshall – w skądinąd arcyciekawie przez niego przeprowadzonym wywodzie w sprawie Williama Marbury’ego przeciwko Jamesowi Madisonowi – uznał za prawnie uzasadnioną i wprowadził w życie możliwość orzekania przez Sąd Najwyższy o niekonstytucyjności ustaw przyjmowanych przez amerykański Kongres. I to dopiero wtedy władza sądownicza stała się jedną z gałęzi władzy politycznej, a mianowicie przez przyznanie jej roli kontrolera władzy ustawodawczej.<sup>62</sup>

### **Chora interpretacja niezależności władzy sędziowskiej**

Właśnie opisane fałszowanie historii – przyznać trzeba, powszechne – błędnie w porównaniu z narzucaną przez opozycję interpretacją niezależności władzy sądowniczej. Utożsamianie niezawisłości sędziowskiej, koniecznej dla prawidłowego funkcjonowania państwa prawa, z niezależnością władzy sądowniczej od innych gałęzi władzy politycznej jest ewenementem na skalę światową. Przecież brak w państwie, w którym istnieje podział władz, jakiegokolwiek kontroli nad którąś z jej gałęzi jest zupełnym nonsensem – grożącym bezkarną destabilizacją państwa, zwłaszcza gdy ma to dotyczyć sądowniczej kontroli nad władzą ustawodawczą.

Dlatego to w takich państwach mamy systemy wzajemnej kontroli i równowagi, których historia sięga starożytnej Grecji. I dlatego niektórych sędziów nominują parlamenty albo prezydenci państw, przy czym każda taka nominacja dokonywana przez jedną z tych gałęzi władzy musi zostać zatwierdzona przez drugą. Na przykład w USA w gestii prezydentów pozostaje nominacja bez mała 850 sędziów federalnych (dany prezydent dokonuje nominacji na akurat powstałe wakaty, np. prezydent Obama nominował ich 325). Dlatego też np. w USA Kongres może postawić w stan oskarżenia nie tylko prezydenta państwa, ale również każdego sędziego Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych.

Obecne protesty dotyczące upolitycznienia wyboru sędziów na najwyższe stanowiska sędziowskie w państwie są w najlepszym razie naiwne i już z tej przyczyny pobawione sensu. Rzeczona „upolitycznienie” jest i nieuniknione, i ... konieczne, ponieważ wynika z samej istoty działania państwa, i jest przeto obecne we wszystkich państwach UE. Jest inną sprawą, jak konstytucyjnie zagwarantować, by wzajemna kontrola trzech gałęzi władzy realizowana

---

<sup>62</sup> Przypis dodany 3 lutego 2022 r.: Znakomity opis historii władzy sędziowskiej i sądowniczej, poczynając od czasów biblijnych, znalazłem później w wykładzie prof. Zbigniewa Stawrowskiego pt. „O władzy sędziowskiej i władzy sądowniczej”; p. *Wykłady w Trybunale Konstytucyjnym z lat 2017-2018*, Warszawa 2018, s. 163-180, oraz *On the Power of Judges and Judicial Power*, w: *Lectures at the Constitutional Tribunal 2017-2018*, Warszawa 2018, s.181-198 – wydanie dwujęzyczne.

była w ramach równowagi między tymi gałęziami, a nie przewagi jednej gałęzi nad pozostałymi.

### **Władza sądownicza i polityczne klótnie**

Zapewne lepiej miałyby się społeczeństwa Zachodu, gdyby sędzia Marshall nie wymyślił instytucji władzy sądowniczej, mającej prawo orzekać o konstytucyjności albo nie ustaw uchwalonych przez władzę ustawodawczą. Mało znanym jest faktem, że sędzia Sądu Najwyższego stanu Pensylwania, John Bannister Gibson, uznał nastanie tej władzy za błąd już w 1825 roku. W skądinąd niezbyt ważnym procesie, jaki toczył się przed SN Pensylwanii, dał znakomity wykład, dlaczego absurdem jest wymienione uprawnienie Sądu Najwyższego USA. Wykładał, że SN ma orzekać jak działać zgodnie z prawem, ale nie w jakimś sensie je stanowić. Prawo ustanowione przez władzę ustawodawczą jest prawem i kropka. Obywatel, który wybiera ową władzę, ma prawo uznać, że ustawodawca popełnił błąd i wydał złe prawo, i w kolejnych wyborach wybrać sobie innego ustawodawcę. Tak stanowi Konstytucja Stanów Zjednoczonych. Ale też Konstytucja nigdzie nie przyznaje uprawnienia do nieuznania woli ustawodawcy Sądowi Najwyższemu USA. Nie chcąc tego sędzia Marshall przewrócił porządek konstytucyjny Stanów Zjednoczonych, co mniej niż półtora wieku później pozwoliło SN USA zacząć narzucać narodowi prawo, jakie jemu – SN USA – a nie np. ustawodawcom stanowym odpowiadało. Ale to jest problemem Ameryki.

Nam niech wystarczy ta prosta obserwacja, że i w USA, i w innych krajach, w których istnieją Trybunały Konstytucyjne, nie tylko w Polsce, ich istnienie jest, by tak rzec, mocno konfliktogenne. Niedawno temu we Włoszech kilku sędziów, bodaj trzech, wybierał parlament do ich włoskiego odpowiednika naszego TK przez niespełna 2 lata, tak się bowiem posłowie do parlamentu kłócili, i w końcu wyboru sędziów dokonali na trzydziestym którymś posiedzeniu temu wyborowi poświęconemu.

I jeszcze jedna uwaga. Pod pewnymi względami polski spór AD 2015 przypominał ten już wspomniany z 1803 roku w USA. Polecam Czytelnikom, którzy historii tamtego sporu nie znają, by się z nią zapoznali. To jedna z wielu dobrych lekcji, jak się w realnym świecie uprawia polityczną walkę, ostrą ale wolną od popadania w histerię i opowiadanie banialuk.

### **Dopisane w sierpniu 2020 roku**

PiS-owscy siepacze nie załomotali do drzwi, trzeba zatem było zmienić narrację. Polityczny plan totalnej opozycji został uproszczony – bez szukania pretekstów, odwoływania się do takich czy innych, prawdziwych czy fałszywych racji, przyjęto regułę, że wszystko co proponuje obecna władza państwowa jest złe. Mogło być dobre, gdy to proponował poprzedni rząd, ale jest złe, gdy to samo chce wprowadzić w życie obecny.

Prawdę mówiąc, jeśli nie ma się żadnych konstruktywnych propozycji, nie jest to zła taktyka. Człowiek nie musi być ofiarą obłądu, wystarczy, że nie dość głęboko interesuje się – co jest zupełnie naturalne i jest typowe – sprawami polityki i gospodarki, by stracił zaufanie do rządzących. Nawet jeśli – jak dotąd – państwo nieźle sobie radzi ze stojącymi przed nim wyzwaniem. Przy braku realnej alternatywy, jasnej i konstruktywnej krytyki posunięć władzy, obywatel zostaje skazany na przekaz niespójny i doskonale niejasny, dwubiegunowy – jedni mówią, że nie można rządzić lepiej, drudzy, że nie może być rządów gorszych niż obecne. Rodzi się konfuzja i złość, zbyt wielu nie zwraca uwagi na brak pomysłu totalnej opozycji co zrobić, by państwo uczynić mocniejszym, lepiej zorganizowanym, z mocniejszą gospodarką, i dołącza do przeciwników obecnej władzy. Smutną ilustracją społecznej konfuzji i upadku kulturalnego jest stale rosnąca liczba barbarzyńców obydwu płci w

sejmowych ławach, pełnych buty i coraz głośniejszych. Jest inną sprawą, czy istnieje łatwe wyjście z odnotowanego tu kryzysu politycznego, ale o tym parę słów w następnym rozdziale.

15.  
**O państwie polskim AD 2020**  
**(zapisek z maja 2020 z dopiskami z 2021)**

Dwanaście lat temu, gdy zaczęły się rządy Donalda Tuska po upadku rządu Jarosława Kaczyńskiego było już aż nadto jasne, że nasze państwo skazane jest na słabość sięgającą samej jego istoty (nie inaczej jest na Zachodzie, ale w dużej mierze z innych przyczyn). Na zbudowanie sprawnego państwa można było mieć jakąś nadzieję w 1989, ale krótko, chociaż człowiek żył złudzeniami przez czas jakiś. To było wpisane w system powstały w 1989. Tak to wtedy widziałem (cytuje nieco skrócony list, który wysłałem do redakcji *Rzeczpospolitej* w kwietniu 2008, ale się tam nie ukazał):

**Zapisek z 2008 r.**

Państwo polskie przestaje być sterowne. Problem nie leży dziś w tych czy innych osobach sprawujących władzę, odpowiedzialnych za państwo w chwili obecnej, winny jest system budowany mniej lub bardziej konsekwentnie nieomal od 1989 roku. Warto sobie jasno zdać z tego sprawę dyskutując o skądinąd arcyważnych reformach.

Premier Donald Tusk podkreśla, iż jest zwolennikiem fundamentalnych i niezbędnych reform w służbie zdrowia, nauce i szkolnictwie wyższym oraz edukacji szkolnej, o finansach nie mówiąc. Doskonale świadomi ich potrzeby są ministrowie, zarządzający czterema wymienionymi resortami. Jako naukowiec od dłuższego już czasu zaangażowany w działania na polu organizacji nauki, chociaż na niskim szczeblu, mam dość doświadczeń, by móc stwierdzić wysokie kompetencje kierownictw departamentów Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Zgadza się też z ogólnym kierunkiem proponowanej przez MNiSW reformy nauki i szkolnictwa wyższego, zarysowanemu przez specjalnie powołany przez panią minister zespół doradców. Wszakże i te kompetencje, i determinacja reformatorów wiele nie przyniosą. System państwowy, w ramach którego ma być przeprowadzona ta reforma, i wszystkie inne reformy, nie pozwoli na żadne zmiany zasadnicze, a takie właśnie zmiany muszą leżeć u podstaw wspomnianych reform, jeśli polskie społeczeństwo ma uniknąć degradacji kulturalnej i zdrowotnej. Jest zaś coraz więcej dowodów, że władze zgadzają się być niewolnikami owego systemu – w zasadzie chcą prawdziwych reform, ale decydują się zachować warunki uniemożliwiające ich efektywne przeprowadzenie.

Suwerenna Polska powstawała jakby na dwóch filarach, ekonomicznym i politycznym. Trzeci filar, aksjologiczny, odwołujący się do polskiej tożsamości i historii, został świadomie od samego zarania III RP praktycznie wyeliminowany. Z czasem, niestety, filar polityczny – czytaj klasa polityczna – uzurpatorsko uznał się za fundament całości, co prawda szczęśliwie starając się raczej korzystać z rozwoju ekonomicznego niż go niszczyć. Klasa polityczna okazała się zadziwiająco zgodna, gdy chodzi o poziom interwencjonizmu i opiekuńczości państwa, jakby wszyscy pochodzili z tej samej szkoły utopijnego socjalizmu. Na pewno nie wszyscy byli socjalistami. Niektórzy mogli uznać socjalistyczne elementy państwa za zło wszechobecne w Europie i tym samym nieuniknione, innym mogło uderzyć do głowy poczucie władzy – im więcej pieniędzy zabranych obywatelom i oddanych państwu, tym większa władza klasy politycznej. Tym chętniej zatem obiecywano gruszki na wierzbie w rodzaju publicznej, czyli bezpłatnej, ochrony zdrowia i szkolnictwa wyższego, czyniąc je w odbiorze społecznym prawami „konstytucyjnie zagwarantowanymi”. A kiedy udało się zbudować system publicznej ochrony zdrowia wprawdzie nie zdający początkowo egzaminu, ale dający się jako tako zracjonalizować – myślę o reformie firmowanej przez rząd premiera

Buzka – wystarczyła w kolejnym rządzie chorobliwa pewność siebie jednego ministra, by służbę zdrowia zdeorganizować tak, iż Polak nie zobaczy już nawet pozorów jej poprawy bez sprywatyzowania istotnej części tej służby. I oto, mimo że sytuacja zaczyna być tragiczna, obecny rząd – który na pewno zdaje sobie z tej sytuacji sprawę – boi się rzecz nazwać po imieniu.

Szkolnictwo wyższe jest w sytuacji nieporównanie lepszej, chociaż bardzo złej<sup>63</sup>, ale i tu rząd boi się myśli o odpłatności za studia w uczelniach publicznych. Pytany, odpowiada, że ankiety pokazują wyraźną niechęć obywateli do idei takiej odpłatności, jakby nie zauważając, iż zdanie obywateli w tej kwestii nie powinno mieć żadnego znaczenia – jeśli już obywateli o coś pytać, to tylko o to, czy chcą upadku polskich uczelni (albo upadku służby zdrowia) dodając, że rząd wie jak rządzić i jak ewentualnie do owego upadku nie dopuścić.

Paradoks na tym jednak polega, że rząd zachowuje się zgoła racjonalnie wczytując się w ankiety podobne do wspomnianej. Przecież to samo robią wszystkie partie akurat nie będące u władzy, które tylko czekają na okazję do oczernienia partii rządzącej w oczach obywateli (swoją drogą, po dwóch latach nie przebijającej w środkach nagonki na PiS, PO musi drzeć przed rewanżem i modlić się do mediów o ich dalszą przychylność). Taki to już mamy system, zresztą nie tylko my.

Jego znakami rozpoznawczymi jest partyjniactwo i coś jeszcze gorszego – monopolizacja władzy nad społeczeństwem w rękach wąskiej klasy politycznej. Władza ta osiągnęła rozmiary absurdalne i jest nie do udźwignięcia przez polskich polityków i ich zaplecze administracyjne. Państwo podjęło się opieki nad wszystkim i nad wszystkimi, łupi pracobiorcę i pracodawcę, opodatkowuje co tylko się da, a i tak pieniędzy nie wystarcza ani na ochronę zdrowia, ani na szkoły i uczelnie, ani na naukę. Zarządzanie tymi sferami wymaga ich w dobrym sensie urynkowania i równocześnie poważnego dofinansowania. A na to pomysłu nie ma.

Tymczasem więc najzdolniejsi młodzi ludzie emigrują po skończeniu studiów, mimo że gdyby można im było zapłacić godziwe pensje, zostaliby w Polsce, ponieważ mamy w kraju ośrodki wprawdzie nieliczne, ale o renomie prawdziwie światowej. Lekarze wyjeżdżają do pracy za granicą bez względu na wiek. W szkołach coraz mniej uczy się przedmiotów zupełnie podstawowych dla kultury i myśli – polskiego, historii i matematyki.

Rząd zachowuje się tak, jakby nie umiał postawić przed sobą celów strategicznych, może dlatego, że te musiałyby zaprzeczyć zastanej logice zbudowanego w Polsce systemu politycznego. O pracy Sejmu lepiej nie mówić.

---

<sup>63</sup> Przełom wieku XX i XXI przyniósł uczelniom i nauce niepowetowane straty. W roku 1991 miało miejsce pierwsze drastyczne obniżenie wydatków państwa na naukę. Początkowo planowano przeznaczyć na ten cel 9,7 bln zł (to były inne złotówki niż teraz, szalała inflacja), czyli trochę mniej niż w roku 1990, ale w ciągu roku sumę tę jeszcze zmniejszono do niecałych 7 bilionów zł, czyli do nakładów w wysokości 0,76% produktu krajowego brutto (PKB). A potem było jeszcze gorzej: poniżej 0,5% PKB w 1995 r., 0,41% w 2000 r., 0,30% w 2005, i odtąd lekki wzrost: 0,39% w 2012 r., 0,43% w 2017 r. Razem z pozabudżetowymi środkami na naukę dawało to wówczas poniżej 1 proc. PKB (średnia unijna to prawie 2 procenty, Finlandia i Izrael wydawały wtedy na naukę około 4% PKB, ale na to nas rzecz jasna nie było stać). Nakłady na szkolnictwo wyższe wyglądały podobnie, tyle że – mówiąc z grubsza – były to, ponieważ musiały ze względu na licznosc kadry, nakłady około dwukrotnie wyższe.



Nie rokuje to dobrze ani ochronie zdrowia, ani szkolnictwu wyższemu, ani szkolnictwu. Można mieć nadzieję na nieco lepszą sytuację nauki, ale to dzięki funduszom europejskim, które mogą trochę poprawić jej finansowanie w najbliższych latach przy jednoczesnym wprowadzeniu przez państwo elementów dobrze pojętej konkurencji między ośrodkami naukowymi.

Częstkowe reformy mają szansę, należy więc o nich dyskutować i je podejmować. Niestety, reformy większe i tym samym nieporównanie bardziej potrzebne wymagają zmian systemowych – w tym rewolucji w finansach państwa i w prawodawstwie – ale nie widać dla nich szans. Zaś czas ucieka.

### **Z powrotem w 2020r., czyli c.d. partiokracji**

Od tamtego czasu zmieniło się wiele i ... niewiele. Uboższym warstwom społecznym, które poniosły największe ofiary w okresie transformacji ustrojowej, zwrócono godność i poprawiono ich sytuację ekonomiczną. Rząd Zjednoczonej Prawicy podjął odważne inicjatywy, o których jeszcze wspomnę, ale ustrojowe fundamenty państwa pozostały takie same.

Gdy dawno temu wybuchła afera z aresztowaniem dra G. za wzięcie iluś piór wiecznych, koniaków, paru setek PLN, nie miałem wątpliwości, że zaaresztować należało nie jego, lecz Sejm ówczesnej i wszystkich wcześniejszych kadencji (od 1989 r.) – za to, że tylko w chorym państwie lekarza można w ogóle skorumpować, a już zwłaszcza tak łatwo. Tą chorobą jest partiokracja, można rzec, partyjniacki charakter państwa, ostatecznie utrwalony przez niepowstanie rządu PO-PiS w roku 2005.

Dalej piszę w telegraficznym skrócie, uprzedzam i przepraszam, nie unikając sformułowań ostrych, jeśli nie obrazoburczych.

1. Wiele było racji w stwierdzeniu min. Bartłomieja Sienkiewicza, że państwo polskie istnieje teoretycznie. Miałem do niego pretensję, że mimo to nadal pobiera pensję ministra, ale ktoś poradził mi bym uznał, iż jest to gratyfikacja za właściwą diagnozę.
2. Różne są drogi do zniszczenia republiki, jak pokazuje historia, wejście na którąś z nich jest nieuniknione. Amerykańscy Ojcowie Założyciele, słabo w Europie znani myśliciele z amerykańskiego Południa, wcześniejsi i dobrze znani myśliciele europejscy, w tym Polacy, przed nimi mądrzy Grecy, Rzymianie pisali, że republika musi stać cnotami może i nielicznymi, byle rządzącymi. Machiavelli próbował jakoś ten dylemat obejść, po nim inni, ale nie mogło się to udać. My wybraliśmy paraliż państwa przez partyjniactwo.
3. Koniec II wojny światowej nie przyniósł Polsce wyzwolenia. Hitler, Stalin i jego namiestnicy prawie wytrzebili warstwę obywateli zdolnych myśleć w kategoriach dobra państwa, postkolonialny typ polskiego społeczeństwa i najczęściej wasalnej polskiej władzy od 1989 roku, zachowanie u władzy agentury oraz ludzi dawnego UB, niedawnego WSI i postkomunistów, wszystko to czyniło, że nie sposób było liczyć na zbudowanie silnej i zdrowej III RP.
4. Niezależnie od tej naszej specyfiki Polska nie miała wyjścia, musiała przyjąć system państw liberalnej demokracji. Polska została w ten sposób skazana na państwo partyjniackie, w którym priorytetem jest walka o dobro partii (jeśli jednocześnie jest to walka o dobro państwa, to dlatego, że sprzyja to pozostaniu partii u władzy, przy czym nie przeczy to temu,

że samo kierownictwo partii może dobro państwa stawiać na pierwszym miejscu – jak moim zdaniem rzecz się ma w przypadku większości rządzących koalicjantów). W Polsce pojawiały się próby wyjścia z tego klinczu, ale nie mogły się powieść, choćby dlatego, że nie leżały w interesie obcych państw. Zaś państwo partyjniackie jest skazane na powolny paraliż m.in. przez własną indolencję. W Polsce upadek następował szczególnie szybko przez zupełny brak klasy politycznej (posiadanie tylko garstki polityków z prawdziwego zdarzenia, z których niektórzy już nie żyją) – patrz poziom dzisiejszych sporów politycznych, które mają formę prymitywnych nawalerek, patrz też poziom wyłonionych w 2020 nowych kandydatów na prezydenta(!) państwa, wcześniej „ciepła woda w kranie”, wymyślenie i wprowadzenie do klasy politycznej np. p. Palikota, desygnowanie na premiera czy marszałka Sejmu pań, których nazwisk nie wspomnę. Wojna wypowiedziana przez Donalda Tuska Prezydentowi Lechowi Kaczyńskiemu państwo nieomal dobiła.

5. Polska potrzebuje restartu (dziś powiemy „resetu”). Kiedyś byłby to zamach stanu, dziś rzecz niemożliwa.

6. Generałowi Franco należy się szacunek za przynajmniej dwie rzeczy godne męża stanu (zostawiając na boku ocenę jego zręcznej gry z Hitlerem): zwycięstwo nad komunistami i innymi, którzy stanęli po stronie bezbożnej republiki (choć nie wolno zapomnieć o okrucieństwach, jakich w owym czasie doznały dziesiątki tysięcy Hiszpanów, częściej ze strony frankistów) oraz jego rozumienie idei demokracji organicznej i tej idei realizację. Kiedy poznawałem ten fragment hiszpańskiej historii nie wiedziałem, że dzisiaj powiem: Polsce przydałby się jakiś wariant hiszpańskiej organicznej demokracji.<sup>64</sup> Ale dziś wymagałoby to zamachu stanu.

7. Liberalna demokracja się wali, przed Zachodem wielkie zmiany, dziś zdają się zmierzać w stronę osłabienia państw i wzrostu roli innych, niepaństwowych podmiotów. Takie trendy są dziś wzmacniane przez moźnych świata Zachodu (takich jak Klaus Schwab, George Soros czy grupa Bilderberg). I to wzmacnianie będzie trwało bez względu na to czy wybuchnie wojna chińsko-amerykańska, czy Chińczycy pokojowo osiągną status najpotężniejszego państwa na świecie, czy też największą potęgą – co najbardziej prawdopodobne – bez wybuchu globalnego konfliktu pozostanie przez najbliższe dekady USA. Co czyni, że trudno mieć nadzieję na zwycięstwo w niektórych państwach Europy jakiegoś wariantu demokracji organicznej. Ale trzeba czynić wszystko co możliwe, by Polskę ustrzec przed jej rozbiciem i opanowaniem przez polityczno-gospodarcze organizacje niepaństwowe, tak czy inaczej związane z europejskimi lokalnymi mocarstwami.

8. Jeśli spojrzeć na szczegóły dzisiejszych politycznych nawalerek, to widzę je mniej więcej tak:

Mamy indolentne państwo i niemogące temu zaradzić PiS. Partiokracja nie może stworzyć względnie masowej partii zdolnej jako całość efektywnie rządzić państwem (kompetencje jej członków – jeśli przynajmniej części tej populacji można jakieś przypisać – najczęściej

---

<sup>64</sup> Najkrócej: Frankistowska myśl polityczna nad dobro jednostki przedkładała dobro wspólnoty, między jednostką a państwem widziała wspólnoty „naturalne”, „organiczne” wplecione w tkanę społeczną – rodzinę, gminę i korporację zawodową. Dla wspólnot „sztucznych”, np. partii politycznych, miejsca w tworzonym łańdźcu ustrojowym, dbałym o zgodność z tradycją hiszpańską, nie było. Władza w państwie gen. Franco, początkowo autorytarna, stopniowo coraz większe znaczenie przyznawała głosowi wspomnianych wspólnot naturalnych, tym sposobem tworząc ustrój z elementami demokracji, ale „organicznej” a nie „liberalnej”. Patrz np. Paweł Skibiński, „Państwo generała Franco”, zwłaszcza rozdz. 11.

mierzone są innymi miarami). Do tego PiS działa w dramatycznie wrogim otoczeniu. W państwie, w którym Sąd Najwyższy, Senat, wiele samorządów i urzędów, Bruksela (Parlament, Komisja Europejska, TSUE) oraz opozycja w Sejmie są przeciw Polsce, zdziałać wiele i szybko nie można. Ponieważ każde rozwiązanie proponowane przez stronę rządzącą jest według opozycji złe, należy opozycji – i innym siłom, aż do UE sięgając, w nich wszystkich obcej agenturze – utrudniać wprowadzenie chaosu. I proponowane rozwiązania realizować. Moim zdaniem PiS dobrze taki program realizuje.

9. Polska dziś wyborów nie potrzebuje, potrzebuje stabilności w tym państwie, jakie mamy. Dlatego byłem za przedłużeniem kadencji Andrzeja Dudy. Opozycja nie mogła się na to zgodzić – rozumiała, że jeśli panowanie nad epidemią się powiedzie, kolejnym prezydentem zostałyby min. Szumowski. Opozycja nie ma choć jednej rozsądnej osoby, która mogłaby zostać prezydentem (dziś czy za dwa lata), czyli pozostaje jej niby to troszczyć się o właściwą formę wyborów teraz, a tak naprawdę grać na zapanowanie w Polsce chaosu. Tym bardziej, że otrzyma za to jakieś synekury od Niemców (działających w częściowym porozumieniu z Rosją). Pod tym względem jest gorzej niż było w roku 1791, mimo że tym razem skolonizowanie Polski nie musi wymagać jej wymazania z mapy państw niby-suwerennych. Ale jaką szansę Polska ciągle ma (to oddzielny wątek).

10. O propagandzie (mediach) pro- i anty- nie warto pisać. Poza jednym: media są katalizatorem nawalanki, która zagraża przyszłości kraju.

11. Bez względu na to jaki mamy charakter państwa, w kraju trwa wojna między tymi, którzy chcą trwania polskiej państwowości, a tymi, którzy chcą tę państwowość zniszczyć. Ośmielana przez część mediów antypaństwowa opozycja zdaje się tracić wszelkie moralne hamulce. Nie ma dnia, by nie głosiła tez, które zwalczała parę dni wcześniej, i nie oczerniała rządzących coraz bardziej brutalnie.

### **Rządy monopartii – dopisane rok później, w maju 2021 ...**

Mylłem się – vide punkt 9 – co do losów min. Szumowskiego, którego kariera zakończyła się już w sierpniu 2020 r. Nie doceniłem również roli opozycji i mediów w zaognianiu sporów wokół wyboru racjonalnych sposobów radzenia sobie z pandemią, szerzeniu dezinformacji i często nieuzasadnionej krytyce działań władzy. Ale to mniej ważne.

Jesień 2020 przyniosła nieprzemyślane i nietrafne inicjatywy PiS (np. projekt ustawy zwanej „piątką dla zwierząt”), zaczął się poważny kryzys w szeregach rządzącej koalicji. Ujmując rzecz najkrócej, koło sterowe w rękach Prezesa Jarosława Kaczyńskiego zaczęło wykonywać niepewne ruchy, choć ten okres niepewności nie trwał długo. Na każdy błąd rządzącej koalicji opozycja reagowała głupstwem jeszcze większym, koalicjantów PiS udało się poskromić. Ostatnio PO (czy KO, wszystko jedno) prawie popełniła samobójstwo przy okazji sporu o ratyfikację ustawy dotyczącej Europejskiego Funduszu Odbudowy. Rząd Mateusza Morawieckiego i Jarosława Kaczyńskiego wprowadza w życie Polski Ład i zdaje się przeżywać chwile triumfu.

Ale przed Polską otwiera się bardzo trudny okres. Totalny charakter opozycji uczynił ją niezdolną do wzięcia odpowiedzialności za państwo. Opozycja od lat nie ma żadnego programu i nie ma ludzi zdolnych jakiś program zaproponować, a co dopiero wprowadzać go w życie po ewentualnym przejściu władzy. Skończyła się partiokracja, mamy w tej chwili rządy monopartii i nie wiadomo, jak długo one potrwają. Po 1989 roku mieliśmy w Polsce nomenklaturę stworzoną przez postkomunistów, agenturę oraz wybranych przedstawicieli

PRL-owskiej opozycji demokratycznej. Środowisko PiS do tamtej nomenklatury nie należało. Od dłuższego już czasu, by pozostać u władzy, PiS tworzy nomenklaturę związaną z tą partią. To może i nieuniknione, ale to kolejna tura selekcji negatywnej i obsadzanie stanowisk w państwowych podmiotach gospodarczych przez partyjnych nominatów, a zatem psucie tych podmiotów oraz rządy nieefektywne. A alternatywy dla tych rządów nie ma.

Sam Polski Ład nie jest rozwiązaniem, które w dłuższej perspektywie zapewni Krajowi rozwój gospodarczy. Strategii takiego rozwoju nie ma. Nikt poza wąską elitą rządzącą nie wie, czy Polska prowadzi jakąś politykę zagraniczną, czy jest wodzona za nos przez państwa od niej silniejsze. Od zarania III RP służba zdrowia cierpi na niedobór kadr i brakuje pomysłu na zmianę tego stanu rzeczy. Również od zarania III RP szkolnictwo powszechne i wyższe jest zależne od widzimisię państwa w stopniu irracjonalnie wysokim, nie do udźwignięcia przez resort edukacji i nauki. Inflacja – zresztą niezawiniona przez rząd – osiągnęła ostatnio niebezpiecznie wysoki poziom i się utrzyma. Lista kłopotów, jakich nam los (i kolejne rządy) przysporzył, jest dłuższa ...

### **... i w lipcu 2021**

Czas zdaje się przyspieszać. Polska powinna być silna - na miarę swoich możliwości, a te nie są małe, potencjalnie wystarczające by móc grać tą swoją siłą o zachowanie państwowości i wzrost roli w Europie Środkowo-Wschodniej (od Bałtyku po Morze Czarne – na terenie Międzymorza). Może to nie być możliwe. W polskiej opozycji za silne mogą być wpływy niemieckie. Obecna władza nauczyła się słuchać rozkazów USA za darmo, ale przynajmniej nie było to zupełnie bez sensu za prezydentury Donalda Trumpa. Teraz jest gorzej, Joe Biden będzie zbyt łatwo Rosjanom i Niemcom ustępować chcąc jakoś przyciągnąć Niemcy (i UE) oraz Rosję do współpracy przeciw Chinom. Szansą jest to, że USA mogą chcieć zachować swoją strefę wpływów w Europie zachowując w niej obecną wschodnią flankę NATO. Ale dla nas miejsca na mapie politycznej zwyczajnie nie będzie, jeśli nie wykorzystamy naszego potencjału gospodarczego, jeśli nie dodamy mądrego (selektywnego) wzrostu siły militarnej i nie nauczymy się być w naszej części Europy trochę jak Turcja w strefie swojej (tę ostatnią obserwację powtarzam za analitykami *think-tanku Strategy & Future*).

Nie wiem, czy jest to możliwe, gdy opozycja jest na pasku własnej głupoty plus Niemiec, bruździ władzy, generuje wojnę polsko-polską, a sama władza też może nie mieć tej wizji, którą tutaj staram się zarysować. Do tego – jak to już zasygnalizowałem – ta władza musi utrzymywać swój aparat partyjny, jeśli chce rządzić, a to znaczy, musi go kupować stanowiskami, musi polegać na tym aparacie w kręgach władzy, co sprzyja ... degeneracji tej władzy. Jakby tego było mało, tu prawie nie ma merytokracji, a ta resztką, która jest, jakoś chyba nie ma dostępu do najważniejszego w kraju Jarosława Kaczyńskiego.

I na to nakłada się fakt szczególnie groźny – władza Jarosława Kaczyńskiego nie jest już w PiS absolutna. Nie chcę w ten sposób gloryfikować Prezesa tej partii, ale ta jego absolutna władza w PiS utrzymywała w miarę stabilną przewagę w Sejmie. To się być może sypie i może otworzyć drogę do władzy opozycji, która nie jest przygotowana do rządzenia. I potem już tylko pełna utrata niepodległości, z zachowaniem pseudo-państwowości. Nie wiem, jak w tej Polsce którą dziś mamy, z tą klasą polityczną, którą mamy, można Polskę uratować. Także dlatego nie wiem, że za rządów PiS Polska nie weszła na drogę budowania swojej samodzielności – opracowania i wcielenia w życie dobrze pomyślanej strategii poprawy obronności i wzrostu gospodarczego nastawionego na innowacje w sferze B+R – i to z winy indolencji PiS, a nie z winy opozycji i wojny polsko-polskiej.

Zaznaczam, że doceniam wysiłki obecnej władzy w zakresie rozwoju gospodarczego via wielkie inwestycje infrastrukturalne, także jej wysiłki, by ożywić ideę Międzymorza. Ale to daleko za mało. Powtarzam, rząd Zjednoczonej Prawicy miał szansę, ale jej nie widział, na właściwe i samodzielne przemodelowanie sił zbrojnych, adekwatne do tego dozbrojenie (przezbrojenie) armii, oraz na stworzenie i realizację strategii rozwoju gospodarczego<sup>65</sup>.

### **Uwaga na koniec**

Posolidarnościowa Polska lat 1980-tych nie była przygotowana na przejście (części) władzy w 1989 roku. Ani siłą charakteru, ani myśli politycznej i gospodarczej. Symbolicznym, ale i merytorycznym, sygnałem tego pierwszego było przemówienie świeżo wybranego premiera Mazowieckiego w Sejmie w 1989. Byłem pewny, że wracający po zasłabnięciu na mównicę Premier powie narodowi, iż wygraliśmy tylko bitwę, ale wojna o polskie samostanowienie trwa. Zamiast tego usłyszeliśmy zapowiedź grubej kreski. Świadomość braku suwerennej wizji politycznej i gospodarczej – rosła z czasem. Przyszła „wojna na górze”, państwo popadło w strukturalny kryzys. Nie poradziliśmy sobie z wpływami agentury, polityczną przestrzeń zajęła wojna międzypartyjna, ostateczna zdrada Wałęsy, chwilami postkomuniści u władzy. To zbyt dobrze znane historie, by się nad nimi rozwodzić (w przypisie 61 przypominałem, jak wicepremier Balcerowicz obniżył poziom finansowania nauki – wicepremier publicznie mówił, iż naukę robi się w USA, my mamy to rozumieć i stosować – nadto zaś zgadzał się na transformację gospodarczą wygodną dla państw „starego” Zachodu).

Zachodnie Niemcy miały więcej szczęścia do Amerykanów po II wojnie światowej niż Polska po roku 1989. Bez Amerykanów nie byłoby cudu gospodarczego Erharda. Po 1989 Amerykanie woleli oprzeć się w Polsce na centro-lewicy i postkomunistach, niż na nieznanych im resztkach intelektualnej centro-prawicy i prawicy (ten polityczny wybór USA dotyczył i innych państw byłego RWPG). I, co najważniejsze, Amerykanie, tradycyjnie nieufni wobec Europy Środkowo-Wschodniej, nie chcieli wzmocnić tych krajów jako jednego podmiotu gospodarczego (*nota bene* postulował to związany z kanclerzem Helmutem Kohlem prezydent Deutsche Banku Alfred Herrhausen, ale w listopadzie 1989 zginął w wyniku zamachu, którego sprawcy pozostali nieznani). USA chciały nam pomóc, Niemcy i UE także, ale – czemu się dziwić – na swoich warunkach, w tym via deindustrializacja i oddanie części naszej gospodarki we władanie podmiotom z UE.

Niektórzy Polacy, w tym ja, tylko dlatego byli za wejściem Polski do Unii Europejskiej, że utracili wiarę w to, że jesteśmy w stanie sami poprowadzić spójną i konsekwentną politykę dla dobra Kraju (za wejściem do NATO widziałem inne racje – geopolityczne i kulturalne).

W 2021 roku nie sposób nie dostrzec analogii między tym co Polski dotyczy dzisiaj i co jej dotyczyło 229 lat temu (akt konfederacji targowickiej powstał w tajemnicy w Petersburgu 27 kwietnia 1792 roku, zaś konfederacja zawiązała się formalnie w Targowicy 14 maja). Z tym że dziś w roli Katarzyny II występuje inna Niemka, kanclerz Angela Merkel.

Warto jeszcze w tym kontekście popatrzeć na współczesną Targowicę. Czyż niemiecki protektorat nie niesie ze sobą poważnych plusów dla Polski? Może i pozostaniemy nie wyżej niż na poziomie majstrów w niemieckiej maszynie gospodarczej (Engels twierdził, że Polacy mogą najwyżej taką rolę pełnić w fabryce), ale to przecież wspaniała maszyna. I czy protektorat ten nie uratuje nas przed utratą pieniędzy z UE? Oczywiście uratuje!

---

<sup>65</sup> Por. krótki artykuł Andrzeja Rabczenki i J. Koronackiego pt. „Transfer wiedzy z nauki do biznesu”, PAUza Akademička 561, [http://www.pauza.krakow.pl/561\\_3\\_2021.pdf](http://www.pauza.krakow.pl/561_3_2021.pdf)

## **Varia**

## 16. Nauka i poszukiwanie Prawdy na przykładzie ewolucji i celowości w przyrodzie<sup>66</sup>

### Kilka słów wprowadzenia

Badanie naukowe polega na odkrywaniu struktury analizowanego zjawiska, procesu czy rzeczy. Stawiamy hipotezy i budujemy modele przybliżające odkrywaną strukturę. Dla Arystotelesa poznanie naukowe było poznaniem rzeczywistości w świetle jej przyczyn. Uważał, że cztery przyczyny uzasadniają rzeczywistość. Są to, jak to ujął w lapidarnym skrócie o. Mieczysław Albert Krąpiec OP, przyczyny materialne („to, z czego coś powstaje i trwa”), formalne („to, przez co coś jest tym, czym jest”), sprawcze (to, dzięki czemu coś zaistniało, jest lub działa) i celowe („to, dlaczego coś się dzieje”).

Jest faktem, że dla wielu współczesnych uszu arystotelesowska metafizyka, wzbogacona i zmodyfikowana przez św. Tomasza z Akwinu, poddawana krytycznemu przemyśleniu aż po dzień dzisiejszy, brzmi obco. Nauka ma się zamknąć w naturalistycznych ramach i patrzeć na świat jak na mechanizm, którego równania ruchu należy odkrywać. Nie chcąc tego, impet temu procesowi nadał w końcu XVII wieku Izaak Newton. Mechanika Newtona była według ideologicznych przeciwników obecności Boga w świecie najlepszym orężem przeciwko tej obecności – miała uczynić świat dającym się w pełni wyjaśnić mechanizmem. Nauce wolno było pytać, dzięki czemu coś zaistniało, jest lub działa, ale nie dlaczego coś się dzieje.

Pytanie o przyczynę celową zostało unieważnione. Jeśli bowiem pytamy o celowość w przyrodzie, to ostatecznie pytamy o projektanta, jakiś byt transcendentny, który określił cel. Pozostało badanie mechanistycznie pojmowanych przyczyn sprawczych – jak rzeczywistość jest, ale nie dlaczego jest.

Problem w tym jednak, pisał Jude P. Dougherty, emerytowany dziekan Szkoły Filozofii na Katolickim Uniwersytecie Ameryki (p. *The Nature of Scientific Explanation*, 2013), że unieważnienie pytania o celowość w naturze, to w ostatecznym rozrachunku odmowa uznania, że zmiana jest inteligibilna, czyli racjonalna i dlatego przenikalna dla myśli; *to odmowa uznania, że rzeczy w naturalny sposób dążą do produkowania efektów, które w rzeczywistości regularnie produkują. To zaprzeczyć na przykład temu, że widzenie jest naturalnym celem zdolności wzroku [...]. To tyle co uczynić wzrok czysto przypadłościowym efektem oczu.* W języku filozofii przednowożytnej to odmowa uznania zasady racji bytu, która powiada, że każda rzecz ma swe uzasadnienie – uzasadnienie swej bytowości – w sobie, bądź poza sobą (przypomnijmy: bytem jest jakakolwiek w sobie zdeterminowana treść istniejąca, zaś ten element treści bytu, który może być ujęty myślą, nazywamy rzeczą).

### Charles Darwin – przeciwnik celowości

Młody Darwin miał zostać lekarzem, ale szybko zorientował się, iż nie ma żadnej ochoty być medykiem. Zaczął zastanawiać się nad karierą prowincjonalnego pastora anglikańskiego. Jako człowiek o umysłowości prawdziwego naukowca i badacza, zaczął od dokładnych studiów Pisma Świętego. Chciał sprawdzić, czy jest gotów przyjąć biblijne credo w całości i bez

---

<sup>66</sup> Pierwotna wersja niniejszego rozdziału ukazała się na stronach portalu „Teologii Politycznej” 11 lutego 2019 r.

zastrzeżeń – pochodził z rodziny unitarian i wolnomyślicieli, i sam chciał zbadać przedmiot swego nowego zainteresowania. Uznał, że biblijne credo warte jest weń uwierzenia.

Równocześnie jego pasją stała się historia naturalna. Pod kierunkiem wybitnych biologów badał morskie bezkręgowce. W roku 1831 wyruszył statkiem HMS Beagle w podróż badawczą, głównie o charakterze geologicznym, dookoła świata. Badania, jakie prowadził w czasie trwającej pięć lat podróży, w sposób doskonały zaprzeczyły literalnie potraktowanej, biblijnej historii stworzenia. Zamiast dowodów na stwórcze akty Bożej wszechmocy, których wynikiem było powstanie z niczego różnych gatunków roślin i zwierząt, zobaczył ciągłość i różnorodność. Podział na gatunki wcale się nie narzucał uważnemu obserwatorowi, przeciwnie, różnorodność form zdumiewała wewnątrz gatunku, niejako w ciągły sposób zmieniając jeden gatunek w inny. Różnorodność wyglądała na ślepą – przypadkową. Analizując różne pokolenia danego gatunku, badacz dostrzegł w nich zjawisko dziedziczenia cech.

Darwin dobrze znał prace opisujące zjawisko – i sam je obserwował – walki o przetrwanie. Ale dopiero lektura eseju wielbego Thomasa Malthusa o „Prawie ludności” (*An Essay on the Principle of Population*), około dwa lata po zakończeniu podróży na HMS Beagle, pozwoliła mu zamknąć jego teorię dotąd pozostającą *in statu nascendi*. Walka o przetrwanie, konieczna ze względu na współzawodnictwo między gatunkami o pożywienie czy powierzchnię, faworyzowała odmiany lepiej przystosowane. To one zyskiwały możliwość przetrwania, odmawiając tej szansy odmianom, które ślepy los gorzej przygotował do życia. Tak powstała teoria doboru naturalnego i – z czasem – zasada przetrwania najlepiej przystosowanych.

Darwin dołączył do wcześniejszych zwolenników teorii ewolucji, dając im najlepszą dotąd teorię (możliwie) wolną od celowej interwencji „z zewnątrz” – spoza świata przyrody. Inna sprawa, że na napisanie swojego opus magnum *O powstawaniu gatunków* potrzebował jeszcze dwudziestu lat. Pierwsze wydanie dzieła ukazało się w roku 1859 (pierwszych pięć wydań książki miało tytuł dłuższy, *On the Origin of Species by Means of Natural Selection, or the Preservation of Favoured Races in the Struggle for Life; nota bene*, dopiero w szóstym wydaniu z roku 1869 pojawiły się termin „ewolucja”).

Dla Darwina, jako to sam opisywał w swoich listach, w tomie o *Pochodzeniu człowieka* (*The Descent of Man, and Selection in Relation to Sex*, 1871), i co wynikało z jego opus magnum, tym co było dlań najważniejsze z naukowego punktu widzenia, były zmiany wewnątrzgatunkowe oraz powstawanie nowych przez dobór naturalny. To były zagadnienia o znaczeniu fundamentalnym w jego opozycji wobec kreacjonizmu. Opierając się na danych empirycznych, najgoręcej i najmocniej sprzeciwiał się idei oddzielnego i niezależnego stwarzania (przez Boga) różnych gatunków. Takie akty stwórcze nie mogły mieć miejsca, skoro przeczyły im odkrywane dane.

Darwin uznawał każdy akt stwórczy za niewytłumaczalny w swej istocie cud, dla którego miejsca w wyjaśnieniu naukowym nie widział. Jako XIX-wieczny naturalista – a naturalizm był warunkiem *sine qua non* uprawiania nauki – prowadziło go to do odrzucenia celowości w świecie przyrody. Zgadzał się na obecność przyczyn sprawczych, widział obecność specyficznym rozumianej celowości w przyrodzie – jako obserwowanego kierunku zmian od słabszego do lepiej przystosowanego, od mniej do bardziej złożonego – ale wszystko to bez właściwie rozumianych przyczyn celowych. Ta „specyficznym rozumiana celowość” nie wychodziła z żadnego „dlaczego”, pytanie „dlaczego” nie miało w jej ramach sensu. Jak pisał



jego przyjaciel Asa Grey w czasopiśmie *Nature* w roku 1874, Charles Darwin – który z tym sądem zgodził się w całości – skończył z rozbratem dzielącym morfologię roślin i zwierząt z jednej strony oraz ową specyficzną rozumianą celowość z drugiej, i ożenił jedną z drugą. Ale, co nieraz podkreślał i co już napisałem, przyczyn celowych nie widział. Celowość była według Darwina kategorią teologiczną, a zatem była nie do pogodzenia z nauką.

Jednocześnie, pełen podziwu dla piękna tych czy innych stworzeń pisał tak, jakby owo piękno było celem, ku któremu owe stworzenia zmierzały poprzez ich kolejne odmiany. W poruszającym zakończeniu pierwszego wydania dzieła *O powstawaniu gatunków* pisał o swym przekonaniu, że wszystko co żyje w przyrodzie powstało z tchnięcia życia w kilka, a może tylko jedną formę (rośliny oraz zwierzęcia). W kolejnych dodawał, później usuwał nazwę tego, który to życie tchnął w owe pierwsze formy – Stworzyciela. I w rozmowach wyjaśniał, że użył słowa „tchnąć” przenieśnię, na myśli mając pierwsze się pojawienie danej formy – w domyśle, o źródle nieznanym. Kiedy indziej mówił o swoim agnostycyzmie. W rozmowie z Darwinem na niespełna rok przed jego śmiercią, książkę Argyll powiedział, iż trudno mu – czytając u Darwina o bogactwie form życia i dostrzeganiu celowości w ich adaptacyjnych transformacjach – nie dostrzegać kryjącego się za nimi sprawczego działania umysłu. Darwin przyznał, że i jego takie myśli często nachodzą z wielką siłą, ale kiedy indziej *wydają się go opuszczać*. (Chyba najlepiej dylematy te wyłożył Étienne Gilson w: *From Aristotle to Darwin and Back Again: A Journey in Final Causality, Species and Evolution*, 1971, tłum. ang. 1984.)

### **Ewolucjonizm jako religia**

Uzbrojony w zdrowy rozsądek zwykły śmiertelnik ma kłopot z uznaniem, że jego oczy albo pająk, który otacza się pajęczyną przypominającą ptasie odchody (*cyclosa ginnaga*), są wynikiem losowych mutacji, doskonale bezcelowych, zwłaszcza na wczesnych etapach ich powstawania. Wątpi, że dobór naturalny w walce o przetrwanie, trwający nawet miliardy lat, mógł okazać się tak perfekcyjny w skutkach i tak bezapelacyjnie poddany opisanemu prawu „specyficznemu rozumianej celowości” w pozbawionej celu przyrodzie. Ale takie szczegółowe spory pozostawmy fachowcom – zwolennikom wszystko obejmującej neo-darwinowskiej teorii ewolucji oraz przeciwnikom tego wielkiego projektu ewolucjonistycznego. Z jednym ale – jeśli w ogóle jest się o co spierać.

Gdyby spór nie miał charakteru ideologicznego, nie byłoby go. Najlepiej byłoby o neo-darwinowskiej ewolucji zapomnieć, kontynuować wspaniały rozwój nauk biologicznych i innych nauk przyrodniczych oraz ścisłych, i tym sposobem ewolucję w przyrodzie odkryć na nowo, ale widząc ją we właściwych, prawdziwie naukowych ramach. Bez kurczowego trzymania się i obrony ustalonych w XIX wieku dogmatów.

Biologia molekularna, genetyka, fizjologia, biofizyka, biochemia pokazują dziś dowodnie, że np. Richarda Dawkinsa teoria samolubnych genów, uznająca geny za jedyne nośniki ewolucji, jest najzwyczajniej nie do przyjęcia w świetle naukowych odkryć. Jest, jak słusznie napisze David Stove (*Darwinina Fairytales: Selfish Genes, Errors of Heredity, and Other Fables of Evolution*, 1995), nową religią zaciekle broniących swych okopów neo-darwinistów.

Stove – co często powtarzam za którymś z jego komentatorów, piszący tak wspaniale, jak Fred Astair tańczył – skądinąd hiper-konsekwentny neopozytywista, dobrze też uzasadniał, że życie na Ziemi ma celowy charakter i nie się na to nie poradzi. Pisał również – podobnie co do treści jak tomista Gilson, ale z dosadnością i kpiarstwem Gilsonowi nieznanymi – iż

„specyficznie rozumiana celowość” bez celowości nie istnieje, wbrew wielu myślicielom, którzy chcieli tę bezcelową celowość uratować.

Neo-darwinizm, poza tym, że musi być i jest poszerzany, pogłębiany i zmieniany co do głoszonych treści, musi także pogodzić się z faktem, iż nie da się w naturalistycznym gorsecie zamknąć człowieka. Dowodził tego Stove, lepiej – głębiej i bardziej precyzyjnie – czynią to wspomniany już Thomas Nagel i inni filozofowie, np. Edward Feser czy James D. Madden. Analizują wysiłki zwolenników różnych teorii psychofizycznych, by umieścić relację mózg – umysł w materialistycznych ramach. Dowodzą daremności tych przedsięwzięć. Przekonująco uzasadniają, iż to co mentalne i to co fizyczne istnieje obiektywnie, ale jedno jest nieredukowalne do drugiego – są to rzeczywistości różne, choć wspólnie stanowiące jeden byt, z tym co mentalne nie dającym się opisać przez współczesne nauki szczegółowe.

Na przykład problem ze świadomością jest taki, że zjawiska mentalne – jak ból czy doświadczenie smaku – są subiektywne i nie daje się udowodnić ich tożsamości ze stanem centralnego układu nerwowego. Doświadczenie smaku jest przez mózg „produkowane”, nie jest natomiast jednoznacznie wyznaczone przez stan mózgu. Nieporównanie trudniejszym zadaniem dla materialisty jest wyjaśnienie w terminach naturalizmu statusu myśli i zdolności rozumowania. Te są prawdziwe albo nie, poprawne albo nie, niezależnie od osądu danej osoby, czy nawet całej społeczności osób. Właściwe człowiekowi jest wewnętrzne założenie, że świat rzeczywiście istnieje i że na pewne pytania istnieją odpowiedzi obiektywnie poprawne. Takie założenie można oczywiście odrzucić, ale wówczas wszystko staje się iluzją, łącznie z tym, co materialiści twierdzą.

### **Celowość zrehabilitowana**

To prawda, że nauki przyrodnicze pozostają na gruncie empiryzmu i rzeczywiście nauki te opierają się na danych mierzalnych – i to takich, których pomiary podlegają empirycznej weryfikacji – ale to nieprawda, że naukowcy zadowolają się tym, co rzeczywiście obserwują, czyli ciągami zdarzeń. Wszak szukają przyczyn tego, co obserwują. Szukają zatem przyczyn sprawczych, nawet jeśli wąsko, mechanistycznie czy „przyrodniczo” rozumianych.

Analizując to, co obserwują, wyciągają wnioski i tworzą uniwersalia – pojęcia ogólne, którym w obserwacjach bezpośrednio nic nie odpowiada. Można się ewentualnie zgodzić, że biolog widzi gatunki zwierząt – pisze filozof nauki o. Stanley Jaki (*The Limits of a Limitless Science and Other Essays*, 2000) – ponieważ obserwuje krzyżowanie się zwierząt z grupy, którą biolog nazwał gatunkiem. Ale biolog nie widzi np. wyższych szczebli tworzonej przez niego taksonomii zwierząt, tworzonej mocą jego wnioskującego rozumu, wprowadzającego ponad-empiryczny ład w analizowany świat zjawisk. Tak powstaje np. pojęcie typu (*phylum*) zwierząt, któremu, jak i innym, biolog słusznie przypisuje realne i dobrze określone znaczenie. Już to rozumowanie biologa, przecież uznawane przez naturalistów za naukowe, wprowadza w analizowany świat przyrody ład, który wykracza poza wąsko pojmowany mechanicyzm.

Ale to nie wszystko. Nauka, która ma ambicję przybliżania nas do prawdy, a zatem poszerzania wiedzy, musi odwoływać się do i korzystać z refleksji metafizycznej. Bez tego pozostaje jej lepsze przewidywanie zdarzeń i niewiele ponadto. Ograniczywszy się do mechanistycznie pojmowanych przyczyn sprawczych, nowożytność stara się pytać jedynie jak rzeczywistość jest, ale nie pyta dlaczego jest. A przecież prowadząc badanie naukowe często dochodzimy do przekonania o istnieniu przyczyn celowych. Dlaczego zatem naukowiec miałby nie mieć prawa odkrywania tych przyczyn?

Zamknięta w naturalistycznych ramach nauka nie potrafi wyjaśnić samej tajemnicy powstania życia na Ziemi. Nie potrafi również przynajmniej przybliżyć się do opisanego istoty człowieczeństwa. I nie ma zamiaru pytać, dlaczego człowiek jest – jako byt przygodny, czyli niekonieczny, który rodzi się, by starać się poznać prawdę, by kochać i umrzeć.

Tomista zapytany, dlaczego przyczyna celowa została unieważniona, stwierdza istotną w tym procesie rolę odegraną przez metafizyczną jednoznaczność, o której wspomniałem już w rozdziale 2. Doprowadziła ona do odrzucenia w przyczynowaniu sprawczym współdziałania uprzedniego, zachowując jedynie współdziałanie równoczesne przyczyn. I w konsekwencji – co niesłychanie istotne – doprowadziła do unieważnienia zasady racji bytu.

Przypomnijmy: W naszym świecie poznajemy tylko przyczyny sprawcze drugie. Ojciec Krąpiec w swojej *Metafizyce* wyjaśniał, że w odrzucającej metafizyczną jednoznaczność filozofii pluralistycznej nowo wyprodukowany skutek przez przyczyny sprawcze drugie jest w swej strukturze bytowej złożony z istoty i współmiernego do niej istnienia. Jest bytem niekoniecznym i swą ostateczną rację bytowości zawdzięcza Absolutowi, który jeden jest Pierwszą Przyczyną. Przyczyna sprawcza druga, zanim wyzwoli z siebie akt działania, „wpierw” zostaje zaktualizowana, czyli pobudzona do „takiego” a nie innego realnego „działania” przez Przyczynę Pierwszą – i to jest współdziałanie uprzednie. Sposób aktualizowania przyczyn drugich jest niepoznawalny. Stwierdzamy tylko konieczność takiego faktu. Nie ma przy tym niebezpieczeństwa pozbawienia wolności przez fakt aktualizacji i współdziałania uprzedniego. Posługujemy się wszak „językiem” przedmiotów przestrzennych świata materialnego i kategorii wolności oraz konieczności są „z tego świata”. Absolut i Jego sposób działania na byty drugie, przygodne, jest wykracza poza możliwości ludzkiego poznania. Można tylko stwierdzić, że wszędzie, gdziekolwiek jest realny byt przygodny, tam też – jako jego ostateczna racja bytu – jest Absolut. (W interesującym nas kontekście wyczerpujący wykład na temat przyczynowania można np. znaleźć w książce Michaela J. Doddsa OP *Unlocking Divine Action: Contemporary Science and Thomas Aquinas*, 2012.)

Na szczęście, nic w porządku myśli nie wymaga odrzucenia zasady racji bytu i nie zabrania poszukiwania przyczyn celowych. I także nic nie unieważniło trafności metafizyki pluralistycznej, która widzi możliwość współdziałania uprzedniego Pierwszej Przyczyny, które to współdziałanie jest stale obecne w świecie i nie odbiera nic działaniu przyczyn sprawczych drugich (z tego świata). Dziś nie ma innego wyjaśnienia celowości obserwowanej w świecie ożywionym, w tym w istnieniu człowieka.

Nic też nie zabrania by nauka, która u samego swego rdzenia ma dziś charakter utylitarny, nie wróciła do bezinteresownego poznania i poszukiwania Prawdy.

## 17.

### O pontyfikacie Franciszka uwag kilka

Jacek Bartyzel po wybraniu papieżem kardynała Jorge Mario Bergoglio zwrócił uwagę, iż nowo wybrany przyjmując imię Franciszka, a na myśli miał św. Franciszka z Asyżu, wywracał hierarchiczny ład Kościoła. Jednym z najpiękniejszych w historii Kościoła był ten dzień – mówił w rozmowie z dziennikarzem wybitny historyk Kościoła, polityki i idei – w którym papież Innocenty III przyjął na audiencji brata Franciszka zatwierdzając regułę założonego przezeń zakonu. Ale dodawał:

*Papież Innocenty i brat Franciszek są dwoma filarami Kościoła, ale papież nie jest Franciszkiem, a Franciszek nie jest papieżem. I oto dziś stajemy w obliczu zupełnie nowej sytuacji: papież stał się Franciszkiem, Franciszek został papieżem, bieguny schodzą się w jednym punkcie, „górze” i „dół”, „oś świata” i „pył ziemi” już nie dopełniają się, lecz utożsamiają.*

[...]

*Papież Franciszek, więc „papież ubogi”, otwiera być może już ten ostatni etap, w którym – jeśli nie on sam, lecz któryś z jego bliskich następców – zostanie wyrzuty przez świat z wszelkich oznak władzy, wypędzony ze stolicy, stanie się nawet Papa Incognitus, podążającym ciernistymi ścieżkami [...].*

Historyk nie wykluczał, że wstąpienie na tron Piotrowy „papieża ubogiego” zapowiada nastanie nowego, ostatniego eonu chrześcijaństwa – chrześcijaństwa apokaliptycznego. Możemy mieć nadzieję, że obecny pontyfikat nie jest taką zapowiedzią. Ale jest to na pewno czas Kościoła w kryzysie, po którym zapewne przyjdzie okres Kościoła „przedzachodniego” (por. moje uwagi we Wprowadzeniu). Można zatem mieć nadzieję, że Papież Franciszek jest pierwszym papieżem tego okresu, rodzącego się w bólach, z papieżem dolewającym oliwy do ognia kryzysu obecnego.

Konserwatywni komentatorzy obecnego pontyfikatu i wcześniejszego nauczania kard. Bergoglio stale podkreślają konieczność zachowania pełnej wierności dogmatom i Tradycji. Jasne jest, że od samego początku nauczanie – nie mówiąc o publicznych wypowiedziach – Papieża Franciszka musiało zaniepokoić katolików (i innych chrześcijan) myślących podobnie do tych autorów. Jaki pisał Rod Dreher, *wierni kościołów, w których brak dyscypliny, sami będą niezdiscyplinowani i znajdą się w klimacie sprzyjającym moralnemu upadkowi.*

Bardzo krytyczną cenzurkę wystawił Papieżowi Franciszkowi znany publicysta i autor George Neumayr w wydanej w 2017 roku książce pt. (w tłum. na polski) „Polityczny papież: Jak Franciszek zachwyca liberalną lewicę i opuszcza konserwatystów”. Autor omawia historię zakulisowego sprzeciwu liberalnych kardynałów wobec wyboru kard. Ratzingera na papieża i już w 2005 roku promowaniu kard. Bergoglio na papieski tron. Przypomina długą historię ultrapostępowego porozumienia wśród kardynałów i biskupów, za którego formalny początek można uznać przyjęcie tzw. paktu z katakumb (chodzi o słynne spotkanie w katakumbach św. Domitylli 16 listopada 1965 roku, czyli na krótko przed końcem Soboru Watykańskiego II). Kontynuacją takiego zorganizowanego działania było później działanie „grupy z Sankt Gallen” spotykającej się tamże rokrocznie od stycznia 1996 roku.

Neumayr omawia postępową opozycję w Kościele Benedykta XVI, a dziś usuwanie przez papieża Franciszka z Watykanu kardynałów wrogich postępowym propozycjom. Omawia też Neumayr młodzieńcze fascynacje kleryka Bergoglio marksizmem oraz dzisiejsze jego promowanie teologów wyzwolenia dawno temu potępionych przez Jana Pawła II.

Największa część książki Neumayra poświęcona jest omówieniu wielu dziesiątków wypowiedzi Papieża Franciszka, który np. uważa, że Kościół ma *obsesję* na temat aborcji, antykoncepcji i homoseksualnych małżeństw. Albo zapytany o obecność księży homoseksualistów w Kościele odpowiada: *Kim jestem, by ich osądzać, gdy oni w dobrej wierze poszukują Pana?* Pytany o odnowę chrześcijańskiej Europy, papież Franciszek zaczął swoją odpowiedź od takiego stwierdzenia: *Powinniśmy mówić o korzeniach [Europy] w liczbie mnogiej, jako że jest ich tak wiele.* I dalej wyjaśnił, że mowa o chrześcijańskich korzeniach naszego kontynentu wzbudza niekiedy jego lęk, ponieważ zdarza się, iż kryje się za nią triumfalizm, jeśli nie mściwość, i pobrzmiewają w niej kolonialistyczne tony. Trzeba pamiętać, że ks. Bergoglio znał komunistów prześladowanych przez argentyński reżim, marksistka, która była mentorką kleryka Bergoglio, była przez reżimowych siepaczy torturowana i została zabita, ale nie usprawiedliwia to jego lewicowych, by nie rzec lewackich, sympatii dzisiaj. I np. nie sposób wytłumaczyć papieża Franciszka zrównania muzułmańskiej koncepcji dżihadu z posłaniem przez Jezusa apostołów do wszystkich narodów.

Zatrzymałem się na książce Neumayra nie bez kozery. Chodziło mi o zwrócenie uwagi na formację ideową reprezentowaną przez Jorge Mario Bergoglio w chwili gdy był wybierany na papieża.

Późniejsze niepokoje wynikające z nauczania Papieża Franciszka są zbyt dobrze znane, by je omawiać.<sup>67</sup> Znany jest spór wokół adhortacji Franciszka „*Amoris laetitia*” wynikły z niejednoznaczności jej treści. A to był tylko pierwszy poważny spór wokół dokumentów sygnowanych przez Papieża. Były też kolejne wypowiedzi i decyzje graniczące z herezją albo wręcz heretyckie (jak decyzja z 2018 roku o wprowadzeniu do Katechizmu zapisu o niedopuszczalności kary śmierci albo podpisanie deklaracji ekumenicznej w Abu Zabi w roku 2019).

Wielu dostojników Kościoła, na przykład biskup Robert Barron, zresztą ciekawy katolicki pisarz, tłumaczy Franciszka jego „prorockim językiem” i – przy pełnej wierności katolickim dogmatom – papieskiemu zrozumieniu, iż katolicki „ideał” bywa zbyt trudny do osiągnięcia. Ale rację mają ci autorzy, którzy – jak Rod Dreher – wolą przypomnieć słowa Francuza Léona Bloy: *Jedynym prawdziwym smutkiem, jedyną prawdziwą porażką, jedyną wielką życiową tragedią jest nieosiągnięcie świętości.* Innymi słowy nie o jakiś ideał tu chodzi, lecz o staranie, by wypełniać wolę Bożą żyjąc w Tym, który jest Prawdą, Drogą i Życiem. Co z tą

---

<sup>67</sup> Niezwykle głębokie świadectwa tego niepokoju znajdujemy w książkach Benedykta XVI i kard. Saraha, „*From the Depths of Our Hearts: Priesthood, Celibacy and the Crisis of the Catholic Church*”, 2020, oraz Roberta de Mattei, „*Love for the Papacy and Filial Resistance to the Pope in the History of the Church*” (z przedmową kard. Edmunda Burke’a), 2019. Druga z nich jest jednocześnie książką historyczną, tak jak znana w Polsce Taylora Marshalla „*Infiltracja. Spisek, który ma zniszczyć Kościół od środka*” (2020, oryg. 2019 z przedmową bpa Althanasiusa Schneidera). Ta ostatnia – bardzo wartościowa - nie jest wolna od nieuprawnionych podejrzeń, ale o tym trafnie pisze w przedmowie do niej Paweł Lisicki. (Gdy o historię Vaticanum secundum chodzi, nie sposób nie przypomnieć dzieła Romana Amerio „*Iota unum: Analiza zmian w Kościele katolickim*”; patrz też świadectwo Benedykta XVI w jego „*Ostatnich rozmowach*” z Peterem Seewaldem.)

wolą jest sprzeczne, jest grzechem, a w rozpoznaniu tej woli ma nam pomagać Kościół. Natomiast na pewno nie ma namawiać chrześcijan do uczenia się szlachetności od egzotycznych ludów Amazonii, którzy potrafią dopuszczać zabijanie chromych dzieci.

Nie ma sensu czynienie z Kościoła agendy politycznej zajmującej się np. ochroną środowiska. Od tego mamy dość świeckich organizacji pozarządowych. Zapewne mało kto pamięta, że krótko po *Vaticanum secundum* apelował do Kościoła Leszek Kołakowski, by ten zajmował się ochroną depozytu wiary i sprawami wiecznymi, a nie starał się być kolejną świecką agendą stawiająca sobie za cel polepszenie społecznej doczesności. Zaręczał, że nie tylko owe świeckie agendy są do takich zadań lepiej przygotowane, ale że ich naśladowanie doprowadzi do uwiądnięcia Kościoła. I tak się na Zachodzie stało.

Nie do przyjęcia jest, jak to nazywają niektórzy watykańscy dostojnicy, wprowadzanie przez Papieża Franciszka do kościelnego nauczania „nowego paradygmatu”. Ten nowy paradygmat mamy znajdować w wypowiedziach papieskich i papieskich dokumentach. Mamy go zatem znajdować i np. w „*Amoris laetitia*”, i pouczeniach papieskich jak walczyć ze zmianami klimatycznymi, jak postępować wobec imigrantów z Afryki oraz Azji, i w potępieniach posiadania broni atomowej. Problem tym, że taki nowy paradygmat z właściwym nauczaniem Kościoła nie ma nic wspólnego.<sup>68</sup>

Światowy laikat ma się obecnie przygotowywać do synodu opatrzonego hasłem „Ku Kościołowi synodalnemu. Komunia, uczestnictwo, misja”. Jak piszący te słowa widzi sytuację Kościoła w przededniu synodu i w kontekście tego synodu pokazuje jego list przesłany Sekretariatowi Synodu przy Archidiecezji Warszawskiej w grudniu 2021 roku. Cytuję ten list w całości:

Niżej podpisany wierny członek Kościoła ma problem ze zrozumieniem intencji Papieża Franciszka, który zechciał zwołać XVI Zgromadzenie Biskupów Kościoła Powszechnego. Dokumenty wstępne Watykanu, mające wyjaśnić sens soboru, są w najlepszym razie tak ogólnikowe, iż nie sposób z nich wiele wywnioskować. Bliższe im przyjrzenie się rodzi pytania i wątpliwości, zdumiewa i budzi złe skojarzenia język, w jakim są napisane. W dokumencie Sekretariatu Synodu nie ma ani słowa o świecie, w którym rządzi dziś nurt (anty)kultury pochrześcijańskiej, w swej istocie wrogiej prawu naturalnemu. Nie ma ani słowa o konieczności bycia znakiem sprzeciwu wobec narzucanej światu tej nowej (anty)kultury. Nie dziwi przeto, ale boli brak zachęty do refleksji jak takim znakiem być. W konsekwencji, **zalecane do szczególnie wnikliwego rozważenia tematy zdają się być pisane dla świata, którego już nie ma. Albo niekiedy gorzej, pisane są w języku bliskim owej nowej, antychrześcijańskiej awangardzie.** Jest inną sprawą, że uwzględnwszy w jakiej narzucanej nam (anty)kulturze mamy żyć, wiele szczegółowych pytań zasugerowanych przez Sekretariat Synodu nabiera sensu i warto na nie odpowiedzieć.

Tę smutną konstatację trochę łagodzi słowo księdza biskupa Jareckiego wygłoszone przezeń podczas kongregacji księży dziekanów, wicedziekanów, dekanalnych ojców duchownych i duszpasterzy dzieci i młodzieży, która odbyła się w Domu Arcybiskupów Warszawskich na początku listopada 2021 r. Jest to słowo przynajmniej bardziej konkretne, zawiera pytania warte uważnego rozważenia bez względu na to, w jakim się żyje świecie. Wolne od

---

<sup>68</sup> Głęboką i bardzo wyważoną analizę „nowego paradygmatu katolicyzmu” dał Michał Gierycz w rozdziale 10 swojej książki pt. „Mała pochwała katolicyzmu: Kościół i polityka w późnej nowoczesności”, 2021.

ideologiczno-politycznych wtęretów sięgają wprost do naszych sumień i oceny naszych działań w konkretnej wspólnocie osób.

Pisze ks. biskup: „Wzór synodalności mamy w Piśmie świętym. Wystarczy wspomnieć Sobór Jerozolimski (Dz 15), [...]” Jak czytamy w Dziejach Apostolskich, „Zebrali się więc Apostołowie i starsi, aby rozpatrzyć tę sprawę.” No właśnie, zebrali się Apostołowie i starsi, by rozpatrzyć sprawę, która pojawiła się wśród ludu. A zatem Apostołowie i starsi wsłuchują się w głosy obecne wśród ludu i uznają, że muszą zastanowić się nad tym, kogo można przyjąć w szeregi wiernych. I nasi biskupi mają tak czynić – wsłuchiwać się w głos ludu Bożego i znając tego ludu bólczki, wątpliwości nim kierować, wskazywać mu drogę do Zbawienia.

Biskup przypomina też, że „ogół wiernych [...] nie może zbłądzić w wierze i tę szczególną swoją właściwość ujawnia przez nadprzyrodzony zmysł wiary całego ludu” (konstytucja dogmatyczna *Lumen gentium*, 12). Oczywiście nie zmienia to faktu, że wspomniane wsłuchiwanie się w głos ludu Bożego musi być nader ostrożne, jako że – nieco żartobliwie rzecz ujmując – nie przez każdego przemawia Duch Święty. Duch przemawia przez ogół, a i głos tego ogółu trzeba umieć usłyszeć i z pomocą Ducha właściwie zinterpretować. Ale też ks. biskup trafia w sedno i wyjaśnia – Episkopaty mają poświęcić najbliższe miesiące na danie szansy wypowiedzenia się wiernym świeckim. To dobra inicjatywa.

O czym warto, by ci świeccy mówili? Ksiądz biskup Jarecki stwierdza, że „Synod jest [...] namysłem Kościoła nad nim samym, nad jego istotą”. I dodaje, że „Sekretariat Generalny Synodu zaproponował [do opracowania przez wiernych] dziesięć tematów”. Jak to już napisałem, ks. biskup przedstawia do rozważenia pytania lepiej skonstruowane niż w dokumencie watykańskim. Ale wśród wszystkich tych pytań, które warto sobie postawić przed Synodem, **brakuje pytania najważniejszego – czy Kościół nauczający dobrze wywiązuje się ze swojego zadania.**

Wspominając o *Ecclesia docens* ks. bp Jarecki przypomniał m.in., że w przemówieniu do Rady Episkopatów Ameryki Łacińskiej (CELAM), dnia 28 lipca 2013 r., Papież Franciszek powiedział: „Sensus fidei nie pozwala na sztywne oddzielenie *Ecclesia docens* od *Ecclesia discens*, bowiem także owczarnia „ma nosa”, co pozwala jej rozeznac nowe drogi, jakie Pan otwiera przed Kościołem”. Ksiądz biskup nie przypomniał w swoim słowie, że Urząd Nauczycielski Kościoła, a zatem papież i biskupi, są „autentycznymi, czyli upoważnionymi przez Chrystusa nauczycielami, którzy powierzonemu sobie ludowi głoszą wiarę, w którą powinien wierzyć i którą powinien stosować w życiu” (Kodeks Prawa Kanonicznego, kan. 747, i Katechizm Kościoła Katolickiego 1992 – wyd. polskie 1994 – n. 2034). Brak w dokumentach watykańskich przygotowujących do Synodu i w słowie biskupa przypomnienia, iż „Kościółowi przysługuje prawo głoszenia zawsze i wszędzie zasad moralnych również w odniesieniu do porządku społecznego, o ile wymagają tego fundamentalne prawa osoby ludzkiej i zbawienie człowieka” (Katechizm, n. 2032) i także tego, że „Władza Urzędu Nauczycielskiego rozciąga się [...] na szczegółowe przepisy prawa naturalnego” (Katechizm, n. 2036).

W zacytowanym zdaniu Franciszka czytamy o rozeznaniu nowych dróg, jakie Pan otwiera przed Kościołem. **Czy Kościółowi nauczającemu chodzi o znalezienie dróg radzenia sobie w świecie – i ratowania świata – którego „awangarda” nie uznaje żadnego prawa naturalnego?**

Po październikowej wizycie *ad limina apostolorum* abp Grzegorz Ryś tak mówił (Tygodnik Powszechny, 25.10.2021): „Wiele zadawanych przez nas pytań dotyczyło właściwych sposobów naszego reagowania na wielotwarzowy kryzys Kościoła: liczne apostazje, przerażający prędkością proces sekularyzacji (szczególnie młodzieży), masowa (w niektórych przynajmniej miejscach w Polsce) rezygnacja młodych z religii szkolnej, spadek powołań do kapłaństwa czy do życia zakonnego, niski poziom praktyk etc. Papież odpowiadał nieustannie trzema słowami: bliskość, świadectwo, postawa pasterza.”

Chwała Bogu, że polski Episkopat dostrzega ten kryzys. I polski Episkopat, przygotowując się do Synodu, powinien – zaiste, najlepiej z pomocą *Ecclesia discens* – pochylić się nad pytaniem, gdzie był, gdy kryzys był jeszcze przed nami, jak przeciwstawiał się jego wybuchowi i pierwszym dekadom jego pogłębiania się. Jakim był pasterzem i jakim przewodnikiem dla Narodu.

Biskupi, którzy z abp. Rysiem odwiedzili Papieża Franciszka, tej lekcji jeszcze nie przerobili. O radę poprosili Papieża – namiestnika Chrystusa, którego gorąca wiara kieruje jego samego i jego owieczki wprost ku Chrystusowi, ale którego pasterzowanie się w Kościele również zamęt i zagubienie. To pasterz, który kocha każdego bliźniego, ale kocha jakby ślepo, ponieważ w każdym szukając tego tylko, czego się można od tego bliźniego nauczyć, podążając blisko obok tego bliźniego, wydaje się zgadzać na podążanie razem ze swoim stadem drogami współczesności. Nie widać, by chciał być znakiem sprzeciwu wobec kryzysu, który dotknął Zachód i jednocześnie chciał ratować wspaniałą dorobek chrześcijaństwa zachodniego. A poza świętą Tradycją i Pismem świętym ten dorobek jest najcenniejszym skarbem Kościoła. Współczesność wymaga bycia blisko ludu, ale przede wszystkim po to, by leczyć rany mu przez tę współczesność zadawane. Wymaga twardej obrony ładu moralnego ufundowanego na prawdzie objawionej i zasadach prawa naturalnego – wymaga nawrócenia ku Chrystusowi, który i to powiedział: „Nie sądzcie, że przyszedłem pokój przynieść na ziemię. Nie przyszedłem przynieść pokoju, ale miecz” (Mt. 10.34). Jest to współczesność, która wymaga jedności całego Kościoła, szczególnej jasności wykładu świętego depozytu wiary. „Zadanie autentycznej interpretacji słowa Bożego, spisane czy przekazane przez Tradycję, powierzone zostało samemu tylko żywemu Urzędowi Nauczycielskiemu Kościoła, który autorytatywnie działa w imieniu Jezusa Chrystusa” (Konstytucja Dogmatyczna *Dei verbum*, 10 oraz Katechizm, n. 85). **Powtarzam, zwłaszcza dziś cały Kościół potrzebuje jednego i jasnego wykładu świętego depozytu wiary, oraz jasnej rady, jak służyć współczesnym wspólnotom wnioskami z tego wykładu.**

Potrzebny jest do tego namysł całego ludu Bożego, *Ecclesia docens* i *Ecclesia discens* we właściwych im obszarach, i temu namysłowi należy poświęcić czas przed i w trakcie Synodu. Nie potrzebujemy pomocy *Ecclesia docens* w rozstrzygnięciu kwestii politycznych, szczegółowym roztrząsaniu kwestii ekologii, imigracji, dyskryminacji, ubóstwa itd. Kościół nauczany, dobrze prowadzony w wierze i moralności przez Kościół nauczający, poradzi sobie sam. W sensie wąskim *Ecclesia discens* zna się na tych sprawach lepiej niż *Ecclesia docens*. Na przykład potrafi bronić własnej tradycji i własnej kulturalnej tożsamości, czego wielu członków *Ecclesia docens* – z Papieżem Franciszkiem włącznie – zdaje się nie rozumieć, albo nie chce uznać takiej obrony za właściwą. *Ecclesia discens* potrafi też sam, oczywiście jak najchętniej korzystając z pomocy *Ecclesia docens*, doskonalić swoją pracę we własnych wspólnotach dla dobra innych – w obronie życia dzieci jeszcze nienarodzonych, w pracy charytatywnej, pomocy ubogim, chorym, samotnym matkom i innym potrzebującym. Prawdę rzekłszy, specjalny synod nie jest mu do tego potrzebny.



## **Zamiast zakończenia: Cyberkapitalistyczne imperium chciwości w drodze donikąd**

Leszek Kołakowski tak kończył swój esej pt. „Horror metaphysicus”:

*I czyż nie narzuca się podejrzenie, że gdyby ‘być’ nie było ‘do czegoś’, a świat pozbawiony sensu, to nie tylko nigdy nie zdołalibyśmy wyobrazić sobie, że jest inaczej, lecz nawet pomyśleć nie bylibyśmy w stanie tego właśnie, że być nie jest w istocie ‘do czegoś’, a świat pozbawiony sensu?*

A jednak „oświecone” elity zachodnie ostatnich wieków widzą świat jako sensu pozbawiony. O tym właśnie traktowała niniejsza książeczka. Kościół nauczający przyjmuje dziś stanowisko schizofreniczne. Z jednej strony autentycznie broni wiary – niekiedy gorzej już jest z obroną całości jej świętego depozytu – z drugiej bywa, że mówi językiem owej elity. Albo rezygnuje z właściwego rzeczy ujęcia. Dobrym przykładem tego ostatniego był język, którym posługiwali się hierarchowie, gdy mówili o pandemii COVID-19. Nie wiemy, czy pandemia jest Bożą karą za grzechy społeczne i upadek moralny Zachodu, czy też wybuchła za sprawą Bożego przyzwolenia na ten dramat narodów. Mimo że nie zaskakujące, to rzecz jasna smutne było to, iż nie wywołała na Zachodzie ducha pokuty za własne grzechy – masowe zabijanie nienarodzonych dzieci, coraz częstszy rozpad rodzin, przyzwolenie na szaleństwo w rodzaju „małżeństw” homoseksualnych, czy propagowanie chorych teorii zaprzeczających naturalnej płciowości. I zdumiewało, że praktycznie nieobecne było wołanie o wzbudzenie w ludziach tego ducha pokuty przez dostojników Kościoła, Papieża Franciszka nie wyłączając.

W świecie z Bogiem uśmierconym i przeto bez sensu, jego protagoniści chcą człowieka umieścić po tym końcu ludzkiej historii, o którym pisałem w pierwszej części książki. Chcą człowieka, który uległ humanofobii lub ojkofofobii, na przykład przenosząc się do rzeczywistości wirtualnej (albo raczej do rzekomo rzeczywistej wirtualności). Może taki człowiek – odarty z przywiązania do ojczyzny i jej historii, nie rozumiejący właściwego znaczenia rodziny i szerszej wspólnoty – wybrać między dataizmem Yuvala Harariego i kosmoteizmem, o którym napisała Chantal Delsol.

Ma to być świat cyberkapitalizmu rządzonego chciwością i w porządku etycznym niczym innym (świat dobrze opisywany, co już podkreślałem, m.in. przez Marka Chlebusia). Jak się polityczne i gospodarcze losy tego świata ułożą, jest niepewne. Pandemia i wojna na Ukrainie zmodyfikowały różne plany panującej oligarchii i sytuację dodatkowo skomplikowały. Ale też nie należy przeceniać znaczenia tych wydarzeń – jak nie byłyby tragiczne – dla geopolitycznej i geoeconomicznej przyszłości świata. Są katalizatorami zmian oraz doświadczanych kłopotów gospodarczych, przyspieszyły ich pojawienie się, ale nie więcej. Niezależnie od nich szykuje się jakiś przewrót monetarny i trwa (ukryta albo nie) wojna o szlaki, którymi biec będą łańcuchy dostaw. Inwestycje w odnawialne źródła energii (OZE) pochłoną biliony dolarów (szacunkowo ok. 30 bilionów do 2030 roku), które to wydatki jedne kraje wzbogacą a inne zrujnują. Nie wiemy, jak długo USA będą chciały i mogły pozostać w Europie broniąc flanki wschodniej NATO. Nie wiemy, ile jeszcze czasu będzie NATO istnieć. Amerykańskie mocarstwo czekają wielkie zmiany wewnętrzne – instytucjonalne i społeczne.

Nie wiemy, czy za dekady świat nie stanie się wielo-centryczny, ze Stanami Zjednoczonymi i Chinami w roli mocarstw najpotężniejszych, ale jednak też „tylko” regionalnych. I nie wiemy, jaki kształt przyjmie ten nowy ład światowy wewnątrz stref wpływów mocarstw regionalnych. I jeśli tak się stanie, będzie to świat inny niż ten wyobrażony przez projektantów cyberkapitalistycznego, ogólnoswiatowego imperium chciwości. Czy lepszy, również nie wiadomo – wiadomo, że będzie się rządzić albo raczej będzie rządzony wedle innych praw.

Zaczęły się dekady geopolitycznego przełomu. Sytuacja państw, które jak nasza ojczyzna nie mają szans na stanie się mocarstwami regionalnymi, ale mają wystarczający potencjał by zachować suwerenność, będzie zależała od tego, jakie strategie rozwoju militarnego i gospodarczego już realizują albo zaczynają realizować. Jeśli nie mają dobrych strategii, suwerenność tracą. Jeśli podjęły albo podejmują obecnie właściwe strategie, mogą swoje pozycje w regionach wzmocnić.

Zapewne już najbliższa dekada przyniesie kolejne lokalne katastrofy albo konflikty. Katastrofy może zacząć powodować ocieplenie klimatu. Niewykluczone są kolejne lokalne wojny, np. w rejonie Morza Południowochińskiego. Wymierającej Europie grozi zalanie migrantami z Afryki. Ten ostatni problem wynika oczywiście ze względnego ubóstwa Południa. Ale fakt względnego ubóstwa coraz szerszych rzesz jest już także wewnętrznym problemem Zachodu (w rozdziale 11 pisałem o nim w odniesieniu do USA, ale to problem całego rozwiniętego Zachodu). Problem względnego ubóstwa, albo szerzej nierówności społecznych na całym świecie jest jak tykająca bomba, która prędzej czy później może wybuchnąć (nie wspominałem o nim wcześniej i dlatego pozwalam sobie przywołać w tym miejscu pracę historyka austriackiego Waltera Scheidela, pt. „The Great Leveler: Violence and the History of Inequality from the Stone Age to the Twenty First Century”, 2017). Ale może też zostać rozbrojona, nad czym na pewno panująca obecnie oligarchia pracuje, na przykład przez zapewnienie bezpieczeństwa garstce i drastyczne zubożenie reszty obywateli krajów wysoko rozwiniętych (które to „rozwiązanie” sygnalizowałem w kontekście kryzysu finansowego w rozdziale 7).

Cywilizacje umierają, kolejne się rodzą. Procesy te opisują wielcy historycy, którzy od co najmniej stu lat zapowiadali upadek Zachodu. Pytaniem – na które odpowiedzą przyszłe pokolenia – jest, czy Zachód obroni rdzeń swojej chrześcijańskiej kultury. Człowiek Zachodu najczęściej pragnie jej zachowania. Chciałby żyć godnie, kierując się pragnieniem życia cnotliwego, we wspólnocie wiążącej pokolenia. Ale – nieustająco i konsekwentnie ogłupiany przez wiele już dekad – coraz słabiej rozumie to swoje pragnienie i coraz częściej popada w acedię. Trwa wyścig z czasem – czy siły zła zdążą zabić w człowieku Zachodu to co w nim ludzkie i prawe, czy też obudzi się i wzniesi bunt, jakkolwiek zrazu nieporadnie, ponieważ większości odebrano szacunek dla własnej tożsamości i historii oraz narzucono język niezdolny wyrazić wiele z najgłębszych pragnień uformowanych w duszy ludzkiej przez chrześcijaństwo. Katolik ma obowiązek pracować na rzecz takiego przebudzenia Zachodu i modlić się o nie. Jak też modlić się o mocne włączenie się Kościoła nauczającego w pracę nad tym przebudzeniem.

## Literatura przywołana

(cytaty z dzieł tu przywołanych bywają tłumaczeniami własnymi autora książki, który często korzystał z anglojęzycznych wersji tych dzieł)

Aly, G., *Unser Kampf '68: gniewne spojrzenie w przeszłość*, Fronda 2010 (wyd. oryg. 2008)

Amerio, R., *Iota unum. Analiza zmian w kościele katolickim*, ANTYK 2009

Benedykt XVI, *Ostatnie rozmowy* (z Peterem Seewaldem), Rafael 2016 (wyd. oryg. 2016)

Benedykt XVI, Sarah, R., Kard., *From the Depths of Our Hearts: Priesthood, Celibacy and the Crisis of the Catholic Church*, Ignatius Press 2020

Besançon, A., *Anatomia widma*, Krąg 1984 oraz Res Publica 1991 (wyd. oryg. 1981)

Besançon, A., *Edukacja religijna Rosji*, w: „Znak” 9 (1981)

Besançon, A., *Święta Ruś*, Teologia Polityczna 2015 (wyd. Oryg. 2012)

Buchanan, P., *The Death of the West: How Dying Populations and Immigrant Invasions Imperil Our Country and Civilization*, St. Martin's Press 2002

Brague, R., *The Legitimacy of the Human*, St. Augustine's Press 2017 (wyd. oryg. 2015)

Castells, M., *Wiek informacji: Ekonomia, społeczeństwo i kultura*, w trzech tomach, PWN 2007 – 2009 (wyd. oryg. 1996 – 2000)

Chadwick, O., *The Secularization of the European Mind in the Nineteenth Century*, Cambridge University Press 1975

Darwin, C., *On the Origin of Species by Means of Natural Selection, or the Preservation of Favoured Races in the Struggle for Life*, John Murray 1859 (VI wydanie 1869)

Darwin, C., *The Descent of Man, and Selection in Relation to Sex*, John Murray 1871

Davis, E., *Techgnosis: Myth, Magic & Mysticism in the Age of Information*, Harmony Books 1998

Dawson, C., *Humanism and the New Order*, w: „Essays in Order”, Macmillan & Co. 1931

Dawson, C., *The Movement of World Revolution*, The Catholic University of America Press 2013 (I wydanie 1959)

Dawson, C., *The Dividing of Christendom*, Ignatius Press 2009 (I wydanie 1965)

Dawson, C., *Understanding Europe*, The Catholic University of America Press 2008 (I wydanie 1952)

Delsol, C., *Koniec chrześcijańskiego świata*, w: D. Karłowicz [red.], „Myśląc z Janem Pawłem II. Wykłady Janopawłowe 2020/2021”, Angelicum University Press oraz Teologia Polityczna 2021

Dodds, M.J. OP, *Unlocking Divine Action: Contemporary Science and Thomas Aquinas*, The Catholic University of America Press 2012

Dougherty, L.P., *The Nature of Scientific Explanation*, The Catholic University of America Press 2013

Dreher, R., *Opcja Benedykta*, Wydawnictwo AA 2018 (wyd. oryg. 2017)

Duffy, E., *The Stripping of the Altars. Traditional Religion in England, 1400 – 1580*, Yale University Press 1992

Ferguson, N., *Potęga pieniądza. Finansowa historia świata*, WL 2010 (wyd. oryg. 2008)

Friedman, G., *The Storm Before the Calm: America's Discord, the Coming Crisis of the 2020's, and the Triumph Beyond*, Doubleday 2020

Frohnen, B. [red.], *The Antifederalists. Selected Writings & Speeches*, Regnery Publishing, Inc. 1999

Frohnen, B., Beer, J., Nelson, J.O., *American Conservatism. An Encyclopedia*, ISI Books 2006

Funkenstein, A., *Theology and the Scientific Imagination from the Middle Ages to the Seventeenth Century*, Princeton University Press 1986

Galton, F., *Hereditary Genius*, Macmillan & Co. 1869

Gierycz, M., *Mała pochwała katolicyzmu: Kościół i polityka w późnej nowoczesności*, Teologia Polityczna 2021

Gilson, É., *Jedność doświadczenia filozoficznego*, PAX 1968

Gilson, É., *Realizm tomistyczny*, PAX 1968

Gilson, É., *From Aristotle to Darwin and Back Again: A Journey in Final Causality, Species and Evolution*, University of Notre Dame Press 1984 (wyd. oryg. 1971)

Gowan, P., *The Global Gamble: Washington's Faustian Bid for World Dominance*, Verso Books 1999

Grad, P., *Nigdy nie byliśmy ludźmi*, „Czterdzieści i Cztery” nr 8

Grant, E., *A Source Book in Medieval Science*, Harvard University Press 1974

Grant, E., *Średniowieczne podstawy nauki nowożytnej*, Prószyński i S-ka 2005

Grant, G., *Lament for a Nation: The Defeat of Canadian Nationalism*, McClelland & Stewart 1965

Gregory, B.S., *The Unintended Reformation: How a Religious Revolution Secularized Society*, The Belknap Press of Harvard University Press 2011

Hamilton, A., Madison, J., Jay, J., *The Federalist*, Hamilton, J.C [red.], Regnery Publishing, Inc. 1998

Hahn, S.W., Wiker, B., *Politicizing the Bible: The Roots of Historical Criticism and the Secularization of Scripture 1300-1700*, Herder & Herder Books 2013

Harrari, Y., *Homo deus: krótka historia jutra*, WL 2018 (wyd. oryg. 2016)

Harrari, Y., *21 lekcji na XXI wiek*, WL 2018 (wyd. oryg. 2018)

Hongbing, S., *Wojna o pieniądz*, tomy 1 – 3, Wektory 2011 – 2016 (wyd. org. 2007 – 2013)

Jaki, S., *The Limits of a Limitless Science and Other Essays*, ISI Books 2000

Johnson, P., *Historia Anglików*, Wydawnictwo Marabut 1995 (wyd. oryg. 1972)

Kalb, J., *The Tyranny of Liberalism*, ISI Books 2008

Kennan, G., *Around the Cragged Hill. A Personal and Political Philosophy*, W.W. Norton & Co. 1994

Klemperec, V., *LTI – Notatnik filologa*, WL 1983 (wyd. oryg. 1947)

Kirk, R., *The Roots of American Order*, Regnery Gateway 1991

Kořakowski, L., *Obecnoř mitu*, Kultura 1972

Kořakowski, L., *Horror metaphysicus*, Res Publica 1990

Koronacki, J., *Amerykański konserwatyzm na progu XXI wieku*, von Borowiecky 2015

Koronacki, J., *Sztuczna inteligencja w odczarowanym Źwiecie*, w: „Filozofia i Nauka”, t. 8. cz. 1, 2020

Koselleck, R., *Krytyka i kryzys. Studium patogenezy Źwiata mieszczańskiego*, Res Publica Nova 2015

Krasnodębski, Z. [red.], *Rozum i wiara – debata (międy J. Ratzingerem i J. Habermasem)*, w: „Europa – Tygodnik Idei” nr 1/2004

Krąpiec, M.A., *Metafizyka*, KUL 1984

Lawler, P.A., *Modern and American Dignity: Who We Are as Persons, and What That Means for Our Future*, ISI Books 2010

Lawler, P.A., *Postmodernism Rightly Understood: The Return to Realism in American Thought*, Rowman & Littlefield 1999

Levin, Y., *The Fractured Republic: Renewing American Social Contract in the Age of Individualism*, Basic Books 2016

Levin, Y., *A Time to Build: From a Family and Community to Congress and the Campus, How Recommitting to Our Institutions Can Revive the American Dream*, Basic Books 2020

Lorenc, W., *Filozofie skończości*, Wyd. Uniwersytetu Warszawskiego 2016

Lytle, A., *The Hind Tit*, w zbiorze esejów amerykańskich Południowców: *I'll Take My Stand: The South and the Agrarian Tradition*, Harper and Brothers 1930

Maier, P., *Ratification: The People Debate the Constitution, 1787 – 1788*, Simon & Schuster 2010

Malthus, T., *An Essay on the Principle of Population*, J. Johnson 1798 (esej wydany anonimowo)

Marshall, T., *Infiltracja. Spisek, który ma zniszczyć Kościół od Źrodka*, Wydawnictwo AA 2020 (wyd. oryg. 2019)

Mattei de, R., *Love for the Papacy and Filial Resistance to the Pope in the History of the Church*, Angelico Press 2019

McDonald, F., *Alexander Hamilton: A Biography*, W.W. Norton & Co. 1997

McDonald, F., *Novus Ordo Seclorum*, University Press of Kansas 1985

McLuhan, M., *Zrozumieć media. Przedłużenia człowieka*, WNT 2004 (wyd. oryg. 1964)

Murray, C., *„Coming Apart: The State of White America 1960 – 2010”*, Crown Forum 2012

Murray, C., *By the People: Rebuilding Liberty Without Permission*, Crown Forum 2015

Nagel, T., *Mind and Cosmos: Why the Materialist Neo-Darwinian Conception of Nature is Almost Certainly False*, Oxford University Press 2012

Neumayr, G., *Political Pope. How Pope Francis is Delighting the Liberal Left and Abandoning Conservatists*, Center Street 2017

- Nilsson, N.J., *The Quest for Artificial Intelligence*, Cambridge University Press 2009
- Nowak, A., *Między nieładem a niewolą: Krótka historia myśli politycznej*, Biały Kruk 2020
- Ostrowicki, M., *Wirtualne realis. Estetyka w epoce elektroniki*, Universitas 2006
- Pieper, J., *Leisure: The Basis of Culture*, Ignatius Press 2009 (wyd. oryg. 1952)
- Pitron, G., *Wojna o metale rzadkie*, Kogut 2019 (wyd. oryg. 2018)
- Quirk, W.J., Bridwell, R.R., *Abandoned: The Betrayal of the American Middle Class since World War II*, Madison Books 1992
- Ratzinger, J., Kard., *Europa Benedykta w kryzysie kultur*, Libreria Editrice Vaticana oraz Edycja Świętego Pawła 2005
- Rickards, J., *The Death of Money: The Coming Collapse of the International Monetary System*, Portfolio/Penguin 2014
- Rickards, J., *The Road to Ruin: The Global Elites' Secret Plan for the Next Financial Crisis*, Portfolio/Penguin 2016
- Rickards, J., *The New Great Depression: Winners and Losers in a Post-Pandemic World*, Portfolio/Penguin 2021
- Roberts, P.C., *How the Economy Was Lost: The War of the Warlords*, CounterPunch 2010
- Russello, G.J. [red.], *Christianity and European Culture. Selections from the Work of Christopher Dawson*, The Catholic University of America Press 1998
- Scheidel, W., *The Great Leveler: Violence and the History of Inequality from the Stone Age to the Twenty First Century*, Princeton University Press 2017
- Skibiński, P., Państwo generała Franco. Ustrój Hiszpanii w latach 1936 – 1967, ARCANA 2004
- Stawrowski, Z., *O władzy sędziowskiej i władzy sądowniczej*, w: „Wykłady w Trybunale Konstytucyjnym z lat 2017-2018”, Warszawa 2018, s. 163-180, oraz w wydaniu anglojęzycznym *On the Power of Judges and Judicial Power*, w: *Lectures at the Constitutional Tribunal 2017-2018*, Warszawa 2018, s.181-198
- Stove, D., *Darwinian Fairytales: Selfish Genes, Errors of Heredity, and Other Fables of Evolution*, Encounter Books 1995
- Szulakiewicz, M. [red.], *W poszukiwaniu nowego człowieka – Colloquia Torunensia XXIV*, Towarzystwo Naukowe w Toruniu 2020
- Tatarkiewicz, W., *Historia filozofii*, PWN 1978
- Thompson, E., *Can We communicate? On Epistemological Incompatibilities in Contemporary Academic Discourse*, w: *College and the Academic Community in the European and the American Tradition*, Mark O'Connor i Piotr Wilczek [red.], Boston – Warsaw 2010
- Thompson, E., *Zrozumieć Rosję. Święte szaleństwo w kulturze rosyjskiej*, Teologia Polityczna 2019 (wyd. oryg. 1987)
- Tichy, R., *Mesjańskie oblicze transhumanizmu*, w: „Czterdzieści i Cztery” nr 8

- Tocqueville de, A., *O demokracji w Ameryce*, Aletheia 2019
- Trepanier, L., McGuire, S.F. [red.], *Eric Voegelin and the Continental Tradition*, University of Missouri Press 2011
- Vitali, S., Glattfelder, J., Battiston, S., *The network of global corporate control*, w: PLoS ONE, 2011
- Voegelin, E., *Science, Politics and Gnosticism: Two Essays*, Regnery Publishing Inc. 1997 (wyd. oryg. 1959)
- Voegelin, E., *Od oświecenia do rewolucji*, Wyd. Uniwersytetu Warszawskiego 2011
- Weaver, R., *Idee mają konsekwencje*, Wyd. Profesjonalnej Szk. Biznesu 1996
- Weber, M., *Polityka jako zawód i powołanie*, Znak 1998
- Wildstein, B., *Bunt i afirmacja. Esej o naszych czasach*, PIW 2020
- Wood, G.S., *The Radicalism of the American Revolution*, Vintage Books 1993
- Zaremba Bielawski, M., *Higieniści. Z dziejów eugeniki*, Wydawnictwo Czarne 2011
- Zeihan, P., *The End of the World Is Just the Beginning. Mapping the Collapse of Globalization*, HarperCollins 2022
- Zubrin, R., *Merchants of Despair. Radical Environmentalists, Criminal Pseudo-Scientists, and the Fatal Cult of Antihumanism*, New Atlantis Books 2012

### Netografia

- Bartyzel, J.:  
<https://myslkonserwatywna.pl/prof-bartyzel-tradycja-i-jej-wrogowie/>  
<http://www.legitymizm.org/systematyka-nacjonalizmu>  
<https://pch24.pl/papiez-franciszek-ku-nowemu-eonowi-chrzescijanstwa/>
- Bernacki, W.:  
[https://ruj.uj.edu.pl/xmlui/bitstream/handle/item/265834/bernacki\\_reformacja\\_u\\_zrodel\\_nacjonalizmu\\_2000.pdf?sequence=1&isAllowed=y](https://ruj.uj.edu.pl/xmlui/bitstream/handle/item/265834/bernacki_reformacja_u_zrodel_nacjonalizmu_2000.pdf?sequence=1&isAllowed=y)
- Blank, J.:  
<https://www.theatlantic.com/ideas/archive/2021/04/biden-iraq-invasion-america-afghanistan/618640/>
- Chlebuś, M.:  
<https://instytutprawobywatelskich.pl/esej-lek-przyszlosci/>
- Dawson, C.:  
<https://www.catholicculture.org/culture/library/view.cfm?recnum=143>
- Jacobs, A.:  
<https://www.thenewatlantis.com/publications/after-technopoly>
- Kaplan, R.D.:  
<http://stories.cnas.org/the-return-of-marco-polos-world-and-the-u-s-military-response>
- Kędzierski, M.:

<https://klubjagiellonski.pl/2020/08/08/przemija-bowiem-postac-tego-swiata-lgbt-ordo-iuris-i-rozpad-katolickiego-imaginariu/>

Malinowski, M.:

<https://nowyobywatel.pl/2017/09/17/kto-rzadzi-swiatem/>

Miks energetyczny:

<https://ourworldindata.org/energy-mix>

ONZ, tzw. kontrola urodzeń:

[https://en.wikipedia.org/wiki/Birth\\_control\\_in\\_Africa](https://en.wikipedia.org/wiki/Birth_control_in_Africa)

Rabczenko, A.:

[http://www.pauza.krakow.pl/561\\_3\\_2021.pdf](http://www.pauza.krakow.pl/561_3_2021.pdf)

Ratzinger, J.:

<https://deon.pl/wiara/duchowosc/prorocze-slowa-ks-josepha-ratzingera,223395>